

K. RYBACKI
(Jeniec z Dänholmu)

KSIĘŻANKA ZOCHA

POWIEŚĆ Z ŻYCIA WŁOŚCIAN KSIĘSTWA ŁOWICKIEGO

NAKŁADEM DRUKARNI KAROLA RYBACKIEGO
ŁOWICZ 1930 ROK

ODBITO W DRUKARNI K. RYBACKIEGO W ŁOWICZU.

Zamiast przedmowy.

K S I Ę Ż A N K A.

(Z sonetów łowickich).

Jak kraska, strojna w barwy, tęczą migocące,
Włos ze lnu, wzrok z modraków, na licach ma róże;
Patrząc w blask tych kolorów, oczy przed nią mrużę:
Takie to kwiaty rodzi nasze polskie słońce!

Jakież tam pod staniczkiem musi bić gorące
I jakie zdrowe serce!... Nie prorok — lecz wróżę
Kochankowi kipiące, pełne szczęścia kruże,
A ojczyźnie — tak twarde, jak jej pierś, obrońce.

Księżanka — to zaklęte w kształt i barwę życie
Wobec którego pierzcha śmierci wid ponury,
Jak pierzcha noc, róż brzasku ujrzawszy o świcie.

Hej, drżyjcie, wrogi Polski!... Orle, wznieś do góry
Białe skrzydła i skąp je w niabiosów błękicie:
Nie zginie kraj, co takie wyhodował córy!

LEON RYGIER.

Łowicz, dnia 19. IX. 19 r.

I.

Szosa wiodąca z Głowna do Łowicza, była w dniu 23 czerwca 189... formalnie zatarasowana wozami, bryczkami, pieszymi ludźmi, stadami bydła, koni i nierogacizny. W blasku słońca mieniły się jaskrawo wełniaki księżanek dźwigających kobiałki i kosze wypełnione nabiałem i drobiem. Na wozach i bryczkach siedzieli zamożniejsi gospodarze, ciemne ich sukmany i okrągłe kapelusze świadczyły, że ciągną już od granic księstwa i gminy Dąbkowickiej.

Czasami gwałtowne trzaskanie z bicza zwiastowało jadącą obywatelską brykę lub powóz, zaprzężone w parę rosłych cugantów, lub czwórkę szpaków. W pojazdach siedzieli niedbale, w pół leżąc, przeważnie młodzi ludzie, w kostjumach sportowych, do konnej jazdy. Niekiedy mignęła ogorzała postać obywatela ziemskiego w białym kitlu, narzuconym na wierzchnie ubranie, za bryką zaś biegły przywiązane do niej konie.

Wszystkiemi bocznemi drogami, wiodącemi do szosy napływały nowe tłumy, czyniąc ją podobną do wielkiej rzeki, wchłaniającej w siebie biegnące ku niej dopływy.

To jarmark Śto-Jański w Łowiczu.

Kiedyś, przed kilkudziesięciu jeszcze laty, gdy nie było kolei wiedeńskiej, na łowickie jarmarki zjeżdżali się kupcy z Berdyczowa, Kijowa, Tambowa, ze swemi stadami koni stepowych, z Węgier szły oksefty wina, ba, nawet Dangel z Warszawy przysyłał swoje karety. Przyjeżdżały pierwszorzędne zakłady restauracyjne. Hotele miejscowe nie mogły pomieścić przyjezdnych. Mieszkańcy odnajmowali swoje mieszkania, kupcy sklepy, Stary Rynek był cały zastawiony budami w kilka rzędów, tworząc ulice sklepów, w których warszawscy kupcy sprzedawali obuwie, ubrania i wszelkiego rodzaju towary codziennej potrzeby.

We wszystkich handlach i restauracjach stosy przelewały się złota, przegrywano w karty konie, powozy, a nawet i wioski całe.

Cztery tygodnie zwykle przeciągał się jarmark, dopóki ostatni maruderzy nie opuścili miasta.

Z chwilą pobudowania dróg żelaznych, sławne łowickie jarmarki przeszły do historji i tylko starzy ludzie opowiadają swoim wnukom o świetnych czasach Łowicza.

Jarmarki dzisiejsze redukują się do trzech dni zaledwie i przyjeżdżają na nie tylko mieszkańcy najbliższych okolic, zaś z kupców jedynie odpustowi kramarze i żydzi z za Żelaznej Bramy, przywożą jeszcze różną tandetę i śmiecie. Trwa jeszcze pewien obrót futrami i chłopskiemi kożuchami, lecz i ten z roku na rok się zmniejsza.

Gdy granica do Niemiec była otwartą, przyjeżdżali Niemcy za kupnem koni dla armji, lecz później i to ustało. Pozostałe dotąd w mieście puste stajnie, świadczą o rozwiniętym handlu w tej gałęzi.

W dniu, w którym się nasza powieść zaczyna, od strony Jamna podążały dwie kobiety, ubrane dostatnio, młodsza nawet ubrana była z pewną elegancją. Krótki, suty wełniak odsłaniał zgrabne nogi, obute w obcisłe buciki na wysokich obcasach, zawiązane amarantowemi sznurowadłami zakończonemi zwieszającemi się chwastami.

Gorset zielony, jedwabny, w deseń, obciskał pełny jej biust, białe rękawy koszuli, kolorowo haftowane, związane były czerwoną wstążeczką, ponsowa z zielonym jedwabna chustka zsunięta nieco na tył głowy, odsłaniała nad czołem ciemne, lekko falujące się włosy; kilka sznurków korali bramowały wdzięcznie białą, toczoną jej szyję. Piwne oczy rzucały dokoła blaski, a gdy ktoś z ciekawych dłużej na nich wzrok zatrzymał, kryły się pod długiemi, jedwabistemi rzęsami.

Wiedziała że jest ładną i sprawialo jej przyjemność gdy zwracano na nią uwagę. Na przejeżdżające bryczki spoglądała zalotnie i uśmiechała się do siebie, gdy siedzący w nich jarmarkowicze przesyłali jej całusy.

— Zośka,—rzekła starsza—adyć nie wywalaj tak gałów na wszystkie strony, gotowi jeszcze pomyśleć, żeś na gościniec z jarmarku łasa.

— Niech sobie myślą, mam kłopot, dużo sobie z nich robię. Nie jestem przecie zakonnicą, żebym se worek na twarz kładła.

— Worek, nie worek, alеć zawdy dziewczynie pasuje gdy mniej świeci oczami. Przeć nie tak dawno i Janek Siekierczak mówił, że takim patrzeniem to człeka do piekła zawieść można.

— To niech się nie patrzy. Dużo mi znaczy taki mądrala, co cięgiem by ino kazania prawił, jak

ksiądz na ambonie: A na muzyki nie chodź, a takich piosneczek nie śpiewaj, a nie strój się codzień jak panna młoda. Kiedyż będę się stroić? jak wyjdę za chłopa? Jeszcze się dosyć dzieciskom nosów naucieram.

— Nie wiadomo jeszcze czy wyjdziesz, nie można wiedzieć co komu sądzono.

— O jej! palcem kiwnę i wezmę kogo będę chciała. Nawet ten sam Janek łazi nieraz za mną jak cielę za krową.

— Dałby Bóg, żeby się to na co zdało, boć to i gospodarny i uczony, jak co powie to aż słuchać miło. Kiedy inni parobcy jeno po muzykach by latali i gzy wyprawiali, lub w mieście po szynkach się włóczyli, on zawsze albo do księgarni po gazetę, albo do teatru, albo do kółka rolniczego, i ani mu w głowie głupstwa.

— Nie pamięta wół, jak cielęciem był, a wyście nie tańcowali za młodu? samiście nieraz opowiadali o muzykach i zabawach.

Toć każdy się zabawić może, ale żeby to było godziwe i przez boskiej obrazy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rozległ się nagle dźwięczny głos po za plecami rozmawiających kobiet.

Matka i córka obejrzały się i odpowiedziały: „Na wieki wieków". Za niemi szedł szparkim krokiem Janek Siekiera, syn gospodarza z tejże wioski. Ubrany dostatnio, w czarnej, szamerowanej sukmanie, szczupły, twarzy ogorzałej, oczu łagodnych, wyrażających dobroć, jedynie dwie rysy około ust, znamionowały siłę woli i pewną zaciętość.

— Co, i wy na jarmark, Janku? Jak się macie,—powitała go życzliwie matka Zośki. Ważne mu-

sicie mieć sprawy, bo nie lubicie jarmarczyć, powiadacie zawsze, że to tylko strata czasu, a pożytku za grosz.

— Jeśli kto bez interesu i jeno dla pogapienia się idzie na jarmark, to prawdziwie, pożytku z tego mało. Mamy wielu gospodarzy, którzy nie opuszczają nietylko żadnego jarmarku, ale nawet targu, jak nieprzymierzając wasz chłop, pani matko, co często wraca nie samowity, jeno go przywożą przytomności pozbawionego.

— O cie! a przecież jako sołtys, musi ciągiem bywać w mieście, albo u naczelnika po służbie, albo podatki płacić w kasie, to i nie dziwota, że go naród jako urzędnika, fetuje.

— Ale jakby nie chciał, to by nie pił, a przez to i gospodarka lepiejby wam szła, gdyby na wszystko miał oko.

— O! Jasiek wszystkim przygania, wtrąciła Zośka—a też go zawdy na jarmarku spotkać można.

— Nigdy bez interesu nie chodzę. A i dziś konia muszę kupić, bo ojciec trochę słabują.

— A to dobrze, będziemy razem jarmarczyć— rzekła Zośka i spojrzała na Janka takim promienistym wzrokiem, że aż go ciarki przeszły.

— Ale niech Zocha nie strzela oczami po drugich, bo to nie ładnie.

— A na was można?—i rzuciła na Janka jedno z tych spojrzeń z pod przymkniętych powiek, które mimowoli nasuwają myśl porwania w pół dziewuchy i ucałowania tych oczu, które zdają się mówić, żeby się niebardzo broniły.

— Zocha! dla czego ty tak? rzekł półgłosem Janek. Ja nie chcę, żebyś tak na wszystkich patrzy-

ła, zdaje mi się wtedy, że każdy ma do ciebie prawo, gdy mu powiesz oczami: „Weź mnie!".

— Nie każdy tak zaraz pomyśli, jak wy, Janku, bo wy, to nawet w oczach czytacie jak w książce.

— Bo twarz ludzka jest prawdziwą księgą, w której wszystko czytać można. Są ludzie—niekiedy bardzo fałszywi i zaprawieni do kłamstwa, którzy potrafią ukryć to, co się w ich duszy dzieje, na takiej twarzy bardzo trudno czytać.

Droga, im bliżej miasta, coraz bardziej była zatłoczona, że aż nasi podróżni musieli zboczyć na wał, okalający lasek miejski, który zasadzony na nieużytkach, znakomicie się rozrósł, dając już cień duży i rozlewając balsamiczny zapach sosny dokoła.

Od południowej strony, grunt nieco sapowaty, poprzerzedzał drzewka i tworzył obszerne, zarosłe trawą polanki, stanowiące uciechę dla niezliczonej gromady srok, które co chwila podrywały się w górę z przeraźliwym wrzaskiem.

Dalej już drzewa stały zwartym szeregiem, niepozwalając wedrzeć się w głąb, jedynie gdzie niegdzie poprzecinane dukty pozwalały przejrzeć lasek i widzieć z drugiej strony piasczyste pola Kostki.

W gęstwinie tej zagnieździły się króliki i co krok spotykało się głębokie nory, w których znikały co chwila zwinne te zwierzątka, zaś na drodze od strony lasku można było obserwować nieruchome szare punkty, które przy zbliżaniu się ludzi, ginęły w gęstwinie.

Podróżni nasi zwolnili nieco kroku, ocierając pot z czoła i pełną piersią wdychając świeżą woń sosen.

— Tyle set lat — rzekł Siekiera — czekano, aby te piasczyste nieużytki zamienić na las. A ile takich jest w naszym kraju. Niedalej jak

w Nieborowskiej gminie jest kilkanaście włók piasczystych wzgórz, należących do gminy i żaden z gminiaków nie chce do tego ręki przyłożyć. „Łowiczanin” nawoływał, że gdyby gminiacy zwrócili się do zarządu Księstwa Łowickiego otrzymaliby sadzonki bezpłatnie, a zalesione wspaniałe te wzgórza już za kilkanaście lat dawałyby zyski, choćby jako letniska, zwłaszcza przy stacji Nieborów. Kiedyś nawet były tam lasy, czego dowodzą błąkające się jeszcze gdzieniegdzie jałówce.

Wszyscy powtarzają jedno, że nieopłaci się poczynać sprawy, z której dopiero potomni mieć będą pożytek. Tymczasem na ich oczach obsiane sośniną piaski księcia Radziwiłła, pod Arkadją, wspaniale wyrosły i ci sami gospodarze, którzy nie chcieli się zgodzić na obsadzenie wspólnych nieużytków, dzisiaj schodzą się przy niedzieli, oglądają wyrosłe sosenki i kiwając głowami, mówią:

— O, jak ci to wyrosło, a to już nawet i na porządki mogłoby służyć. Wcale niczego krokiewki. Albo i z tych brzeźniaków galante byłyby dyszle. A suszu na opał co by to fur było!

I tak co niedziela debatują i kiwają głowami, a ich piasczyste górki codziennie rozwiewają wiatry i niosą piasek na uprawne pola. Męczą się biedacy, żyły z siebie wyciągają, a tu zbiory coraz mniejsze.

A jednak piasków nie obsadzą.

Aż dopiero jakaś władza z urzędu nakaże to zrobić. Odczują całe dobrodziejstwo tego, dziwić się będą czemu tego dawno nie zrobiono. Rozrastające się drzewka będą ich radością i dumą, strzec ich będą bardziej niż własnych dzieci.

A jednak po dobrej woli piasków nie obsadzą!

Tacy już jesteśmy wszyscy.

Skończył się borek, gromadka nasza na przełaj udała się przez Kostkę. I tu olbrzymie nieużytki proponowano zamienić na park miejski, lecz niektórzy mieszczanie-rolnicy nie chcieli zrezygnować z prawa użytkowania pastwiska, z którego, że służyło jedynie gęsiom, inwentarz zupełnie nie korzystał.

Zaczęła się powoli wyłaniać z pośród topoli wieża Świętoduskiego kościoła i wędrowcy weszli w zatarasowaną ulicę Piotrkowską.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ścisk, tłok, pisk. Cały nowy Rynek zastawiony wozami, jedynie przy trotuarach rzędami stały budy i stragany z przedmiotami gospodarstwa wiejskiego, z dewocjami, piernikami kraszonemi aniliną i różnego rodzaju dziecinnemi zabawkami.

Dokoła rozlegał się głos trąbek, świst ptaszków glinianych, pisk nadymanych baloników, a nad wszystkiem górowało nawoływanie żydów przy straganach:

— Walta się, walta się chłopy na Lejbusia. Walta się na limonadę od gaz.

— Do luster! do luster!—wołał inny.

W tym Zośce coś załopotało za uchem, porwała się ręką, przerażona, lecz już nic nie było, tylko za jej plecami stał odwrócony żydek z koszem papierowych wężów. którc przez dmuchnięcie rozwijały się i momentalnie kurczyły.

Siekiera dostrzegłszy manewr żyda, schwycił go za kark ręką i krzyknął:

— Żydówom swoim puszczaj pod nos figle, a nie naszym dziewuchom, bo jak cię zamaluję, to się nogami nakryjesz.

— Jaszek! puszczaj! czego ty chcesz, Jaszek!

— A ty skąd wiesz, niechrzczony, jak ja się nazywam?

— A bo to nie widacz po kapelusie! No puszczaj Jaszek..

Zaledwie żyd się wyrwał i odskoczył na bok, jął grozić ręką Siekierze—wołając:

— Czekaj, ty piskaty chamie, niech ja czebie złapię!

Siekiera powtórnie ruszył ku żydowi, lecz nadchodząca fala ludzi rozdzieliła ich. Machnął tylko ręką i poszedł za kobietami.

— A skąd żyd was poznał?—zapytała Zośka.

— Trafił, psia para, na imię. Dziewuchy mu się chciało zaczepiać! *)

Zwrócili się następnie w Zduńską ulicę, lecz tu już musieli iść „gęsiego", gdyż zbyt wązki trotuar nie pozwalał iść razem.

Tutaj Zośka była narażona na ustawiczne popychania. Rozrumieniona szybkim chodem wyglądała nadzwyczaj powabnie i każdy z przechodniów zatrzymywał wzrok na niej, a już młodzi jarmarkowicze przesadzali się w konceptach. Jeden z nich wreszcie zagrodził jej drogę i zapytał:

— Może księżaneczka chce pierścioneczek?

— Proszę iść swoją drogą!—rzekła ostro.

Janek podniecony temi zaczepkami, wysforował się naprzód i krzyknął:

— Patrz pan sobie pod nogi, ażebyś oka nie złamał!

— A tobie co się tu należy?

— Mnie nic się nie należy, ale panu za pierścionek mogę wypłacić gotówką! — krzyknął podnosząc w górę dobrze okutą laskę.

Towarzysze pociągnęli śmiałka, wiedząc, że nie przelewki, gdy się księżak rozeźli.

*) Wszystkie sceny i epizody są autentyczne.

Wyszli nareszcie na Stary Rynek. Tu już inna była publiczność. Stragany przepełnione droższą galanterją. Lustra, portmonetki, nożyki, parasole, hustki, torebki i wszystko co wchodzi w zakres damskiej garderoby.

Tu klijentela składała się przeważnie z żon i córek jarmarkowiczów, tradycyjnie kupujących na jarmarku nie to co potrzebne, lecz to co tanie, które jednak przez swą tandetę, okazało się zbyt drogiem.

— Podwiązki, pończochy, koszule, majtki! — wrzeszczał na całe gardło żyd z za Żelaznej Bramy. Panienki rumieniły się, zaś towarzyszący im młodzi panowie trącali się wzajemnie, dając tem do zrozumienia, że wiedzą o jakich majtkach mowa.

Między kupującymi i spacerującymi przeciskały się młode dziewczęta z wstążkami kolorowemi na ufryzowanych głowach, o twarzach ukraszonych barwiczką, śmiejące się wesoło i głośno, i papierowemi piłkami na gumowych sznureczkach zaczepiające przechodniów zwłaszcza młodzież, a nawet niekiedy starszych panów, którzy czuli się tem zażenowani i srogim zmrużeniem oczu ostrzegali przed tą poufałością, na co dziewczęta żadnej nie zwracały uwagi, w dalszym ciągu swawoląc.

Nagle trafiony piłką jeden z poważnych radców miejskich, odwrócił się niby od niechcenia i szepnął cicho:

— Słuchaj Mańka, jeżeli nie przestaniesz tych głupich żartów, to zawołam policjanta.

— A kupi mi pan całusków i wciubaska na palec?

— Później, jak się ściemni,—i chrząknąwszy, odwrócił się w przeciwną stronę, wpadając jednocześnie na znajomego referenta powiatu.

— Cóż to radca za dziewczętami po jarmarku się ugania?

— Bo powinniście ukrócić to rozzuchwalenie się, człowiek nawet wyjść na ulicę nie może.

— Pocóż radca tak je ośmieliłeś? Chociaż ta szelma Mańka ma sznyt — i tu poważni luminarze miasta zaczęli rozmawiać po cichu, oglądając się od czasu do czasu za Mańką.

Siekiera z kobietami stanął przy jednym ze straganów z galanterją i prosił Zochy, aby sobie co wybrała.

Podobała jej się broszka ze sztucznemi rubinami i perełkami. Żyd zacenił dziesięć złotych, lecz po długich targach, przysięgach i zaklęciach, oddał za półtrzecia złotego.

Zośka podziękowała mu spojrzeniem i uśmiechem, obracając broszkę do słońca, w którego promieniach pięknie się mieniła.

Południe już się zbliżało, Janek zaproponował kobietom wstąpienie do handlu na przekąskę, a potym mieli się rozejść za swemi interesami, by spotkać się później około godziny piątej przy karuzeli na Końskim Targu, jako w miejscu najbardziej dostępnem.

W szynku na Starym Mieście pełno było jak w ulu. Wielka sklepiona sala z trudnością mogła pomieścić biesiadników. Większość stała około bufetu, żądając wódki, piwa, lub przekąsek.

Tu odbywało się tak zwane dobijanie targu. Zwykle kupujący nadstawiali dłonie, sprzedający zaś po namyśle, uderzali w nie na znak zgody, lub nieprzystając na cenę, chowali ręce poza siebie.

Nasi znajomi usadowili się przy stoliku pod ścianą. Janek kazał dać herbaty, bułek kiełbasy i poczęli się posilać.

Zośka rozglądała się na wszystkie strony, szynkowniana atmosfera i na nią działała. Od czasu do czasu patrzyła na Janka z pod oka, on zaś, gdy się ich spojrzenia spotkały, rumienił się i spuszczał oczy.

Jakaś magnetyczna siła szła od niej i obezwładniała go. Przyczyniał się do tego i upał, a także przebyty pieszo dosyć duży szmat drogi.

Był w stanie jakiegoś błogiego upojenia, marzył o tym jedynie, aby usiąść gdzieś w chłodzie na ławce, pod drzewem, zdala od ludzi, oprzeć swą znużoną głowę o jej ramię i tak zostać obok niej, a wtedy, niechby się i świat skończył.

Dziewczyna wiedziała o wpływie jaki wywiera i bawiło ją to.

Marzenia Janka przerwał żydek, handlarz, który podszedł do ich stolika i pokazując jakiś zwitek, zawołał:

— Tużyn chustki webowe—pięcz rubli!

— Dziesięć złotych chcesz, to ci dam.

— Wesz pan!—rzekł żydek, dając mu chustki.

Janek, chcąc nie chcąc, musiał wziąć chustki, które mu nie były potrzebne i ofiarował je Zośce.

Żyd poszedł dalej proponować swój towar. Jeden z mieszczan, przyglądający się tranzakcji powiedział, że rubla to mu da za tuzin.

— Wesz pan!—rzekł z flegmą żyd, oddając mu towar.

Siekierze nieprzyjemnie się zrobiło, że dał się żydowi okpić, lecz winę sobie przypisał, podając zbyt wysoką cenę.

— Tużyn chustki webowe za pięcz rubli!—wołał żyd dalej — zbliżając się do zamożnej gospodyni z Bielaw.

— Taka to weba jak ja panna—rzekła gospodyni.

— Żebym ja tak zdrów był, ja miszlałem co pani prawdżywe panne! A jaj, jaj! Żeby ja miał takie kawał tłuste czało, to ja by zrobił majątek.

— To ci chycel przyścipny!—rzekła zadowolona gospodyni. Chcesz pięć złotych, to ci dam.

— Wesz pani! rzekł uprzejmie żydek—podając z wdziękiem towar.

Tu już Siekiera nie mógł wytrzymać, zerwał się z krzesła i krzyknął:

— To ty oszuście odemnie wziąłeś dwa razy drożej?

— Przecze tu są szwiadki, co wy gospodarzu sami dali dzieszęcz złotych.

— A licho cię wiedziało, że tak umiesz ludzi obełgiwać. Chodźmy stąd, a to jeszcze izraelita kapotę z człeka wycygani.

— Pódźwa, — rzekła matka Zośki, bośma się mieli spotkać z ojcem na Przyrynku.

— Pewno u Kozłowskiego, nie macie się co spieszyć. Walenty stamtąd tak prędko nie wyjdzie, bo tam zwykle wszystkie zarządy gminne mają postój, a wiadomo, że jak się gdzie zwierzchność zbierze, to bez butelki się nie obejdzie.

— No, Bóg zapłać Jaśku, za poczęstunek i ostajta z Bogiem—rzekła Walentowa, podając mu rękę, którą tenże pocałował.

— Idźta z Bogiem!—rzekł—a około karuzeli zaczekajta na mnie, jak tylko się z koniem obłatwię, to przyjdę.

Świeże powietrze owiało ich gdy wyszli, kobiety obeszły Rynek i około Magistratu skierowały się w ulicę Podrzeczną. Janek zaś udał się na Koński Targ.

Tu już. poczynając od ulicy Warszawskiej, ścisk nie do opisania. Nie pozostało nawet miejsca dla wyminięcia się dwuch bryczek, co odbywać się mogło jedynie kosztem nóg przechodniów.

Dopiero koło kościołka św. Małgorzaty można się było nieco rozpatrzeć. Tu w pełni wrzał jarmark. Przeważały postacie ogorzałe okolicznych obywateli, dzierżawców i oficjalistów.

Na okólniku pokazywano sobie różne postacie znane w kraju; wymieniano nazwiska posła do dumy Władysława Grabskiego, ks. Woronieckiego z Bielic, hr. Łubieńskiego z Psar, Orsetiego, Garczyńskiego, Mazarakiego, Zawiszę, Myszczyńskiego i wielu innych.

O ile mieszczanie przyglądali się „szlachcie" z pewną ciekawością, natomiast księżacy nie zwracali na nich żadnej uwagi.

— My tyż ślachta na swoi ziemi—mówili,—myświa nigdy nie byli poddani. Od niepamiętnych czasów płaciliświa czynsze arcybiskupom, i między nami dużo jest takich, co i dwudziestu miało poprzedników w swoim rodzie, na tym kawale ziemi.

I stali hardo, w swych białych i czarnych sukmanach, Bogusze z Niedźwiady, Perzyny z Bąkowa, Brzozowscy z Retek, Siekiery z Mastek i Otolic, Nowińscy z Popowa, Kaźmierscy z Małszyc i wielu innych. Mijały rządy, zmieniali się króle, oni jedni, jak przed wiekami, w czerwonych portkach i krasnych pasach stoją niespożyci i hardzi, bo wiedzą, że dopóki ich stanie, to Polska nie zginie.

Obywatele ziemscy wpadają dzisiaj tylko na parę godzin na jarmark, obejrzą konie, wypiją kilka butelek szampana i jadą do domu, oni zabaw na łowickim jarmarku już nie szukają. Natomiast skwapliwie chcą się zabawić oficjaliści, dzierżawcy mniejsi, praktykanci rolni, i ci na każdym kroku szukają wrażeń, zaglądają pod każdy kapelusz przechodzącej kobiety, narażając się nawet niekiedy na dotkliwe nieprzyjemności.

Siekiera stał przed rzędami koni i przyglądał się, czy nie znajdzie maści pasującej do jego konia. Na brzegu stał, skuliwszy nogi pod siebie, zabiedzony graniaty konisko, obok niego zaś, równie ze zwieszoną głową, stał szczupły starowina, wyglądający na wyrobnika z Bratkowic.

Jeden z trzech wesołych praktykantów, przechodzących obok, nagle zawołał:

— Pyszna maść graniata! jak raz pod wierzch! czekajcie, użyję starego.

Podszedłszy bliżej, uderzył pejczem konia i zapytał:

— Gospodarzu, co chcecie za ten perkalik?

Chłop powoli zwrócił głowę, spojrzał na chcących się zabawić jego kosztem młodzieńców, z zimną krwią podniósł koniowi ogon i rzekł;

— Niech pon wejdzie do sklepu, to się zgodziewa.

Towarzysze parsknęli śmiechem a młodzieniec zapomniał języka, dopiero Siekiera oprzytomnił go, mówiąc:

— No, czegóż panowie stoicie? Właźta hyżo do sklepu i nie zawalajta drogi!

Ogólny śmiech rozległ się dokoła a niefortunni dowcipnisie skryli się w tłumie.

Tutaj również rozlegały się głosy przekupniów:

— Walta sze na żymne wode, po dwa grosze, bardzo proszę!

Siekiera rozglądał się po okólniku, gdzie największy ruch panował. Objeżdżano konie w zaprzęgu i pod wierzchem. Konie były przeważnie większych majątków. Stajnie zarodowe prezentowały pyszne trakeny i anglo-araby, Janek, jak każdy księżak, był wielkim amatorem koni i lubił sie im przyglądać.

Okólnik coraz bardziej się zapełniał. Publiczność o tej porze zaczęła napływać z miasta. Starsi urzędnicy powiatu i magistratu przybywali w urzędowych czapkach, nakładając tylko długie buty, zaś kanceliści oprócz butów mieli czapki sportowe, rękawiczki i pejczami uderzając po cholewach, udawali „szlagonów", kręcąc się wśród kobiet i zaglądając im w oczy. Panie zaś z miasta, postrojone, nie gniewały się zbytnio, gdy jaki prawdziwy „szlagon" impertynencko zajrzał im w oczy—to na jarmarku było przyjęte. Natomiast nie wypadało, aby panie z miasta w pierwszy dzień jarmarku chodziły do teatru, szlachta bowiem w tym dniu pozwalała sobie zawiele, tak przynajmniej powtarzały babki wnuczkom.

Tymczasem mijały dziesiątki lat, szlachta, przyjeżdżająca na jarmarki z kozakami, przybranemi w ich barwy, wyginęła, wymarła, lub wyprzęgła z majątków, przyjeżdżającym na jarmarki dzisiaj nie starczy nieraz na forysia, że niekiedy nawet sami powożą, lecz konserwatywne panie z miasta nie chodzą do teatru, a nużby jeszcze w którym zagrał szlachecki animusz i porwałby cudną mieszczkę?

A animusz był. Pamiętają jeszcze starzy ludzie, gdy przyjechała na jarmark piękna Aspazja, szlachta na jej cześć wydała ucztę, wykąpawszy ją następnie w szam-

pańskiem winie, wino wypiła, a Aspazję w karecie, poprzedzanej przez orkiestrę Hollandów, obwoziła z muzyką po mieście. Liczny poczet, bo kilkadziesiąt koni towarzyszył pojazdowi. Gdy kawalkada przejeżdżała około gmachu magistratu, ówczesny burmistrz rozkazał pachołkom policyjnym rozegnać pochód. Szlachta na komendę skoczyła z koni i pochwyciwszy burmistrza, wepchnęła go do karety, sadzając obok pięknej kurtyzany i pochód ruszył dalej.

Zajście zakończyło się powtórną libacją w towarzystwie burmistrza, który później całując na pożegnanie Aspazję w rękę, rzekł z galanterją:

— Pani dobrodziejka to by nawet świętego mogła skusić.

Co było dalej, kronika milczy, tylko, że odtąd, podczas jarmarku, zwierzchnikowi miasta bez pani burmistrzowej nie wolno było pokazywać się na mieście, pani zaś oświadczyła, że nawet samego widoku szlagonów znieść nie może.

Siekiera upatrzył sobie konia, którego stargował, podprowadził do sąsiada z tejże wioski, prosząc o zabranie do domu razem ze swemi. Poczym skierował się ku Glinkom by spotkać się z kobietami.

Zdaleka już dochodził go głos katarynki, w której co kilka taktów odzywała się przeraźliwie trąba.

Tłum zwartą masą otaczał dokoła karuzelę. Służące, robotnicy, włościanie, żołnierze, dziewczęta wiejskie, a przed niemi niezliczona ilość chłopców, patrzących z zawiścią na szczęśliwców jadących na koniach, z nogami umieszczonemi w strzemionach, a w ręku trzymających lejce.

Janek przedarł się przez tłum, zewsząd popychany, i zaczął się przyglądać całej tej maszynie. U góry, pod płótnem, kilku chłopców popychało kie-

rat, wprawiający w ruch karuzelę, mając jako jedyną nagrodę chwilę wolnej jazdy na belce, podczas pauzy.

Gdy bieg zaczął się zwalniać, wychyliła się z pod belki, biała, kędzierzawa głowa i krzyknęła na cały głos:

— Felek! proś, prędzej!

W tej chwili z tłumu wycisnął się bosy chłopczyna, w koszuli i portczynach nie zapiętych z tyłu i zbliżywszy się do właścicielki odbierającej pieniądze, zdjął czapkę i rzekł z pokorną miną:

— Niech mi pani da trochę pokręcić!

Pani spojrzała na niego okiem znawcy, oparła mu rękę na ramieniu, obróciła tyłem, spojrzała na nogi i zawyrokowała:

— Jeszcześ za mały, idź sobie!

— Umiem, proszę pani, umiem!

Lecz wszechwładna pani odwróciła się i poszła dalej. Chłopczyna został chwilę z oczami wlepionemi w ziemię, następnie zaczął rękawem łzy ocierać, że jego zaofiarowanie pracy tak brutalnie odrzucono.

Siekierze żal się chłopca zrobiło, i gdy karuzela stanęła, wziął go za ramiona i posadził na koniu, płacąc za dwie partje.

Chłopiec z początku myślał, że Janek żartuje z niego, lecz gdy karuzela ruszyła, a właścicielka nic nie mówiła, nieobeschłe jeszcze oczy chłopca zabłysły niezwykłą radością, nogami poruszał w strzemionach, zaś obydwie ręce zarzucił koniowi na szyję i płynął w przestrzeni jak Farys wśród piasków pustynnych, krzyknąwszy tylko na cały głos:

— Michał, ja jadę na koniu!

Jankowi przyjemnie się zrobiło, że za tak małą sumę, dał dzieciakowi tyle szczęścia.

Nagle zakotłowało się w tłumie i Siekierze się zdało, że słyszy dominujący głos sołtysa Walentego, ojca Zochy:

— A zasię tobie parchu za katolickie nosy łapać! Widzisz go, chycel jeden! Ja ci draniu pokażę! Za pejsy się łap, ty zatracony! Trzymajta go chłopcy! Ty psubracie, nie widzisz co sołtys jestem?

— Chodźta tatulu, co bedzieta się kramarzyć z żydem, niech złamie kark,—wołała Zocha.

— Pudzi stary, niech go wciurności!—nastawała Walentowa.

— Ja naucę tę bezkurcyją! Trzymajta go chłopcy..

Nagle przez tłum zaczął się przedzierać żyd z koszykiem nadymanych baloników i grających djabełków.

— O co wam chodzi, sołtysie?—zapytał Siekiera Walentego,—który, podchmielony i czerwony, w kapeluszu na bakier, gwaftem się wyrywał w kierunku uciekającego żyda.

— Bo me psia para zyd, za nos chycił łapą.

— Jakże to? zapytał Janek.

— A stanęliśwa—rzekła Walentowa—wedle żyda, bo chycel nadymoł djabelki gumalastyczne i jak je pociągoł za nos to piscały. Mój stary pedo, co to oszustwo jest, a żyd go chycił za nos i tyż zaczeno piscyć.

— W gębie miał psia dusa pisckę, a ręką ino trzymał sołtysowy nos — rzekł stojący obok sąsiad z Jastrzębi.

— Ale po co obrzynek za katolicki nos łapie! Niech sobie świnioka za ogun chyci — rzekł udobruchany już nieco sołtys.

Jankowi udało się nareszcie wyprowadzić sołtysa na bok, gdzie przystanęli, przyglądając się jadącym na karuzeli.

— Siadajta niewiasty to pojedziewa! Kiej użyć jarmarku to użyć!—rzekł zataczając się sołtys. No dalej matka, właź na kunia!

— Co tyż ty stary wyprawiasz, żebym ja na kunia, na stare lata. Tfy na psa urok!

— Dalej Jasiek, zabiraj Zochę i jazda!—nima gadania!..

— Kiedy już koniecznie chceta, to wsadźta niewiasty do kalotki. a i wam bym radził przysiąść się, bo z konia spaść łatwo, jako że dzisiaj, u was sołtysie, mało w nogach krzepy.

Posadzono sołtysa obok matki, a młodzi siedli na przedzie. Jankowi siedzącemu obok Zochy, zdawało się, że leci z nią gdzieś w zaświaty. Przycisnął się do niej ramieniem i czuł jej drgające żywe ciało. Ona się nie odsuwała i patrzyła na niego z przymileniem.

— Dobrze ci, Zocha? zapytał szeptem.

Nic nie odpowiedziała, tylko bardziej przysunęła się do niego.

Janek przymknął oczy i czuł tylko, jak ciepły prąd powietrza owiewał mu twarz i że nieznana jakaś siła niesie go w przestrzeń z rykiem i szumem.

— Oj, mdli me!—wrzasnął nagle sołtys i zaczął się niespokojnie poruszać.

Janek, wyrwany z marzeń, nie wiedział co robić, poradził jedynie Walentemu zasłonić oczy, gdyż o wstrzymaniu karuzeli nie mogło być mowy.

Nareszcie odezwał się dzwonek i karuzela zaczęła zwalniać biegu, poczym bladego sołtysa sprowadzono na ziemię, lecz jeszcze bardziej kołowało mu się w głowie.

— Oj, stary, stary!—rzekła Walentowa—że też zachciało ci się głupstw.

— Dajta mi piwa, bo me cięgiem ciśnie na wnątrzu—lamentował sołtys.

— Ale, piwa, żeby cię jeszcze bardziej wzieno.

— Wode sodowe, żymne i zdrowe! wołał żydek stojący nieopodal ze stolikiem.

Gromadka nasza skierowała się ku niemu i sołtys po wypiciu szklanki jakiegoś brudnego płynu, poczuł się lepiej.

Siekiera, pragnąc Zośce sprawić przyjemność, zaproponował pójście do teatru. Mieli iść we troje z matką, sołtysa zaś jako strutego, postanowili wyprawić do domu. Odprowadzili go więc do wozu sąsiada, z którym przyjechał na jarmark i wsadzili na brykę, gdyż sąsiad za małą chwilkę miał ruszać do domu.

Janek, mając poważną skłonność ku Zośce, pragnął z duszy, aby polubiła szlachetniejsze rozrywki, któreby pobudziły ją do myślenia, kształciły, a nie ograniczyły się tylko do wieczornic i muzyk, stanowiących jedyne dla młodzieży, a szczególniej dziewcząt, spędzenie czasu.

Sam nigdy nie opuszczał sposobności i bywał często na przedstawieniach amatorskich urządzanych już to staraniem Związku robotników chrześcijańskich, Resursy rzemieślniczej, lub „Lutni" Łowickiej. Z przedstawienia takiego powracał zawsze pokrzepiony na duchu lub rozbawiony.

Zatrzymali się przed szafką na rogu. Janek począł odczytywać afisz: „Dziś, w Piątek odegraną będzie tragedja Szyllera p. t. „Zbójcy akt IV. Na zakończenie humorystyczne „Divertissement". Rolę tytułową odegra Wiedeński tragik, Oskar.

— To tam będą prawdziwe zbóje—zapytała Zocha—może to będzie straszne?

— Krzywdy nam napewno nie zrobią. Nie znam tej sztuki, w każdym razie zobaczymy co to będzie. Kupił w kasie bilety i udał się z kobietami na galerję. Miejsca mieli wygodne, z boku po prawej stronie. Zocha zaczęła się rozglądać dokoła i spojrzała na dół. Kilka pierwszych rzędów zajęli goście jarmarczni, w kapeluszach przeważnie okrągłych, z pędzelkami z tyłu i w długich butach, a wszyscy weseli i roześmiani. Następne rzędy były próżne, dopiero ostatnie zajęte były przez publiczność z miasta.

W oczekiwaniu na przedstawienie, jarmarkowicze zaczęli się rozglądać po sali i przypatrywać siedzącym osobom. Jeden z nich, zauważył Zochę i zaczął się jej przyglądać. Za jego spojrzeniem zwrócili się inni, skupiając swą uwagę na ładnej dziewczynie.

Zocha się zarumieniła i nie wiedziała co z sobą zrobić, dopiero Siekiera, któremu to zwrócenie uwagi niepodobało się, poradził aby odsunęła się od balustrady i usiadła głębiej, co znowu wywołało śmiech wśród krzeseł.

— Głupie ludzie—rzekła Walentowa—dziwują się nie wiedzieć czego.

— Ludziom, którzy sobie podpiją, do uciechy nie wiele potrzeba—odparł Siekiera—byle kiwnąć palcem i radość gotowa.

Galerja powoli zaczęła się zapełniać, odezwał się pierwszy dzwonek, po pewnym czasie—drugi, wreszcie po dziesięciu minutach trzeci, lecz przedstawienie się nie zaczynalo.

Publiczność się niecierpliwiła i niezadowolenie swe objawiała głośnem tupaniem nóg i uderzeniami lasek.

Nareszcie gwałtownie zaczęła się poruszać kurtyna, kilkakrotnie uniósł się nieco dolny jej wałek drewniany i z hukiem opadał na podłogę. Manipulacja ta trwała już dwadzieścia minut, niektórzy głośno zaczęli robić uwagi że wszystko to wygląda na formalne kpiny.

W tym, od dołu, z lewej strony odchyliła się nieco kurtyna i coś zaczęło na kolanach pełzać zatrzymując się przed rampą sceny.

— O, to pewno zbój! — zawołała podniecona Zocha.

Nagle podniosła się dziwna postać w trójgraniastym kapeluszu, z harcapem z tyłu, w pończochach i pantoflach, we fraku z żabotami, podobna do djabła z Twardowskiego i zawołała płaczliwym głosem:

— Prześwietna publiczności!—niemogę w żaden sposób kurtyny otworzyć!

Czy kpi, czy o drogę pyta?—zawołał basem jakiś otyły obywatel.

Młodsi myśląc, że to już początek sztuki, zaczęli bić brawo, zanosząc się od śmiechu.

Przed kurtyną stał z miną zaambarasowaną człowiek około lat 50, z twarzą pomarszczoną i wygoloną, bez zębów, podmalowany i obracał niezaradnie w ręku trójgraniasty kapelusz.

— Więc cóż pan chcesz od nas?

— Żeby mi kto pomógł podnieść kurtynę. Rekwizytor chciał za drogo i poszedł sobie, a ja się tu nie mogę połapać.

— A to ci pajac! chce żeby mu jeszcze kurtynę podnosić! To odtańcz pan swoich Zbójców przed kurtyną.

Ktoś z miejscowych wezwał woźnego z Resursy Obywatelskiej, sąsiadującej z teatrem, i ten podniósł

kurtynę, co widząc aktor, czymprędzej uciekł za kulisy i wypchnął na scenę jakąś tłustą panią w sukni niedopiętej z tyłu, w przydeptanych trzewikach, która usiadła na krześle, podparła się ręką i udała zamyśloną. Nagle wbiegł ten sam aktor i zaczął do niej przyskakiwać, odskakiwać. łamać ręce, wreszcie chciał ją dusić.

Była to parodja sceny Franciszka Moora z Amalją z aktu IV.

Publiczność znudzona zaczęła ze sobą rozmawiać, nie zwracając uwagi na scenę. Wreszcie ktoś gwizdnął, poczęto hałasować i kurtyna się opuściła.

Niektórzy zaczęli opróżniać teatr, obywatele powoli wysuwali się na winta do hotelów, pozostali tylko wytrwalsi i ci, którzy żałowali wydanych pieniędzy. Do tych ostatnich należał i Siekiera.

— Niełądny ten teatr—rzekła Zocha—myślałam, że będą zbóje napadać w lesie, a tu ciągle jeno gadają i gadają—nie wiedzieć co.

— Nie udało im się dzisiaj—rzekł Siekiera—może to drugie będzie ładniejsze. Co prawda, to lepiej jest chodzić na teatr, urządzany przez naszych amatorów łowickich, a taki oszust przyjedzie, zabierze pieniądze i szukaj wiatru w polu.

Podniosła się znowu kurtyna i pani w przydeptanych trzewikach, ubrana już w krótką sukienkę, wypowiedziała wierszyk naiwny „Niech lalka będzie grzeczna". Po niej wyszedł znowu ten sam aktor, lecz już w jasncj kurtce i wypowiedział wierszyk o białej owieczce, mówiony przez małego chłopca, na imieniny ojcu.

Wykrzywiał się, robił różne miny, lecz nie mógł już rozśmieszyć znudzonej publiczności. Nagle jakiś młody rzeźnik z galerji krzyknął na cały głos:

— Do Kiernozi z takim teatrem.

Publiczność jakby czekała na to, zaczęła tupać nogami, gwizdać, uderzać laskami o podłogę, wreszcie jakiś bardziej krewki jegomość podniósł się z krzesła i wygrażając laską, zawołał:

— Gdzie jest ta biała owieczka z czarnym łbem? niech odda pieniądze!

Za nim ruszyła do kasy część śmielszych widzów, lecz kasa była zamknięta, zwrócono się za kulisy, ale i tu nie było śladu artystów, którzy już zdążyli się ulotnić.

Siekiera trącił Zochę, że trzeba wychodzić. Zocha obudziła matkę, śpiącą w najlepsze i powoli wyszli na ulicę.

Pomimo spóźnionej pory, ruch na mieście panował jeszcze dość duży. Gromadka nasza podążyła w stronę powiatu, by przejść na Nowy Rynek, a może jeszcze po drodze napotkają sąsiadów, którzyby ich podwieźli do domu.

Byli bardzo znużeni, szli w milczeniu.

Pierwszy Siekiera przerwał ciszę i rzekł:

— Podczas jarmarku nie warto chodzić do teatru. Ażeby to powetować, wezmę was kiedy na prawdziwy teatr, bo to niewiadomo co było.

— Nie bardzośmy użyli jarmarku, rzekła Zocha, wszędzie z tymi żydami trzeba się uganiać.

— A cóż poradzić nato, kiedy nasi nie potrafią handlować.

Minęli lasek i weszli na szosę. Przejeżdżały jeszcze kiedy niekiedy bryki zapóźnionych włościan. Noc była eiemna, bezksiężycowa, szli szparko, gdy nagle doleciał ich wrzaskliwy śpiew:

Żadna my się nie udała,
Ino Walerka, Walerka
A co my się uwijała
Da kole werka, da werka!

— Ludzie! adyć mi się widzi, że to nasz stary! — zawołała Walentowa.

Przyśpieszyli kroku i ujrzeli opartego o topolę i trzymającego się jej oburącz, sołtysa.

— Ociec! a czemużeś nie pojechał z sąsiadem? — zawołała Walentowa.

— Pojechał psia para i ostawił me.

— Musieliśta, tatulu, wstąpić gdzie i nie mógł się was doczekać — dorzuciła Zocha.

— Bogać tam nie wstąpił. Ino na jedną miarkę, a ten psia para, pojechał.

Kobiety wzięły sołtysa pod ręce i prowadziły dalej, co nie było łatwem, gdyż sołtys, uczuwszy punkt oparcia w ramionach, dał nogom folgę, wlokąc je za sobą i przyklękając co chwila.

Siekiera widząc, że tym sposobem nieprędko dojdą do domu, jął upatrywać kogo znajomego pomiędzy przejeżdżającemi.

Niedługo czekał, nadjechała bryka wdowy Szymonowej, jadącej samowtór z parobkiem.

Siekiera zatrzymał konie i poprosił Szymonowej o zabranie sołtysa, na co ta się chętnie zgodziła. Proponowała zabranie i reszty towarzystwa, lecz Janek nie chcąc nadużywać grzeczności, oświadczył, że ten niewielki kawałek drogi przejdą pieszo.

Z trudnością sołtysa wpakowano na brykę, aż Szymonowa się śmiała, że tak go zawiało. Konie ruszyły szparko, nasza zaś trójka powoli skierowała się ku domowi.

Janek przysunął się bliżej do Zochy i szepnął:

— Zocha, lubisz mnie?

— A czemużby nie.

— A chciałabyś mnie?

— Chciałabym.

— Bo ja ciebie bardzo miłuję. Ty jesteś dla mnie jak to słonko na niebie. Gdy ciebie nie widzę, to świata dla mnie niema.

— Mówisz, Janku, że mnie miłujesz, a ciągiem mi wydziwiasz.

— Bo ja bym pragnął, abyś ty była i najlepszą i najmędrszą z całej wsi, aby ludzie przed tobą, jak przed świętą klękali i dlatego może nieraz nie podoba mi się gdy chodzisz na muzyki, gdy tańcujesz z pierwszym lepszym parobkiem, który nie wart się dotknąć do ciebie, z pierwszym lepszym łobuzem.

— Wszystkie dziewuchy tańcują, a nikt im tego za złe nie bierze.

— A przecie jest tyle pięknych i szlachetnych rozrywek, choćby czytanie książek.

— Kiedy jak zacznę czytać, to mi się zaraz chce spać.

— Bo nie myślisz o tem, co czytasz. Będziemy teraz czytali razem.

— Ale pójdziemy czasem na tańce, Jaśku?

— Tak je bardzo lubisz? No, dobrze, pójdziemy kiedy.

Z szosy skręcili na boczną drogę, wiodącą wśród łanów płowiejącego zboża. Lekki, ciepły wiatr owiał ich niosąc woń rozmarynu i macierzanki. Janek ujął ją pod rękę i prowadził przodem, za niemi szła Walentowa z założoną na głowę zapaską.

Zamajaczyły z daleka pierwsze chałupy wioski. Janek silniej Zochę przycisnął do siebie i żal mu było, że droga się kończy.

Szedłby z nią tak ciągle, bez końca.

Zajęty zawsze pracą, lub czytaniem, trzymał się zdala od wiejskich dziewcząt, tańców nie lubił, więc nie miał okazji zbliżenia się do nich. Gdy spotkał którą przypadkiem, nie robiła na nim żadnego wrażenia, dopiero teraz ogarnęła go jakaś dziwna lubość, która rozpętała mu piersi. Czuł w sobie niezmierną moc kochania, chciałby przycisnąć do serca Zochę, Walentówą, te łany zbożne, nawet tę lipę przydrożną.

Gdy weszli w opłotki, Walentowa wyprzedziła ich i poczęła kołatać do sieni. Młodzi zatrzymali się nieopodal. Janek ujął Zochę za rękę i rzekł:

— No, ostaj z Bogiem i pamiętaj o mnie!

Nagle ujął ją wpół i raptownie pocałował w usta Zocha się żachnęła, lecz opamiętawszy się, szepnęła pół głosem:

— Co robisz, Janku?

Lecz zanim zdołała przyjść do siebie, Janka już nie było.

Szedł prędko, w stronę swej chaty, nagle zatrzymał się na drodze, by ochłonąć nieco.

— Dur jakiś padł na mnie—rzekł do siebie—ta dziewczyna dziwny urok na mnie wywiera. Widziałem ich tyle, i ładnych i roześmianych, a około każdej przechodziłem obojętnie. Zdaje mi się, że na całym świecie ona jedna tylko mi droga, ta moja Zocha!

Zdjął kapelusz, obtarł spocone czoło i myślał dalej:

— Jednego tylko się boję, lubi patrzeć na drugich i za tańcami przepada. Chociaż, zwyczajnie,

jak każda dziewucha. A mieszczki nie tańcują? Na balu strażackim, to same delegatów naszych zapraszały, nawet ja, co nie lubię tańców, nie mogłem się wyprosić. A pot to im kroplami spływał po twarzach. Kołowacizna i tyle.

Doszedł do swej chaty, zakołatał, otworzyła mu siostra, Hanka i zapytała:

— Tak późno z jarmarku?

— Byłem w teatrze z Zochą sołtysianką. Masz gościniec z jarmarku i podał jej paczkę pierników.

— Nie był usposobiony do rozmowy, wszedł prędko do komory i położył sią do łóżka. Długo nię mógł zasnąć, wszystkie wrażenia jarmarku wirowały do koła niego, a po nad wszystkiem unosiła się świetlana postać Zochy, tej ukochanej, tej jedynej!

II.

Kilka tygodni upłynęło od świętojańskiego jarmarku, który zwykle poruszał i wykolejał na pewien czas wszystkie okoliczne wioski.

Janek od tego czasu zupełnie zmienił tryb życia. O ile dotąd wszystkie wolne od zajęć chwile spędzał nad gazetami i książkami, obecnie wieczory i świąteczne popołudnia spędzał w chacie sołtysów. Czytywał Zośce różne ludowe powiastki i wierszyki, które już nauczyła się rozumieć. Gdy usiedli na przyźbie o zmroku, opowiadał jej o cudach przyrody, o gwiazdach, o słońcu, o ziemi, o dziwach na dnie oceanów, o zwierzętach w głębi dzikich puszcz, o ludach zamieszkujących inne części świata.

Zocha powoli zaczęła się zastanawiać nad wszystkiem, można ją było nieraz widzieć siedzącą nad książką, jednak gdy we wsi odbywała się jaka uroczystość z tańcami, nie mogła się oprzeć pokusie, by nie pójść na zabawę.

Towarzyszył jej zwykle Janek, którego powszechnie uważano jako narzeczonego, chociaż formalnie się nie oświadczył.

Zabawy te były dla niego istnym utrapieniem, gdyż sam nie biorąc w nich żywego udziału, musiał

patrzeć jak jego Zośkę co chwila zabierał kto inny i trzymał w objęciu, a ona, roześmiana, rozbawiona, pokazywała w uśmiechu, po przez różowe, pełne usta, swe białe jak perły zęby, oczy zaś przy zaróżowionej twarzy nabierały cudnego blasku. Przytym zgrabna i zręczna, tańcząca ładnie, powszechną zwracała uwagę. Lgnęli też do niej parobcy i każdy pragnął choć raz jeden z nią przetańczyć.

Janek już kilkakrotnie prosił matki aby się zająć swatami, lecz ta kochając swego jedynaka, jak mogła najdalej odsuwała tę chwilę.

— Czego ci tak pilno, jesteś młody, poznaj ją dobrze, mówią, że dziewucha jest płocha, za tańcami aż piszczy, raz chorą matkę zostawiła, a na muzykę pobiegła.

— Młoda jest, co jej się dziwić. Każdej na grzebieniu zagrać, to mało ze skóry nie wyskoczy.

Ojciec też nie był za tym, aby się syna pozbywać. Sam zamożny, na trzydziestomorgowym obszarze, gospodarując wzorowo przy pomocy syna i najętego parobka, nie pragnął zmiany, a wiedział, że Janek po ożenieniu siłą rzeczy będzie ciążył ku żonie, wysuwając się powoli z rodzicielskich objęć.

A syna kochał bardzo, sam piśmienny i oczytany, nie szczędził kosztów, aby jedynaka wychować ku społecznemu pożytkowi.

Po skończeniu wiejskiej szkółki, oddał Janka do Mieczysławowa, posłał go następnie na kursa pszczelnicze, a dalej, to już chłopak sam rwał się do nauki i nie opuszczał żadnej pogadanki, zarówno w kółkach rolniczych jak i w innych instytucjach w Łowiczu i okolicy.

Zajęty nauką, nic dziwnego, że nie mógł smakować w próżniaczem i bezmyślnem życiu swoich ró-

wieśników i stronił od wszelkich zabaw, które zawsze prawie kończyły się pijaństwem, a niekiedy i bójkami.

Dziewczęta z całej wioski napróżno tęsknym za nim wodziły okiem, grzecznym był dla nich, lecz nie zbliżał się do żadnej, chyba że interes tego wymagał. Parobcy zaś przezywali go „mądralą" i krępowali się w jego towarzystwie, gdyż każdą niestosowną śpiewkę lub wyrażenie, strofował i ośmieszał.

Janek coraz bardziej nastawał, aby słać do Zochy swaty, bo jak mówił, sprzątnie mu ją kto z przed nosa, a on by tego nie przeżył.

— Jeżeli dziewucha ci rada, to się nie da sprzątnąć nikomu, gdyby zaś poszła za drugim, to wtedy niewielka szkoda, bo takiej to człowiek nigdy nie upilnuje.

Widząc jednak, że Janek coraz bardziej chodzi jakiś smutny i osowiały, postanowili już nieodkładać i słać do sołtysów swaty.

Posłano tedy dwuch zasiedziałych gospodarzy, Zocha ich przyjęła wdzięcznie, z czego skorzystał sołtys i posławszy po wódkę, rzetelnie uraczył sąsiadów, pamiętając rozumie się o sobie, aż mu znowu zabrakło krzepy w nogach, i ustawicznie przyklękał, co tłumaczył naturą swoją, że mu wódka tylko w nogi właźi, a głowę to ma zawsze mocną.

Na drugi dzień zjawił się szczęśliwy narzeczony w towarzystwie sąsiada Gałaja i pokłoniwszy się do nóg rodzicom panny, przywitał się z narzeczoną serdecznie. Zocha była trochę onieśmielona i spuszczała oczy ile razy Janek na nią spojrzai, co jej więcej jeszcze dodawało wdzięku.

Ponieważ zaraz po żniwach miał się odbyć ślub siostry Janka z młodym gospodarzem z sąsiedniej

wioski, postanowiono w tym dniu odbyć zrękowiny Janka z Zochą.

Siekiera nie posiadał się z radości, że nareszcie jego najgorętsze pragnienie będzie ziszczone. Gdy powrócił do domu, ucałował ojca i matkę, siostrę, a nawet zamorusaną Frankę, służącą, która wywaliła oczy, co się gospodarskiemu synowi stało, bo jakkolwiek i radaby była, to jej jednak nigdy jeszcze nie zaczepił.

III.

Do wesela Siekierczanki czyniono przygotowania. We wsi zakotłowało się, boć to wesele nie byle jakie. Panna młoda i druhny szykowały już sobie stroje. Zocha także była kontenta, że jako pierwsza druhna, wytańcuje się dowoli.

Janek zastrzegł tylko, aby na weselu siostry i na jego zrękowinach nie było wódki, jeno najwyżej piwo i miód.

Ten i ów zaczął kręcić nosem na te jakieś nowomodne zwyczaje, lecz wobec spodziewanego sutego przyjęcia, tłumnie wybierano się na wesele.

Najbardziej sołtysowi Walentemu nie podobała się inowacja, ale umyślił temu zaradzić, od czegóż chłopski rozum.

Nadeszła wreszcie oczekiwana niedziela. Przed domem Siekierów zaczęły się gromadzić bryki, pięknie wymoszczone kilimkami, i zaprzężone w parę rosłych i tęgich koni, że kropla wody utrzymać by się na nich nie mogła; wszystkie chomąta i szory przybrane były wstążeczkami.

Druchny postrojone w kwiaty, drużbowie, oprócz bukietów, mieli przy czapkach i kapeluszach kwiaty

z pękiem jaskrawych wstążek, zwieszających się nad uchem.

Nagle uwagę wszystkich zwróciło echo dalekiej muzyki.

— Jedzie pan młody! zawołano chórem.

I niebawem zajechała pięknie przybrana bryka, na której siedział pan młody w towarzystwie dwuch drużbów: Janka Siekiery i drugiego, ubranego z miejska w kurtkę, czapkę i długie buty z cholewami sfałdowanemi w „harmonijkę". Z tyłu za niemi przygrywała kapela, składająca się z bębna, klarnetu i skrzypiec.

Na odgłos muzyki, dziewczęta zaczęły podrygiwać, a i parobcy jeden za drugim nogami jęli takt wybijać, zaś z chaty wybiegła stara Onuferka, pierwsza śpiewaczka weselna we wsi i na widok muzyki nie zdzierżyła, uniósłszy nieco wełniaka, zaczęła przed sienią dreptać i przyśpiewywać:

Zagrajcież mi tygo, tygo,
Bo mi ciągiem drygo, drygo,
W nocy drygo i w dzień drygo,
Oj grajcież mi tygo, tygo!
Hu! ha!

Janek się skrzywił, bo nie lubił tych ordynarnych śpiewek, które zwłaszcza pod działaniem alkoholu przebierały miarę i dochodziły wprost do wyuzdania, na co nieraz i duchowieństwo z ambon przeciwko temu powstawało.

Jeden tylko drużba stanął do wtóru Onufrowej, będąc już widocznie nie po pierwszym kieliszku, podkówkami przytupując, zaśpiewał:

Moja Kasiu trząchnij sobą
Bo mi źle tańcować z tobą,
Tak mi latasz kole boku,
Niby torba od obroku!
Hej! ha!

Dziewczęta zaczęły się śmiać w kułak i szeptać między sobą, przyglądając się nieznanemu drużbie. Był to chłop na schwał, wysoki, brunet, z niedużemi wąsikami, trzymający się prosto, z żołnierska.

Wreszcie któraś ze starszych poznała w nim syna zagrodnika z tejże wioski, sługującego po dworach za parobka, ostatnio wracającego z wojska, a ponieważ służyli razem z panem młodym, więc wprosił mu się na drużbę.

— Chłopak jak malowanie, szeptały dziewuchy i jedna za drugą poczęły zerkać na niego.

Stach wiedział o tym, że się podobał, i rzucał z pod czarnych rzęs ogniste spojrzenia po dziewuchach.

Muzykanci zatrzymali się w sieni, zaś drużbowie weszli do chaty, gdzie już gospodarował sołtys, częstując obecnych przyniesioną przez siebie wódką. Siekiera zobaczywszy to, zawołał:

— Sołtysie, toć nie politycznie na wesele do cudzej chaty przychodzić ze swoją wódką, wszak ci u nas miodu i piwa nie braknie.

— Ale gorzołki nie będzie, a wesele bez wódki, to jakby nieprzymierzając chrzciny przez dziecka. A oracyję kto wom rzeknie o suchej gębie?

— Wy zawsze musicie mieć rację, ino bójta się Boga nie częstujta druźbów, bo gdy proboszcz zobaczy nietrzeźwych, ślubu gotów nie dać.

— Przeciek nikt mu chuchał nie będzie.

— On i bez chuchania pozna.

— Po mnie by ta nie uznał, rzekł Stach, rotny nieraz i chuchać kazał, a czort go pobiery—ni wrot nie uznał. Nu panie sołtys, dajcie jeszcze rumkę dla rzeźwości, żeby żywot odobrzał.

Nagle drzwi się komory rozwarły i stanęła w nich panna młoda, w towarzystwie Zochy, jako starszej druchny.

Zocha pięknie wyglądała w swym księżackim świątecznym stroju, z kwiatami na głowie, aż Siekiera zapatrzył się jak w święty obrazek, nie mogąc od niej oczu oderwać.

Zocha uśmiechnęła się zalotnie, lecz nagle tuż za Siekierą ujrzała dwoje błyszczących oczu utkwionych w nią z takim wyrazem ciekawości i zainteresowania, że zapłonęła cała i spuściła oczy.

Po chwili dopiero odzyskała panowanie nad sobą i przywitała się z Jankiem.

— A Stacha Nowaka poznajesz?—rzekł Siekiera.

— Bogać tam bym poznała, kiej kawał czasu jak ze wsi wyszedł i nie miał wąsów.

— Ale skąd się taka harna dziewka wzięła we wsi? widziało się po świecie i w Pitrze różne krasawice ale takiej, nieprzychodziło się widzieć!

— Zocha Sołtysianka, nie poznajesz?

— Sołtysianka? co miałem poznać, kiedym szedł na służbę to jeszcze skrzatem była.

Oczy mu się paliły, że aż Zocha pragnąc przerwać tę scenę, zakrzątnęła się po izbie i zbliżyła do wchodzących dziewuch, które otoczyły pannę młodą.

Siostra Janka również była pięknie przybrana. Wśród zwojów muszlinu, kwiatów i złotego szychu, wysoko w górę, wznosiła się korona z potrójnych kwiatowych słupków, od których zwieszały się na ramiona zwoje różnokolorowych wstążek o księżackich barwach.

Izba powoli zaczęła się wypełniać. Drużbowie i druchny szukali swoich par i zaczęli się ustawiać, nadchodził już bowiem czas wyjazdu do Łowicza.

Gdy wszyscy się zgromadzili, wystąpił na czoło sołtys Walenty, by wypowiedzieć „oracyją”.

Siekiera, spojrzawszy na czerwony nos sołtysa i niepewne ruchy, zwrócił się do Zochy z zapytaniem:

— Czy aby ojciec urâdzi rzec oracją, bo widzę, że jest już nie po pierwszym?

Zocha się nieco stropiła, lecz zapewniła, że ociec są zwyczajni i do picia i do gadania.

Sołtys odchrząknął mocno, obejrzał się dokoła po izbie, zdjął kapelusz i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!—odpowiedziano chórem.

— „Zgromadzone Chrześcijany! Nadszedł dzisiaj dzień, jako tych dwoje młodych, tu przytomnie stojących, mają przed Panem Bogiem złożyć przysięgę, co się będą miłowali wieczyście i co się nie będą opuszczać aż do śmierci.

Ty, pani matko, patrzysz ze smutkiem na córkę, która chce dom twój porzucić i napróżno machasz ręcamy jak kokosz, aby pod skrzydłem utulić swoje kochanie.

I ty, panie ojcze, smutno spoglądasz na syna, który miał być twoją podporą a dziś ostawia rodzicielskie progi.

Wy zaś paro młoda spoglądacie jedno na dragie, bo nie wiecie co jutro wam przyniesie: czy stadło wasze będzie szczęśliwe, czy będziecie żyć nieprzymierzając jak pies z kotem.

Dla tego też, ty, panie młody, powinieneś kochać i szanować żonę, nie bijać jej o byle co, nie włóczyć się po jarmarkach po próżnicy, nie łazić po karczmach, nie szukać cudzych fartuszków, a łaska boska będzie z tobą.

I ty, panno młoda, powinnaś kochać i szanować męża, posłuszną mu będąc jako we dnie tak i w nocy, nie rozbijać mu o łeb garnków, gdy zmartwiony przyjdzie do chaty, bo pracowity chrzcścijanin musi czasem zalać robaka. Dziatki swoje, gdy je pan Bóg użyczy, wychowywać przykładnie, na chwałę i moc polskiego narodu.

A teraz, młodzi, padnijcie do nóg ojcom waszym, aby wam udzielili błogosławieństwa na tę nową drogę życia, abyśta się mnożyli jako piasek w polu, jako liście na drzewinie, teraz i zawsze i na wieki Amen".

Sołtys otarł spocone czoło i mrugnął na Janka, że mu w gardle zaschło. Janek przyniósł mu szklankę miodu, którą Walenty wychylił duszkiem.

Młodzi uklękli przed rodzicami, którzy ich przeżegnali krzyżem świętym i wszyscy zaczęli wychodzić z chaty.

Na pierwszej bryce usiedli państwo młodzi i pierwszy drużba Janek z druchną Zochą, z tyłu, za niemi, usadowili się muzykanci. Stach ze swoją druchną, chciał także usiąść na tej bryczce, lecz już niebyło miejsca.

Powoli zapełniły się wszystkie wozy, orkierstra zagrała i bryczka z państwem młodym ruszyła pierwsza, za nią następna z drugą parą drużbów, gdzie usadowiła się także Onuferka, przyśpiewując ciągle w takt muzyki.

Długim sznurem ruszyły wozy do Łowicza, do parafjalnego kościoła świętego Ducha. Ten i ów przystawał na drodze przysłuchując się muzyce i przyglądając się ciekawie pannie młodej, która podług ogólnie przyjętego mniemania, powinna być zawsze najładniejszą.

W tym wypadku oczy patrzących z panny młodej kierowały się na Zochę, która przykuwała wszystkich swoją urodą. Janek spoglądał na nią z miłością i trzymał jej rękę w swojej. Uśmiechała się do niego, lecz była jakaś podniecona, czy uroczystą chwilą, czy też spodziewaną zabawą.

Panna młoda była także stropiona, ciągle zasłaniała sobie twarz chusteczką od nosa, nie chcąc być dziwowiskiem przechodniów. Pan młody, zamyślony, rozglądał się po okolicy, której znał każdy kamień, każde drzewo.

Janek uścisnąwszy Zochę za rękę szepnął:

— Niedługo i my tak jechać będziemy. Co, Zocha?

Spojrzała na niego z pod przymkniętych powiek i uśmiechnęła się zalotnie.

— La Boga! i tyle będzie narodu, i muzyki i tańców! to ci będzie uciecha!

— Zocha, to mnie tylko martwi, że ile razy wspomnę o naszym weselu, tobie tylko tańce na myśli. Dla mnie najwyższą radością będzie, gdy zdala od tej dzikiej wrzawy, będziemy rozmawiać o troskach i radościach, gdy będę mógł nazwać cię swoją do grobu i poza grób nawet, gdy każdy twój smutek oddalę, gdy każdą łzę będę mógł zcałować z twych oczu. Może ja jestem inny jak wszyscy ludzie, co ustawicznie się swarzą i biją z kobietami swemi. Ja bym chciał cię otoczyć wszystkiem, aby ci na niczem nie zbywało, chciałbym, abyś ty była dla mnie najlepszą, najpiękniejszą i najmędrszą. Byśmy ludziom byli przykładem, że szczęście mieszka w nas samych, a tylko ludzie wzajemnie się unieszczęśliwiają.

— Ty tak mądrze mówisz, Janku, że mnie aż strach bierze, czy ja cię aby potrafię pojąć.

— Pojmiesz mnie Zocho, bylebyś tylko chciała. Myślę, że gdy będziemy razem, to samochcąc poznamy się lepiej, gdy smutki i radości będą nam wspólne, i gdy, jak nasz kochany Mickiewicz powiedział: „Co jedno pomyśli, już drugie odgadnie". Książki są zaraźliwe, jeżeli je kto polubi, one mu coraz bardziej umysl rozjaśniają i później stają się taką potrzebą, że bez nich życie byłoby nic warte.

— Czytałam nieraz kupione na jarmarku książki, to takie są w nich bajdy, że nie doczytałam do końca.

Ja ci w księgarni wybiorę takie, że będą cię interesować.

Rozmowę przerwał łoskot bryczek, które wjechały już na bruk ulicy Piotrkowskiej, jednocześnie zabrzmiała kapela na pierwszej bryce.

Wozy zatrzymały się na placyku около plebanji i powoli zaczęły się opróżniać.

Wygramolił się i sołtys, który jako starosta weselny, zabrał głos:

— Słuchajta narody! Do nieszpór jeszcze kawał czasu, chodźwa teraz do Kaźmirka na pokrzepienie.

— Jeno sołtysie baczcie, aby nie przebrać miary—rzekł Siekiera—bo oprócz obrazy boskiej będzie i śmiech ludzki.

— Nie bój się Janku! półkwaterczyna nie zamroczy człeka.

— A i od kurzu w gardle zaschło, wtrąciła Onuferka i dla wypróbowania głosu wrzasnęła z całej siły:

Hej tam na polu jabłoń
A pod nią leży Kasia
Okryła się fartuszkiem
I czeka na Ignasia!
Hu! Ha!

— Ludzie! nie róbcie hałasu! wołał niezadowolony Siekiera—patrzcie, że już łyki miejskie zbierają się i będą was wykpiwać.

— A cóżto! nie wesele, czy co?—wołała Onuferka—lo Boga! że tyż człekowi i w taki dzień poweselić się nie dadzą.

— Narody do szeregu! zawołał sołtys—idziewa na przekąszenie i złapawszy Onuferkę za rękę, jął kroczyć przodem do najbliższszego szynku.

— Za nim udali się parami państwo młodzi, drużbowie i druchny. Tu już panna młoda zupełnie zakryła sobie oczy chusteczką, bo coraz natarczywiej przechodnie zaczęli jej w oczy zaglądać.

Zocha szła rozpromieniona obok Janka, śmiało patrząc na wszystkich, słuchając z przyjemnością uwag czynionych przez stawających na trotuarze przechodniów, używających w pełni dnia świątecznego.

— Niczego dziewucha — rzekł jeden — warta grzechu!

— Baczcie by wam grzech nie wylazł bokiem, mitygował go sąsiad. Szelmy księżaki za zaczepianie dziewuch kupą walą, a jeszcze jak sobie podpiją—niebezpiecznie zaczynać.

Siekiera szedł poważny, nie lubił tych publicznych występów, zwłaszcza gdy nie był pewny, czy który z jego towarzyszów nie wyrwie się z czemś niestosownem, kontent więc był, gdy się znaleźli w szynku.

Kazał podać herbatę i zakąskę dla siebie, Zochy i państwa młodych i usiedli razem przy najbliższym stoliku. Sołtys zaś, Onuferka i Stach raczyli się wódką i piwem, jakkolwiek mieli już nieco w czubie; reszta też pozajmowała wolne stoliki.

Muzykanci zagrali na vivat, przypominając też o sobie. Pan młody kazał im podać piwa i towarzystwo stawało się coraz głośniejsze. Onuferka w takt muzyki przytupywała aż nagle huknęła:

Siedzi Magda w rzepnym dole.....
A Maciek ją.....

— Dajcież Onuferko już raz pokój z temi śpiewkami, przerwał Siekiera. Nawet przed błogosławieństwem kapłańskiem wstydzilibyście się takie zbereżeństwa wyśpiewywać.

— Kiej wesele, to wesele. Hu ha! wrzasnęła Onuferka. No, Pieter, twoje zdrowie! żebyś i ty ładną pojął dziewuchę:

Oj ładną pojął dziewkę
Co ma gładkie liczko,
Pończoszkę pełną śrybła,
Za stanikiem—mliczko!

— Sołtysie! czas już do kościoła—rzekł Janek — podnosząc się z krzesełka niecierpliwie. Za nim zaczęło się podnosić całe towarzystwo.

Sołtys wychylił resztę ze szklanki, splunął głośno pod nogi Onuferce, odwrócił się plecami do bufetu, poprawił kapelusza i na cały głos zawołał:

— No, panowie ślachta! do porządku dziennego. Dziewuchy, łapta swoich chłopoków i chodźwa do domu bożego.

— Odpocznijcie trochę na powietrzu, rzekł Janek, bo jak was takich czerwonych kanonik zobaczy, to wyżenie ze świątyni pańskiej, jako zatraconych pijaków.

Jestem ci sobie pijok,
Gorzołeczki kropnę.
A kto mi się wydziwio
To go we krzyż kopnę!

śpiewała w dalszym ciągu Onuferka.

Nareszcie towarzystwo wysypało się na ulicę i wszyscy ustawili się jak należy. Państwo młodzi szli przodem, trzymając się za rogi chusteczki, za niemi drużbowie i druchny, oraz kilka starszych niewiast; pochód zamykał sołtys z Onuferką, która mu jakoś dotrzymywała towarzystwa, przypominając dawne czasy, jak to razem wywijali oberka.

— Ja tam jeszczebym uradziła, ale co wy, sołtysie, to już całkiem nie macie kliju we członkach, nożyny to wom się gibają, jak, nieprzymierzając, jednodniowemu cielokowi.

— Teraz me jakoś wzieno i kolana mi się gną, jako że idę do świątyni pańskiej, żeby nie to, tobym wom jeszcze pokazał.

— No pokażeta na weselu.

— Jeszcze wom przyklękanego pokażę, jakto wtedy, pamiętacie na weselu Polita?

— Bogać tam nie pamiętam, jak nas młodzi dziedzice i ślachta z miasta wzieni w górę.

— Tylo, psie pary, mnie potem upuściły, a ino was bujały.

— A narobili mi wtedy sinioków, com wyglądała nieprzymierzając, jak kartofel z wiesną.

— Zawdyć to były inaksze czasy—westchnął Walenty—i utknął na cmentarzu kościelnym, zawadziwszy o kamień, ledwie że go Onuferka podtrzymała.

Przed kościołem stało już kilka gromadek weselnych, na czele każdej, państwo młodzi trzymający się za chustkę.

— Gdy się orszaki uszykowały, dopiero można było zauważyć, że niemal wszyscy byli podchmieleni. Dziewczętom pot kroplami spływał po twarzy, parob-

kom aż się kurzyło z czupryn, wszyscy zaś kołysali się jak łany zbożne.

Walenty z Onuferką wcisnęli się w tłum, by najmniej być na widoku; bo kanonik miał dobre oko, a wtedy kompromitacja pewna, gdy trzeba wyjść z kościoła. Bywały wypadki, że całe orszaki weselne wypraszano i dopiero na drugi dzień wolno im było przystąpić do ślubu.

Na szczęście kanonik miał wyjazd i spieszył się ze ślubami. Powiedziawszy krótką przemowę i odmówiwszy modlitwy po kolei odbierał przysięgę i łączył młode pary.

Po skończonych obrzędach, orszak nasz wysunął się za innemi. Siekiera pilił, aby jechać jak najprędzej lecz oparł się temu sołtys, Stach, Onuferka i reszta starszych niewiast, aby wedle zwyczaju i dla raźności wstąpić na „kwilę" do Kaźmirka, a potem zaraz w drogę.

Tu już i panna młoda musiała się trącić kieliszkiem i odwróciwszy się, wychyliła do dna.

Sołtys Walenty zwrócił się do Onuferki i jął jej szeptać do ucha, że trzeba wypić jeszcze jeden na zapas, bo u Siekierów prawie ino wodę trzeba chłeptać, jak kaczka.

Janek widząc na co się zanosi, zerwał się i zawołał:

— Za długo marudzimy, a tam w domu nas oczekują. Chodź Zocha, siadamy, kto chce, niech zostaje.

Na takie stanowcze słowa, zaczęli się obecni powoli zabierać. Onufrowa wzięła pod rękę Walentego i wyprowadziła go na powietrze. Tu sołtys jeszcze bardziej „skapiał", że musiano go wsadzić na brykę.

Nareszcie wozy ruszyły, muzykanci ucięli od ucha i tylko kiedy niekiedy, z ogólnej wrzawy wyłaniał się piskliwy głos Onufrowej:

Oj dana, dana, dana,
Mam spódniczkę po kolana.
Siądę sobie wedle dróżki
I pochowam w trawie nóżki.
Hu! ha!

Na drodze do wsi, weselników oczekiwała cała gromada i poczęła ich witać kapeluszami i czapkami. Orszak skierował się przed chatę Siekierów, gdzie już rodzice Janka oczekiwali nowożeńców z chlebem i solą.

Muzyka zagrała i młodzi zostali wprowadzeni do chaty, gdzie stały suto zastawione stoły. Parę młodą posadzono na pierwszym miejscu, obok siedzieli rodzice państwa młodych, dalej inni wedle starszeństwa.

Walenty jął sadowić się około Onuferki, lecz matka Zochy chwyciwszy go za kołnierz kapoty wywlekła z ławy i usadowiła obok siebie.

— Zatracony pijoku, nie wiesz gdzie masz siedzieć? Cudze grzędy będziesz wycierał?

— Kiedy me jakoś zamroczyło, myślałem, że rychtyk moja baba.

— Coraz częściej cię mroczy. Od czasu, jak ostołeś sołtysem, to żadnego wyręczenia z ciebie niema, cała gospodarka ino na opiece parobka.

— Nie gadaj po próżnicy, zaglą̨da się chyla tyla gdzie trza. Cięgiem przecie nie mogę patrzyć za porządkiem, jako że wedle urzędu tyż trzeba być w gotowości.

— Dalibyśta, Walentowo, spokój sołtysowi—rzekła Onuferka—niechże się pożywi, przeciek od rana jest o czczej gębie, przez co go tak wzieno.

— Mnie się widzi, że i was wzieno, bo jakoś nie możecie widzielcem do gęby trafić.

— Nie swarzta się niewiasty po próżnicy—rzekł sołtys,—jak się z misy kurzy, to jeść, a nie gadać.

Większość biesiadników jadła w milczeniu, popijając miodem od czasu do czasu. Młodzi spieszyli się, by prędzej rozpocząć tany.

Dziewczęta zaczęły rzucać na chłopaków cukierkami i orzechami. Stach był formalnie zasypywany, lecz mało się odwzajemniał, rzucając jedynie na Zochę, która mu odpowiadała, co się znowu nie podobało Jankowi, lecz nie czynił jej uwag by nie psuć zabawy.

Orkiestra pokrzepiwszy się, urznęła nagle oberka. Na to hasło, zaczęli wszyscy wstawać od stołu. Wedle zwyczaju, każdy z drużbów musiał przetańczyć z panną młodą. Janek, jakkolwiek nie lubił tańczyć, lecz jako pierwszy drużba, rozpoczął taniec. Oddawszy pannę młodą innemu, zwrócił się do Zochy i puścili się w tany. Otoczywszy ją swym ramieniem, gdy ujrzał ją całą przy sobie, dopiero wtedy zrozumiał przyjemność tańca. Biegłby tak ciągle, trzymając ją silnie w objęciu, lecz czuł, że jeszcze chwila, a z sił opadnie, tak mu w głowie krążyć zaczęło. Zatoczył jeszcze raz koło i zatrzymał się, opierając o ścianę, żeby nie upaść!

— Zmęczyłem się—rzekł—nie jestem zwyczajny tańca, chociaż z tobą, Zocha, tańczyłbym do upadłego, tańczysz tak lekko, jak piórko.

— I ty Janku tańcujesz zręcznie, chociażeś taki mądry.

— Według ciebie tylko głupcy powinni dobrze tańczyć?

— To nie, tylko że zawsze widziałam, który parobek uczeńszy, to gorzej tańczy, a i na okrężnem we dworze, jak przyjechali z Warszawy bardzo uczeni, co książki piszą, to jakeśwa ich prosili do tańca, to im nieszło jakoś, a insza ślachta tańcowała aż miło.

— Widzisz, kto polubi naukę i kształci głowę— temu już na kształcenie nóg szkoda czasu, dlatego też ludzie uczeni mają zmyślniejszą głowę niż nogi, a u innych nogi górują nad głową.

— Nie godzi się, żeby starsza druchna nie tańcowała—przerwał rozmowę nadbiegający w podskokach Stach i chwyciwszy Zochę wpół, puścił się w tany.

Dał ręką znak muzyce by urznęła od ucha i nasunąwszy czapkę na bakier, uderzył w podkowy i jak wicher skręcili się w koło. Pęk krasnych wstążek u czapki tworzył w powietrzu tęczową smugę. Muzyka grała w przyspieszonym tempie oberka. Stach tańczył „przyklękanego". Koło tworzyło się coraz większe, bo niebezpiecznie nawet było tańczyć przy tym żywiołowym rozmachu wspaniale dobranej pary.

Zocha znalazła się w swoim żywiole, tak znakomitego tancerza nie miała jeszcze nigdy, unosił ją prawie w powietrzu. To też wdzięcznie wyglądała, zaróżowiona, z uśmiechem na rozchylonych ustach, w tym szalonym wirze, to wyniosła jak topola, to pochylona jak wiotka trzcina na szyję tancerza, gdy na kolano przypadał.

Nikt nie miał odwagi dotrzymywać im placu, utworzyła się tylko dokoła nich galerja, zostawiająca cały teren tańczącej parze.

Onuferka z oczami wytrzeszczonemi śledziła każdy ich ruch, przyklaskując i wykrzykując: Hu, ha!

Janek patrzył z początku obojętnie, lecz gdy szał taneczny ogarniał ich coraz bardziej, zmarszczył

brwi i patrzył ponuro na szczęśliwca, który mu jego Zochę zabrał jak swoją.

Nareszcie taniec doszedł do kulminacyjnego punktu, wszyscy zaparli oddech, bo zdawało się, że rozszalała para lada chwila rozpryśnie się w drzazgi; gdy nagle tancerz raptownym zwrotem zatoczył koło mniejsze i wysoko nad siebie uniósłszy tancerkę, wolno postawił ją na ziemi, odprowadzając następnie słaniającą się, do krzesła pod ścianę.

Ogólny poklask był nagrodą tańczących. Zocha oparłszy głowę o poręcz krzesła, oddychała ciężko, Janek pobiegł czemprędzej po wodę, by się mogła ochłodzić; wypiła chciwie całą szklankę i powoli zaczęła przychodzić do siebie.

— Nie należy tak bardzo się męczyć to ci może zaszkodzić—rzekł Janek.

— O, nie, już mi dobrze; trochę tylko zakołowało się w głowie.

Stach także stał pod ścianą, ocierając pot z czoła i zerkał od czasu do czasu na Zochę, którą się Janek troskliwie opiekował.

Onuferka podbiegła do Stacha i z zachwytem znawcy poczęła wychwalać jego zręczność.

— Różnych widziałam chłopaków, ale coby tak przyścipnie tańcowali, to widziałam ino na tyjatrze. Już to co prawda, ale ty Stachu, jesteś galanty, bo i na gębie gładki i wielką krzepę w członkach mający. Raz tylko, gdy byłam jeszcze dzieuchą, na weselu starego Szachowicza, tyż mnie jeden z parobków chycił w oberku na rękę, ale nie zmógł, i zwalił się ze mną na podłogę, przez co insi tyż się poprzewracali, że me ledwo żywą z pod kupy wyciągnęli. A ty tak zmyślnie wzioneś ją w górę, że nawet dziewucha sromać się nie miała czego.

— Ta Zocha to jak malowanie. Jak ją ujmiesz człeku w pół, u! to nie daj Bóg!

— Tylko się bardzo do niej nie zalecaj, bo ona już ma swego chłopa i to nie pierwszego lepszego.

— Tak cóż z tego, jeszcze ślubu nie było, nie można wiedzieć.

Muzyka znowu zagrała, zaroiło się w izbie, z podłogi aż drzazgi leciały. Stach puścił się też w tany, ale już nie z takim ogniem, tańczył wolno, spoglądając od czasu do czasu w stronę, gdzie siedziała Zocha.

Ona też śledziła go ukradkiem z kim rozmawia i tańcuje, spojrzenia ich spotykały się często. Imponował jej swoją urodą, siłą i tą brutalną śmiałością, cechującą zwykle parobków powracających z wojska. Pochlebiało jej to także, że najładniejszy z całej wioski parobek za nią goni.

— Mieliśta mi sołtysie pokazać przyklękanego— zagadnęła Onuferka Walentego, który oparty o ścianę coraz to przyśpiewywał tańczącym.

— Co nimom pokazać, pódźwa—i ująwszy w pół starą, próbował pochwycić takt i wcisnąć się w koło tańczących.

Stał tak dość długą chwilę bujając się to w jedną, to w drugą stronę, lecz nie miał odwagi puścić się, czuł bowiem kołowanie w głowie, a i nogi też nie bardzo słuchać go chciały.

— I dopókąd bedzieta się tak bujać, sołtysie, kiej ogon u byka?

— Nie mogę jakoś chycić drygu.

W tej chwili utworzyła się koło nich luka i mimowoli zostali wepchnięci w próżnię. Wir taneczny ich pochwycił i zaczęli kręcić się w kółko. Gdy Walenty znalazł się znowu w wolnej przestrzeni,

tupnął zamaszyście nogą i przyklęknął na jedno kolano, lecz mu i drugie zgięło się raptownie i tak został w środku tańczących, trzymając się w pół Onuferki.

— Patrzajta Walentowo! adyć wasz chłop modli się do Onuferki i całuje ją w zapaskę—odezwała się sąsiadka.

— A to sobaka nie chłop, wrzasnęła sołtysowa—i roztrącając tancerzy, dopadła Walentego i poczęła go trząść za ramiona.

— Co ty pokrako wyprawiasz! wstawaj że prędzej! Czyste utrapienie z tym chorobnikiem!

— Kiej nijak nie mogę się podnieść, pomóżta mi, moje drogie!

Pomimo wysiłku, nie udało się sołtysa postawić na nogi, więc klęczącego obie niewiasty wyciągnęły z tłumu i tu dopiero Walenty, oparłszy się rękoma o ziemię dźwignął nogi, lecz nie mógł znowu rąk od ziemi odjąć, wreszcie oparłszy rękę o kolano siedzącej na krzesełku panny młodej, dźwignął się do góry.

— Wstawaj że ty, pijaku! wstyd tylko człowiekowi, że oczami musi świecić za takiego niedorajdę. Ale bo i wy, Onuferko, czepiacie się chłopa jak łajno buta. Żebyśta go nie wyciągali, toby się nie wywalił i nie byłoby ludzkiego śmiechu.

— O cie! a cóżto, nie wesele, czy co? że macie chłopa niedojdę, to jo mom cierpieć? Cie wy! jako mi honorna, to go trzymajta pod kiecką i nie łaźta po weselach.

— Nie swarzta się ludzie—rzekł nadchodzący Janek, na weselu weselić się trzeba. Chodźcie Onuferko, nie tańcowałem jeszcze z wami, gotowiście powiedzieć żem niegościnny.

— A nie wytłuką me dziewuchy, że im takiego świarnego chłopaka zajmę? No, daligo!—Onuferka, uszczęśliwiona, tańcząc przytupywała raz po raz i wykrzykiwała hu, ha!

Janek pełniąc za starego ojca obowiązki gospodarza, chciał aby wszyscy byli zadowoleni, więc też rzetelnie jął wywijać z Onuferką, poczem wyprowadził ją z koła.

Uradowana wielce, podrygując uciesznie, huknęła na cały głos:

Oj stało mi się stało,
A co mi się miało stać,
Bo cztery łokcie wstążki
Nie mogą me już obstać.

Stach znowu pcdszedł do Zochy i poprosił ją do tańca.

— Kiedy wy, Stachu, tańcujecie tak ogniście, aż nawet Janek wydziwiał, że niepolitycznie podnosić dziewuchę do góry.

— Daruj mi Zośka, że ja nie mógł wydzierżyć, i uniósł cię w górę, ja bym cię nawet postawił na gwiazdach, aby nikt nie mógł cię dosięgnąć, takaś mi miła.

— O, już, już! Wyście wszyscy jednakowi, zobaczy raz dziewuchę, to już żyć bez niej nie może, a tyli urósł na psa urok.

— Takiej to ja nie widział. No troszkę potańcujemy Zosia.

— Jeno nie tak jak wtedy, rzekła Zocha i założyła mu rękę na ramię.

Przebieżemy tylko parę razy izbę—rzekł Stach ujmując ją w pół i puszczając się w tany.

Janek stał oparty o ścianę i z nachmurzonym czołem przyglądał się rozmawiającym.

— Oj! jak mi dobrze z tobą, szeptał półgłosem Stach, przyciskając w tańcu mocno Zochę do piersi.

— Ja się was boję, tak patrzycie na mnie, aż ciarki przeehodzą.

— Boś ty, Zocha moje najdroższe skarby!

— Stachu! już dosyć.

— Jeszcze chwilkę, Zośka. Z tobą tańczyć to taka radość, że mało mi serce nie wyskoczy. Oh! ty dolo moja, dolo! Chyba, że cię uduszę, Zocha!

— Dość, Stachu! bo jeszcze ludzie zaczną gadać, że ciągle ze sobą tańcujemy.

— A czort by ich pobrał! Co mnie ludzie, co mnie świat, gdy ciebie nie stanie!

Muzyka nagle urwała, lecz roztańczone pary snuły się jeszcze dokoła.

Stach odprowadził Zochę na miejsce i poszedł między chłopaków ochłodzić się. Janek zbliżył się do Zochy i rzekł z pewnym wyrzutem w głosie:

— Za długo tańcujesz z jednym, dla drugich sił nie stanie.

— A niech tam, jak nie zmogę, to przestanę, a zawsze lepiej tańczyć z takim, co potrafi, niż z temi połamańcami, co jeno po nogach depczą.

— Dla dziewczyny, która ma narzeczonego, wszyscy inni powinni być obojętni. Ty zaś, ze Stachem tańcząc, byłaś tak rozradowaną i zapatrzoną w niego jak w tęczę, że aż mnie coś za serce ścisnęło. Cóż on ci mówił takiego?

— A, już nie pamiętam, tak jak wszyscy, gadał trzy po trzy.

— A jednak tańcząc z innemi, miałaś twarz obojętną.

— A bo tamte głupie są.

— A cóż ten ci takiego mądrego powiedział, że jesteś ładna, że lekko tańczysz, żeby cię chciał może.

— O tam chciał zaraz!

— W każdym razie, proszę cię bardzo, trzymaj się od niego zdala, on mi się czegoś nie podoba, coś mnie od niego odpycha.

Przecie jak bierze mnie do tańca, to nie mogę nie chcieć.

— Przeklęty taniec, ile on ludzi nagubił!

— Wszystkie dziewuchy tańcują i nic im się nie stało. Jak będę kobietą, to siedziała będę w chałupie.

— Kto zasmakuje w zabawach, tego nawet chałupa i dzieci nie utrzymają. A Onuferka? Chłopiec się zmarnował, dziewucha poszła na marne, a ona ciągle na tańcach, a gospodarstwo lada dzień wystawią na licytację.

— O! taka tam Onuferka, co ze wszystkiemi psy pasała!

— Zawszeć kiedyś i ona była uczciwą dziewczyną.

— Rozmowę przerwał pan młody, zapraszając Zochę do tańca. Wstała pochmurna i nie zadowolona. Janek również stał zasępiony i niekontent z siebie. Czuł, że w ich serdecznym stosunku coś się psuć zaczyna. A jednak gotów był na wszelkie ofiary, byle nie utracić Zochy, którą pokochał pierwszą, żywiołową miłością.

Coraz głośniej było w izbie, młodzież zmęczona tańcem, raczyła się piwem, które potęgowało ochotę. Rej wśród nich wodził Stach. Wszyscy otoczyli go kołem, on zaś im opowiadał różne dykteryjki, zasłyszane w wojsku, z których słuchacze śmiali się na cały głos.

Gdy muzyka znowu zagrała, wyprostował się, tupnął nogą i podniecony trunkiem, na cały głos huknął:

Jechał Marek na jarmarek,
Kupił sobie oś,
Położył ją przy stodole,
Zwalał mu ją ktoś.

— Bohater twój zaczyna coraz więcej nabierać pewności siebie—rzekł Janek do Zochy, coraz bardziej mu się zdaje, że jest w karczmie.

Stach tymczasem poprawiwszy czapki zataczając się, prosto skierował się ku Zośce i bez ceremonji, ująwszy ją wpół, zabrał do tańca.

Nie broniła się, spojrzała tylko na Janka, który zmarszczywszy brwi, rzekł groźnie do Stacha:

— Tylko bacz, byś nie ukrzywdził tancerki, gdyż ci nogi bardzo się chwieją!

— Nie twój kłopot, pilnuj swoich, żeby ci kto nie poprzetrącał—rzucił mu Stach przez ramię i puścił się z Zochą w tany.

Janek zamilkł, nie chcąc robić awantury we własnym domu, skierował się do sąsiedniej izby, gdzie zebrani poważniejsi gospodarze, gawędzili sobie przy miodku o blizko obchodzących ich sprawach.

Na widok Janka, wszyscy przyjaźnie się uśmiechnęli, robiąc mu miejsce za stołem, zawsze bowiem z jego rozmowy jakowyś pożytek wypływał.

— Ja wam pedam—rzekł gospodarz z Jastrzębi, że zwierzyny teraz coraz mniej się rodzi.

— Rodzi się jak dawniej—rzekł Janek—tylko coraz więcej czyha na nią amatorów. Ludzi przybywa, ziemia się rozdrabnia, a każdy jeden przez drugiego trzebi zwierzynę wszelkiemi sposobami. Każdy urzędnik powiatu, magistratu, kolei, musi mieć strzelbę, każdy włościjanin na swoim kawałku zakłada sidła na zające i kuropatwy, chłopaki na wiosnę wybierają jaja ptasie, a iluż to jest po wsiach kłu-

sowników! Dziwić się tylko należy, że wobec tego zdarzy się niekiedy spotkać coś nie coś. Gdybyśmy jeszcze zalesiali nieużytki, to choć w krzakach mogłoby to biedactwo się ukryć, a tu jak okiem sięgnąć wszędzie goła płaszczyzna, że coraz smutniejszą się staje ta biedna ziemia nasza.

Z sąsiedniej izby dobiegały coraz hałaśliwsze głosy, a ponad niemi górował wrzaskliwy śpiew Onuferki:

Tańcowała, nieumiała,
Tylko sobą potrząsała,
A matka ją klep po udzie,
A tańcujże kiejby ludzie....

— Trzeba i tam zajrzeć—rzekł Janek—może weselnikom co trzeba i wolnym krokiem skierował się do pierwszej izby.

Stanął we drzwiach i rzucił wzrokiem dokoła. Stach siedział obok Zochy i coś jej opowiadał zabawnego, gdyż śmiali się oboje do rozpuku.

Zocha ujrzawszy Janka, odsunęła się nieco, była widocznie zaambarasowana, podniosła się po chwili i podeszła do niego.

— Dla czego nie tańczysz Janku? zapytała go przymilnie.

— Nie chciałem ci przeszkadzać, bo jak widzę, dobrze się bawisz z tym pijakiem.

— Bawię się równo ze wszystkiemi, a nie mogę się przecie odwracać, gdy który do mnie zagada.

Słońce już było wysoko, starsi drzymali po kątach; niektórzy wysunęli się nieznacznie, kilku tylko młodych dobijało jeszcze, lecz orkiestra coraz już bardziej słabła, ledwie kiedy niekiedy się odzywając.

Walenty chrapał w najlepsze, usadowiwszy się na ławie w rogu izby i sołtysowa w żaden sposób obudzić go nie mogła.

— Stary, wstawaj, pora do chałupy, będziesz się miał jeszcze czas wyspać na poprawinach.

Po długim szamotaniu, udało jej się sołtysa ruszyć z miejsca i postawić na ziemi, skinęła następnie na Zochę, aby się wybierała.

Zocha stała obok Janka, który rozmawiał z nią, lecz na twarzy jego malowała się troska, zamiast dawnego serdecznego ożywienia w oczach, któremi zwykle pochłaniał swoje kochanie.

Odpowiadała mu półsennie. W skutek nadmiernego tańca znużenie ją ogarnęło. Oczy tylko rzucały blaski, które tak magnetycznie działały na wszystkich.

— Przyjdziesz pod wieczór Zocha? zapytał, ujmując ją za rękę.

— A przecie. Jakżeby to było, żeby na poprawinach nie być.

— Wytańcowałaś się chyba dowoli? Bo mnie to nie jest tak wesoło. Śmiesznem to jest może, gdy widzę wszystkich podchodzących do ciebie i bez ceremonji porywających cię w ten szalony wir, ogarnia mnie wtedy chęć porozpędzać kijem na cztery wiatry śmiałków; a gdy jeszcze zobaczę ciebie rozradowaną i szczęśliwą, to przejmuje mnie dziwna żałość, że aż coś za serce ściska. Czary musiałaś na mnie rzucić, czy co! Gdy widzę cię szczęśliwą w objęciu innego, zdaje mi się że mu się oddajesz całą duszą i zapominasz wtedy o świecie, a ja dla ciebie nie istnieję wcale.

— Co prawda, bardzo lubię tańczyć, jest to dla mnie największa przyjemność, ale żebym już miała zapomnieć o świecie, i o tobie, Janku,—tak źle nie jest. No, muszę już pójść, bo ojcowie czekają. Do zobaczenia!

— Bądź zdrowa i pamiętaj o mnie kiedy ci będzie bardzo wesoło, i wtedy, kiedy źle ci będzie.

Uścisnął ją za rękę i skierował się do sieni, żegnając wychodzących. Za innemi wyszedł także Stach i przyłączył się do sołtysów, postępując obok Zośki.

We wrotach Zocha się obejrzała i uśmiechnęła do Janka, który stał wpatrzony w nią, lecz ręką gorączkowo ściskał skobel u drzwi.

Gdy się znależli na drodze, Stach przysunął się bliżej do Zochy i objął ją gorącym spojrzeniem.

— Będziemy jeszcze tańczyć na poprawinach?— rzekł pytająco.

— Kiedy Janek jest przeciwny, jak z wami tańczę.

— A cóż to, jesteś jego niewolnicą, czy co?

— Zawszeć narzeczony ma prawo rozporządzać się dziewuchą, którą przed ołtarz powiedzie.

— Dopiero jak od ołtarza odejdą—jak ich ksiądz stułą związe.

— Przecież i przyrzeczenie ćoś znaczy.

— Co znaczy przyrzeczenie, gdy serce mocniej zabije. Ja by dla ciebie, Zocha, porzucił ojca, matkę, druha, ja by poszedł na zatracenie wieczne, bylebyś ty była moją. Jak tylko ujrzałem ciebie, to mnie miejsca nie ma na świecie; w nocy i we dnie stoją przedemną twoje oczy jak te gwiazdki na niebie. Ja nie chcę od ciebie niczego, bylebyś mi pozwoliła czasem popatrzyć na siebie, uścisnąć twoją rękę, bo ja ciebie bardzo miłuję.

— Cóż na to poradzić, głową muru nie przebijesz. Gdybyśmy się wcześniej spotkali, to może by co z tego było, a tak drogi nasze muszą się rozejść. Nie mogę powiedzieć, żebyś mi Stachu był przeciwny, i radabym ci była, ale widać nie było przeznaczone.

— Ale nie zabronisz mi czasem przywitać się z tobą, choć jedno słówko powiedzieć.

— Rozmawiać nikt nikomu zabronić nie może.

Doszli do chałupy sołtysa i poczęli się żegnać.

— Ostajcie z Bogiem, Stachu—rzekł sołtys—na poprawinach się zobaczymy.

— Do widzenia—sołtysie.

Walentową pocałował w rękę, następnie chwycił Zochę za obie ręce i silnie uścisnął.

— Na wieczór cię znowu zobaczę, moje umiłowanie, moje słonko jasne.

— Oj Stachu! bo mi połamiesz kości. Do widzenia.

Już rodzina sołtysów znikła w drzwiach sieni, a Stach jak skamieniały stał i wpatrywał się w chałupę, która mu skryła jego skarby drogie. Po chwili oprzytomniał i zwrócił się ku drodze zmierzając do swej chaty na końcu wsi.

— Niech będzie co chce, ona musi być moją— monologował sobie—nie zaznać mnie ni szczęścia, ni radości bez niej. Taki Janek, chuchro przeciw mnie, a miałby ją mieć, niedoczekanie jego.

Wyciągnął rękę w stronę chaty Siekierów i pogroził nią w powietrzu, poczem wolnym krokiem, ze zwieszoną głową, powlókł się ku domowi.

IV.

Pod wieczór poczęli ściągać goście do chaty Siekierów, by w dalszym ciągu urządzać poprawiny.

Muzyka już grała od ucha, a bęben to aż na końcu wsi słychać było. Dzieciaki wiejskie tłumem otoczyły okna i drzwi zaglądając jedno przez drugie, zwłaszcza okna były formalnie oblężone. Dzieciaki jedno drugie podsadzało i płaszczyły sobie nosy na szybach, byle dojrzeć kręcące się pary.

Onuferka jak zwykle rej wodziła i wyciągała chłopaków do tańca, chociaż woleliby tańczyć z dziewuchami, lecz nie śmieli jej odmówić, gdyż Onuferka dużo mogła względem swatania i wywiedzenia się jakie wiano ma która.

Niebawem i Walentowie się zjawili w towarzystwie Stacha, który wstąpił do nich po drodze.

Zocha rozejrzała się po izbic czy nie ma Janka, lecz go nigdzie widać nie było. Porwano ją zaraz do tańca, lecz po małej chwili Stach stanął na drodze tańczących i niby nieumyślnie zatrzymał parę, biorąc z miejsca Zochę i puszczając się w wir.

— Niema jakoś tego twojego śledzia, przynajmniej nie będzie przeszkadzał. Sam nie tańczy i drugiemu nieda—zagadał Stach.

— Nie wiem, co się stało, może jeszcze śpi—odrzekła—oglądając się niespokojnie.

— Dałby Bóg, żeby nie wstał więcej.

— Nie należy życzyć źle bliźniemu, wszak nic wam złego nie zrobił, bo dobry jest z gruntu.

— Ciebie mi zabiera, psia jego mać!

— Przecież mnie do pudełka nie schowa.

— Niechby poprobował, jabym ciebie z pod ziemi wyrwał.

— Oj nie ściskaj mnie tak mocno, Stachu, bo mi żebra połamiesz.

— Och! ty, Zocha!

Zatrzymali się by odpocząć. Zocha pobiegła zapytać się panny młodej, co się dzieje z bratem, gdyż nieobecność jego zaczęła ją niepokoić. Jakkolwiek dotąd nie miała sobie nic do wyrzucenia, lecz zawsze w głębi czuła jakiś niepokój, czuła, że myśl jej odbiegła od Janka i mknie do tego śmiałego i odważnego olbrzyma, który się niczego nie boi i jak huragan wszystko pogruchotać może.

Od siostry Janka dowiedziała się, że musiał z ludźmi pojechać na stację do Łowicza, otrzymał bowiem depeszę, że pociągiem został wysłany bubaj rasowy holenderski, którego postój Towarzystwo Rolnicze wyznaczyło u Siekierów, jako w najbardziej wzorowo prowadzonym gospodarstwie. A ponieważ buhaj był dość drogi, a przytem młody i gorący, przeprowadzenie go wymagało pewnej ostrożności i rozwagi.

Gdy Zocha powiedziała o tym Stachowi, uradował się niezmiernie, że nie będzie przynajmniej dzisiaj ślepiami za nim gonił. Tańczyli też ze sobą zawzięcie.

Zocha była niezmiernie ożywiona i zadowolona, lecz zobaczywszy, że to ciągłe przestawanie razem, zaczyna zwracać powszechną uwagę, zwróciła się do Stacha, że powinien i z drugiemi dziewuchami tańczyć, bo ich wezmą na języki.

— A niech gadają, niech jeno sprobują. A wreszcie czy to zbrodnia, żeś mi się udała jak żadna na świecie.

— Ale po co ludziom włazić w oczy i dawać powód do gadania.

— No już dobrze, zrobię to dla ciebie, Zocha, ale dla uspokojenia mię powiedz, czy mnie lubisz choć trochę.

Spuściła na dół oczy i palcami zaczęła skubać chusteczkę.

— Czy ja wiem—odrzekła—ja się ciebie Stachu boję. Tyś taki mocny?

— A więc ci jestem przeciwny?

— E, przeciwny to nie! o nie!....

— Kiej nie, to jeszcze przetańcujmy z raz.

— No dobrze, ale jeno ten razik.

Puścili się znowu w tany, okrążając izbę po kilkakroć. Stach odprowadziwszy Zochę, zwrócił się do innych, tańcząc z każdą po trochu.

W izbie stawało się coraz goręcej, od czasu do czasu parobcy i dziewczęta wybiegali przed sień dla ochłody.

Wybiegła także Zocha i siadła na przyźbie, ocierając spocone czoło. Przyjemny wietrzyk letni muskał jej twarz, rozwiewając kędziory włosów wysuwających się z pod chustki. Pełnemi piersiami wdychała wonne, idące z pól łubinowych powietrze. Noc była bezksiężycowa, lecz gwiazdy jaskrawo błyszcza-

ły na niebie. Czuła się zadowolona w tym swoim zmęczeniu i dobrze jej było.

Stach zauważył jej nieobecność i wybiegł przed sień. Zbliżył się do ławki przed chatę i ujrzał cień siedzącej.

— Czy to ty Zocha?—zapytał.

— Ja! gorąco w chacie.

— Gdy ciebie tam niestało, to jakby słońce zagasło.

Przysiadł się obok i chwyciwszy ją w pół, zaczął ją namiętnie całować.

— Co robisz, Stachu! jeszcze kto dostrzeże!

— Ciemno nikt nie zobaczy. Nie broń mi się, ja tak pragnę ciebie jak kania deszczu, jak kwiaty słońca. Bez ciebie mnie nie żyć na świecie.

Broniła mu się słabo, drżąc w jego objęciu jak listek osiki. On wżerał się zębami w jej usta, aż jęknęła.

— Stachu, bo mi tchu brakło! Oj, chodźmy do chałupy, bo kto nadejdzie.

Trzymał ją jak żelaznemi kleszczami i okrywał pocałunkami oczy, czoło, włosy.

— Bój się Boga! puść mnie!

— A pocałuj mnie choć raz jeden, bo oszaleję.

Szybkim ruchem objęła go za szyję i przycisnęła do jego twarzy swe rozpalone usta.

— No, puść mnie teraz, zawołała i zaczęła gwałtownie się wyrywać z jego objęć.

Zatoczył się jak pijany i odsunął od niej—dysząc ciężko. Zocha poprawiwszy zsuwającą się z głowy chustkę, szybko pobiegła do chaty i zmieszała się z tłumem, usiadła w ciemnym kącie na ławie, chłodząc się gorączkowo chusteczką. Twarz jej gorzała, oczy rzucały iskry płomienne, pierś falowa-

ła gwałtownie, zdawało się, że leci gdzieś w przepaść. Przymknęła oczy i w tył przechyliła głowę, czuła jeszcze na szyi pocałunki, a na ramionach jakby silne obręcze, które ją obezwładniały.

Stach nie wszedł do chaty, lecz poszedł steczką do strugi płynącej za obejściem. Zdjął czapkę i ocierał chustką spocone czoło. Wpatrzył się w wodę szemrzącą wolno i szeptał do siebie:

— Zocha! jakaś ty miła! mnie bez ciebie nie żyć. Od czasu jak cię zobaczyłem, nie zaznać mnie ani snu, ani spokoju. Ot, dziewka! a jaka przylipna, przy niej zapomnisz o świecie, dla niej i duszę można zaprzedać.

W szuwarach coś zaszeleściło. Ocknął się i spojrzał w tę stronę.

— Szczur chyba wodny, czy jakieś licho; trzeba wracać do niej. Niema co! Dur jakiś rzuciła na mnie.

Włożył czapkę na głowę, ręce wyciągnął w górę, aż zatrzeszczały w stawach i wolno zwrócił się ku chacie.

Zocha tańczyła z jednym z parobków, gdy usiadła przystąpił do niej i prosił do tańca. Wstała, nie patrząc na niego, lecz na twarzy wykwitł rumieniec i dreszcz ją przejął, gdy się znowu uczuła w jego objęciu.

Brzask zaczynał rzucać jaśniejsze smugi dokoła, zabawa wrzała w całej pełni, gdy zjawił się Janek; był znużony i wyczerpany, usiadł ciężko obok Zochy; odpoczywając na krześle, jął badawczo się jej przyglądać.

Spojrzała na niego z pod oka, lecz natychmiast spuściła oczy. Czuła, że ją przygniatał swym wzrokiem i jakby czytał w jej twarzy to, czego robić nie powinna.

— Za bardzo jesteś zmęczona, Zocha! mogłabyś już odpocząć. Pewno ciągle tańczyłaś ze Stachem?

— Tańczyłam z każdym kto chciał, bez różnicy, przecież dziewuchy nie wybierają. Dla czego tak długo nie wracałeś?

— Mieliśmy dużo roboty z tym buhajem, o mało nas nie pozabijał.

Muzyka ucichła i weselnicy powoli zaczęli się rozchodzić. Stach uścisnął Zochę za rękę i rzekł, że pod wieczór zajdzie do nich. Walentowie też się zabrali, z podwórka tylko jeszcze słychać było głos Onuferki:

Oj, już nie grają skrzypki
W chałupie nad rzeczką,
Choć Jasiu, boś ty gibki,
Na moje łóżeczko! Hu! ha!

Zdala dolatywał ryk bydła pędzonego na pastwisko. Bocian się zerwał z gniazda i poszybował na łąki, a purpurowe słońce ozłociło małe szybki chałupy Siekierów, gdzie się odbył obrzęd położenia podstaw pod nowe gniazdo, pod nową placówkę obrończą tej ziemi, uprawianej krwią i potem, a tak bardzo umiłowanej przez księżaków.

Na drugi dzień po poprawinach, o zmroku, Janek zaszedł do chaty sołtysów. Kobiety powróciły z pola i odpoczywały po pracy. Sołtys na zydlu pod piecem chrapał w najlepsze. Walentowa się podniosła i zakrzątnęła około wieczerzy.

Janek przysiadł się do Zochy i począł jej się przyglądać.

— Jeszcześ nie dospała po weselu, bo jesteś taka blada i masz sińce pod oczami, powinnaś wcześniej chodzić spać.

Zapłoniła się pod jego badawczym spojrzeniem i pochyliła głowę, po chwili dopiero zapanowała nad

sobą i spojrzała mu w oczy. Była jakaś nieśmiała i zakłopotana.

Piękną była w tym niepokoju i z tym rumieńcem na twarzy, aż Janek chwycił ją z lekka za ramię j przycisnąwszy do siebie, pocałował w czoło.

— Oj, ty Zocha! żebyś wiedziała ile mi przykrości czynisz, choć sama może o tym nie wiesz. Gdy cię widzę weselącą się z innymi, zdaje mi się, że zapomniałaś o mnie, i że jesteś mi tak daleką jak te gwiazdy na niebie. Nie umiem ci tego wyrazić słowami, lecz czasem zdaje mi się, że tak kochać, jak ja ciebie jest grzechem. Gdy myśli wzniosę do Boga, gdy przed ołtarzem klęknę, to w obrazach świętych widzę twarz twoją. Wszędzie cię widzę, w tumanach porannych na łące, w sennych marzeniach, w cieniach nocy i wszędzie ty i zawsze ty!

Milczała i patrzyła w ziemię, palcami zaś nerwowo przesuwała zwieszające się z szyi paciorki.

— Nie długo—mówił dalej—pojadę na dwa tygodnie do Warszawy na kursa rolnicze, będzie mi smutno bez ciebie.

— A pocóż ci to? Jesteś mądry, wiesz wszystko.

— Człowiek do śmierci uczyć się powinien, gdyż nauka ciągle idzie naprzód. Na kursach zaś rolniczych będą pokazywać wszystkie wynalazki, jakie rośliny i nasiona nadają się do naszej gleby, jak używać maszyn najnowszych, by zmniejszyć wysiłek ludzkiej pracy, jak zakładać kółka rolnicze, sklepy spółkowe i w ogóle to wszystko, co może się przyczynić do dobrobytu włościan.

Walentowa podała wieczerzę i obudziła sołtysa. Zasiedli wszyscy społem. Barszcz jedli z talerzy głębokich, malowanych w czerwone kwiaty, zaś kartofle z donicy, stojącej na środku.

Jankowi przyjemnie było, gdy się łyżka jego spotkała z łyżką Zochy, zabierał jej skwarki, ona mu je wydzierała z powrotem i śmiali się jak dzieci.

Po wieczerzy wyszli oboje przed chatę i skierowali się do sadu. Siedli na ławce pod jabłonką, której gałęzie, obwieszone czerwonemi, zimowemi jabłkami tworzyły czarodziejską altankę.

— I na długo jedziesz Janku? zapytała go po chwili milczenia. Będzie mi się cniło bez ciebie. Nie będzie mi kto miał opowiadać różnych ciekawych rzeczy.

— A przyniosłem ci książki ładne przed tygodniem, nie przeczytałaś ich jeszcze?

— Nie miałam czasu, tyle było zajęcia z weselem. Wolę jednak jak ty czytasz, bo mi wytłomaczysz czego nie rozumiem.

— Jak przyjadę, to będziemy często czytywali, przywiozę ci może co nowego. Tylko pamiętaj o mnie i nie lataj po muzykach.

— A gdzieżbym miała latać sama. Zresztą muzyka teraz mnie tak bardzo nie bawi. Dawniej to nie mogłam usiedzieć w domu, byle z kimkolwiek tańcować, a teraz to te wszystkie chłopaki tak jakoś pogłupiały, żaden nic mądrego nie powie tylko same głupstwa.

— Widzisz, chłopcy są, jak byli niemądrzy, bo żaden z nich do książki ani zajrzy, lecz ty, czytając teraz i rozmawiając o poważniejszy rzeczach, wyrobiłaś sobie większe rozumienie o wszystkiem i gdy dalej tak będziesz robić, to wszystko będzie ci jasnem i do pojęcia łatwem, a dla tych bezmyślnych tańców i zabaw będziesz miała tylko wyrazy politowania. No, ale to na mnie już czas, jutro do dnia trzeba być na stacji. Bądź zdowa!

— Jedź z Bogim, Janku — i podała mu obie ręce.

On je podniósł do ust, następnie przycisnął ją do siebie i stali tak długo, bez słowa, połączeni uściskiem.

Porwał się wreszcie i szybkim ruchem przekroczywszy przełaz, znikł w opłotkach.

Zocha została samotna, zapatrzona w przestrzeń i ciężkim omdlałym ruchem skierowała się ku chacie.

VI.

Powoli wieś cała wróciła do równowagi, z której ją wytrąciło wesele córki najbogatszego gospodarza. Wszyscy zabrali się do codziennych zajęć. Zocha pomagała matce w pracy około gospodarstwa. Sołtys, jak zwykle, wracał do domu nietrzeźwy, gdy miał do załatwienia sprawy urzędowe. Parobcy w wolnym czasie zbierali się razem i opowiadali różne gadki, jedna sprośniejsza od drugiej, a mające jedynie za cel ośmieszanie dziewuch we wsi.

Górował na tych zebraniach Stach, który odpoczywał po powrocie z wojska i jakoś niesporo mu było szukać służby. Posiadany przez ojca kawałek ziemi, dwie morgi, nie wystarczał na wyżywienie, wydzierżawiał je stary sąsiadom, zatrzymując sobie do użytku prawa do połowy chałupy, sam zaś wynajmował się do różnych robót, płacąc za życie sąsiadom.

Pewnego wieczoru, gdy młodzież jak zwykle zebrała się na pogawędkę, Stach zaproponował, żeby urządzić muzykę. Pochwycili to inni w lot i postanowili się tym zająć. Na Stacha włożono obowiązek sprowadzenia muzykantów, rozchodziło się tylko, gdzieby to zrobić.

— Najlepiej by było u sołtysów — zawyrokował Stach — Janka niema, to nie będzie bruździł.

— Mnie się widzi, rzekł drugi, że sołtyska się nie zgodzi, a i Zocha teraz zrobiła się taka honorna, że z byle kim nie chce gadać, Janek jej tak przewrócił w głowie.

— Zochę to ja biorę na siebie, moja w tym głowa, ot co!

— Najlepiej by było u Onuferki, rzekł z kolei następny, sama się zajmie i nawet ochoty doda, bo do tańca aż się trzęsie.

Uradzono, aby w najbliższą sobotę urządzić zabawę i złożyć się po rublu na piwo, wódkę i przekąski.

Nazajutrz w południe Stach udał się do Onuferki, prosząc, aby pozwoliła u siebie zrobić muzykę i zajęła się urządzeniem.

Zgodziła się chętnie, lecz, patrząc badawczo na Stacha, pogroziła mu palcem.

— Oj ty zbereźniku, wiem ja dlaczego ci się zachciało muzyki, chyba nie dlatego, żeby ze mną tańcować.

— O, już, już! wy zaraz wszystko musicie spenetrować. Człowiek młody tak zabawić chce się, cóż w tem złego?

— Nie mnie brać na plewy. Wiem ja gdzie raki zimują.

I przybliżywszy się tyłem do Stacha — odwróciła ku niemu głowę i zaczęła go trącać łokciem:

— Zocha? co? przyznaj się.

— Nie gadalibyśta po próżnicy. No a choćby i Zocha, to co? brak mi czego? ułomek jestem. O jej, gdybym ino chciał, to nie jedna gospodarska córka by poleciała za mną. W wojsku, gdy byłem wistowym, to sama generalsza poklepała mnie raz po twarzy.

— No, nie strachaj się, ja tam po próżnicy pary z gęby nie puszczam i dziewuchę poproszę, a jakże, tylko się Stachu nie awanturuj zanadto, bo cię nieraz widzę, gdy rozmawiasz z Zochą, to ci źle z oczu patrzy.

— O, wy to zawsze macie ino romanse w głowie. Jeżeli z dziewuchą potańcuję trochę lub porozmawiam, toć przecie jej nie ubędzie.

— A juści, że nie ubędzie, tylko jeszcze przybyć może.

— No, już z wami, Onuferko, trudno się dogadać, wy i najtęższego chłopa zmożecie.

— Nie gadaj, nie gadaj! gdzie mnie tam starej.

— Ale na gębę.

— O, widzisz go, jaki przyścipny, z jajka jeszcze nie wylazł, a już pieje!

No, ale co mam z wami robić, muszę się już wszystkiem zająć, bądź spokojny, tylko trzeba się spieszyć, żeby Janek nie przyjechał, bo by wam popsuł zabawę, nie pozwoliłby Zośce.

— Niema strachu, w tym tygodniu nie wróci.

Stach pożegnał Onuferkę i udał się na wieś, by naradzić się z parobkami i zebrać składkę.

VII.

W sobotę już od południa leniwie szła robota, w oczekiwaniu spodziewanej zabawy. Dziewuchy szykowały sobie wstążki i kwiaty, oraz prasowały białe koszule z wyszywanemi rękawami—do staników.

Wódkę i piwa antałek na zabawę już zwieziono z miasta i dostawiono do Onuferkowej chaty.

Zocha się wzdragała przyjść na tańce, obawiając się Janka, zgodziła się dopiero, gdy matka z nią pójść przyrzekła.

Pod wieczór odezwały się skrzypki i bęben z jasno oświetlonej chaty, gdzie miała się odbyć zabawa. Dziewczęta po dwie lub po trzy spieszyły, pojedyńczo zaś w towarzystwie znajomych parobków. Stach w świeżym kołnierzyku i czerwonym krawacie co chwila spoglądał ku drzwiom, czy nie zobaczy Zochy. Wreszcie zniecierpliwiony, podszedł do Onuferki, z zapytaniem, czy aby na pewno przyjdzie?

— No przecie, nie przyszłaby, pierwsza we wsi tanecznica. Wzdraga się, bo bez Janka niby nie pasuje.

— A może ja pójdą po nich? rzekł niecierpliwiący się Stach.

— Iść by nie zawadziło, a może się tam co stało? Biegaj, Stachu.

Porwał za czapkę i puścił się w stronę sołtysowej chaty.

Zastał Zochę już ubraną, czekała tylko na matkę, która wyszła zajrzeć do inwentarza.

— Zocha, adyć przychodzę za tobą, bo zabawa się nie uda i, pochwyciwszy jej ręce, założył je sobie na ramiona, z lubością przyglądając się dziewczynie.

— Niechaj Stachu, bo matka może wejść.

— Tylko raziczek jeden i szybko przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Szarpnęła się żywo, z obawy, by ktoś nie zobaczył?

— Jak będziesz taki niespokojny — to na zabawę nie przyjdę.

— Już odsunąłem się z daleka, będę tylko patrzył, jak na święty obrazek, moje ty słoneczko jasne, a teraz pójdziesz?

— Pójdę.

— Oj, nie zdzierżę i podziękuję — rzekł rozwierając ramiona.

Adyć mówiłam trzymajta ręce podle siebie

— Kiej nijak ich zawrzeć nie mogę, jak ciebie w nich nie ma, stał tak będę jak słup przydrożny.

— Obejmij piec — to ci się ręce zawrą — rzekła ze śmiechem:

Weszła Walentowa i przywitawszy się ze Stachem — rzekła:

— Co? zabawy może nie będzie?

— Zgadliśta, że bez was nijakiej zabawy być nie mogło i chłopaki mnie wysłali za wami.

No, nie gadaj, nie gadaj, bez jednego żołnierza wojna może być.

— Ale jak słonka niema, to na świecie jest noc, a wasza Zocha to jak to słonko na niebie.

— Poniechaj, Stachu, tej mowy, Zocha już ma swego, to nie pasuje tak mówić.

— Co nie mam mówić, kiej prawda, temu nikt nie zaprzeczy.

— No chodźmy już, bo późno, a nie możemy siedzieć długo. Trzeba przecież do kościoła pójść na sumę.

Gdy weszli do izby, rumor się zrobił, bez Stacha bowiem nie chciano rozpoczynać zabawy.

Onuferka, przywitawszy się z niewiastami, zapytała Walentowej, czemu i chłopa nie przyprowadziła.

— A czorci go wiedzą, gdzie jest, pije pewnikiem w piwiarni. Znowu wam się zachciewa, żeby przed wami klękał, jak na weselu, co się naród wydziwiał?

Ej kaj tam! ino lubię go, bo przyścipny, nie tak jak inne chłopy, co jak się obabi, to już ino gada o selekcyi, o štucznych łajnach, o zdymaniu paskudnika z lewentarza, a żeby tak powiedział, coś wedle tego, co i owszem, to nie potrafi żaden.

— Widzisz, czego jej się zachciewa, dalibyśta już sobie pokój z temi chłopami, cięgiem oni wam ino w głowie.

Dalszą rozmowę przerwała śpiewka, która huknęła całą żywiołową siłą młodych piersi.

Jestem księżak, chłop prawdziwy.
I barczysty, urodziwy.
Jak topola wyrośnięty,
Jak dąb twardy nieugięty,
Jestem sobie tęgi chlop.
Hop! hop! hop!

Jakom księżak, mam sukmany
Granatowe, na przemiany
Mam też białe, lejbik szary,
Pas, kapelusz, kożuch stary,
W tym ubraniu wiem żem chłop.
Hop! hop! hop!

Jestem księżak! tym się chlubię
I mój chłopski ubiór lubię,
Szanują go het na świecie,
Het daleko, czyż nie wiecie?
Gdzie pokaże się nasz chłop
Hop! hop! hop!

Jakom księżak, kocham rolę,
Nie mam też pustek w stodole,
W komorze połcie słoniny,
Mam i ziarno i jarzyny
Niemasz jak na księstwie chłop.
Hop! hop! hop!

Jakom księżak, mam koniki —
Do karety, choć u bryki,
Jabłkowate, kare, gniade
Co nie każdy da im radę,
Pan nie jeździ jak nasz chop.
Hop! hopi hop!

Jestem księżak, drzewa sadzę,
I szczepieniu też poradzę,
Nie ułaknę jabłka, gruszy,
Mając ogród, jem po uszy.
Nie ja pierwszy taki chłop.
Hop! hop! hop!

Jestem księżak, biednych wspieram,
Dla podróżnych drzwi otwieram,
Każdego goszczę u siebie,
Na ziemi myślę o Niebie —
Pacież mówię jakiem chłop.
Hop! hop! hop!

Księżacy na Bożą chwałę,
Wznosim kościoły wspaniałe
I stare z ruin dźwigamy,
Ofiary chętnie składamy.
Żaden z nas nie skąpi chłop.
Hop! hop! hop!

Po każdej strofie, uderzywszy w podkówki puścili się mazurem w koło.

Mazur ten był niespodzianką urządzoną przez chłopaków, gdyż nie było we zwyczaju tańczyć z przyśpiewkami.

Stach z Zochą w pierwszej parze, a za nimi reszta śmignęła, jak stado źrebców na stepie, że ten i ów usuwał się z drogi, żeby go fala nie zmiotła.

Starsze niewiasty z lubością przyglądały się „nowomodnemu" tańcowi, a już Onuferka formalnie ustać nie mogła.

— O, to ci zabawa!—wołała—aż człowieka coś podrywa. Hu, ha! Hejże, ha!

Gdy w figurze zmiany par, Zocha roztańczona rzucała się w otwarte ramiona Stacha, ten porywał ją z taką siłą, że wszyscy dech tłumili w sobie z obawy, czy ta para się nie roztrzaska.

Trzecie kury już piać zaczęły, a zabawa wrzała w całej pełni. Gdy odbijanego zatańczono, zakotłowało się, bo każdy chciał chociaż na chwilę potańczyć z Zochą, o mało nawet do bójki nie przyszło. Królowała formalnie w tym małym światku księżackiej wioski.

Stach, patrząc zazdrosnym okiem jak wyrywano ją sobie, stanął zaporą i zatrzymał ją przy sobie. Niepodobało się to innym, lecz wobec wyzywającej postawy Stacha, milczeli.

Puścili się znowu w tan. Stach, patrząc prosto w oczy Zośce, magnetyzował ją.

— Jutro przyjdę do ciebie, Zocha, jak się ściemni.

— Ja się tak boję, jeszcze kto zobaczy.

— Co ma zobaczyć, noce ciemne, rzucę piaskim w okno.

— To już lepiej sama wyjdę pod jabłonkę, nie trzeba rzucać w okno.

Matka Zochy zwróciła uwagę, że czas by już było zbierać się ku domowi, bo się nie zdążą wyspać do rana.

Wybieranie się Zochy dało hasło do przerwania zabawy. Stach odprowadził obie niewiasty do domu, żegnając się z Zochą ścisnął ją za rękę i mruknął znacząco, żeby pamiętała o poniedziałku. Odpowiedziała potakująco i zwróciła się ku chacie.

Stach stał zapatrzony chwilę, poczym ocknął się i wolnym krokiem wyszedł na drogę.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły kominy domów, ptactwo świergotem zapełniało powietrze. Zanosiło się na piękny dzień naszej polskiej jesieni. Stach pełną piersią wdychał wonne powiewy płynące z pól, wyprostował się i uśmiechnął sam do siebie, spojrzał jeszcze raz w stronę sołtysowej chaty i szepnął:

— Oj, ty Zocha! jak ciężko ciebie dostać.

VIII.

Dobrze się zmierzchło, gdy Stach tyłem, po za opłotkami, przemknął się do chałupy sołtysów, przeskoczył płot i znalazł się w sadzie pod znaną jabłonką. Siadłszy na ławce, nasłuchiwał czy nie dosłyszy szelestu kroków Zochy, lecz cisza była dokoła, świerszcz jedynie odzywał się gdzieś od strony chałupy, któremu wtórował niekiedy głos puszczyka, czatującego na zdobycz.

Nagle usłyszał skrzyp od strony przełazu i jak czarowna zjawa—stanęła przed nim Zocha.

— Zerwał się z ławy i chwycił ją w pół, tuląc do siebie. Wyrywała mu się słabo, lecz nie byłaby nawet w stanie rozerwać żelaznej obręczy ramion obejmujących ją dokoła.

— Nareszcie przyszły moje skarby! moje ukochane, moje drogości—szeptał—całując jej szyję i usta. Zocho! powiedz, lubisz mnie choć trochę?

— Żebym nie lubiła, to bym nie przyszła. Ale co będzie, jak Janek powróci? Ja się tak boję, żeby nie było jakiego nieszczęścia.

— Nie bój się niczego, co będzie to będzie. Wyjdziesz za mnie, niczego ci nie braknie.

— Ale co ludzie powiedzą? ojcowie? przecież już po zrękowinach. I wstyd i obraza Boska. Głowa mi pęka, nie mogę myśleć wcale. Zdaje mi się, jakbym stała nad wielkę przepaścią, która mnie lada chwila pochłonie.

— Nie myśl o niczem, tylko o tem, że cię kocham nad wszystko na świecie, nad moje życie, nad skarby świata. Co mi niebo, co mi raj bez ciebie? Ja bym zczezł jako ta płonka licha, gdybym cię nie widział.

Przytulił jej głowę do swego ramienia i okrywał pocałunkami, gdy nagle od strony chaty szybkie rozległy się kroki i jak z pod ziemi, wyrósł przed ławką Janek.

Wyciągnął już ręce do bielejącej postaci, gdy nagle krzyk Zochy rozdarł powietrze.

Oboje zerwali się czymprędzej, nie wiedząc, co robić ze sobą.

Janek stał jak skamieniały, nagle chwycił się rękami za głowę i zataczając się jak pijany—krzyknął rozpaczliwie:

— Och! ty podła!!!

I rzuciwszy się gwałtownie w tył, zaczął biec jak szalony. Znalazł się na łące, nieopodal swej chaty. Tu runął jak długi na ziemię, wpijając palce w murawę do samych korzeni, jakby się chciał dobić do wnętrza tej matki-karmicielki.

— O, ty matko moja rodzona, czemu mnie tak karzesz? Ja tylko was dwoje ukochałem! Zocha! Oj, Zocha! Zabrała mi wszystko. Nie żyć mi teraz! O! ty matko ziemio, weź mnie w siebie, przytul do siebie, okryj sobą. O Jezu! o, Jezu! Takie życie!..... O Panie Boże! czemem zawinił?... za jakie grzechy?... Nawet muchy nie ukrzywdziłem!....

I gorzkim wybuchnął płaczem. Płakał jak dziecko, tulił głowę do tej matki-ziemi, której łono rosił łzami. W uszach czuł dzwonienie jakby tysiąca dzwonów. Serce kołatało mu w piersi jak garnek rozbity, to znowu przycichało, jakby zamierać miało. Dzwonienie zamieniło się w szum i czuł jak mu cierpnie cały tył głowy. Powoli kamieniał, zdawało się, że cały świat przygniótł go sobą.

A ta matka ziemia za łzy gorące rzeźwiła go chłodną rosą, tuliła do siebie, koiła, uspakajała to dziecię swoje, tego obrońcę, który gotów zawsze oddać za nią ostatnią kroplę krwi swojej, jak niegdyś pradziadowie jego oddawali i jak wnuki oddawać będą.

Długo tak leżał, już drugie kury piać poczęły, gdy przyszedł do siebie. Uniósł się z wolna, oparł ręce o kolana i zapatrzył się w przestrzeń nieruchomo. Głębokie westchnienie wydarło mu się z piersi, podniósł się ciężko i skierował w stronę chaty.

Nogi uginały się pod nim, szedł z głową pochyloną ku ziemi, na pozór spokojny, tylko na twarzy pojawiły mu się dwie bruzdy, które od końców ust ku dołowi, nadając mu charakter dziwnej zaciętości i bezbrzeżnego bólu.

Wszedł cicho do chaty, skierował się do swej komory i zapaliwszy świecę, zaczął gorączkowo grzebać w kuferku, zrobił mały węzełek, przywdział wierzchnią sukmanę i z kijem w ręku wszedł do pierwszej izby. Zatrzymał się nieco i jął rozglądać dokoła, jakby tę izbę na zawsze chciał zachować w pamięci. Zbliżył się do łoża ojców i w powietrzu przeżegnał ich krzyżem świętym, lecz ujrzawszy rękę matki zwieszoną ku ziemi, przyklęknął i przyło-

żył do niej swe usta; zerwał się prędko i wyszedł z chaty, zamykając drzwi za sobą.

Chwilę postał przed progiem, nachylił się, zdjął kapelusz i ucałował ten próg, na którym niemowlęciem się bawił, a chłopakiem małym z książką siadywał.

Wyprostował się, nacisnął kapelusz na głowę i szybkim krokiem wyszedł na drogę. Raz jeszcze obejrzał się na chatę i zniknął w cieniach nocy.

IX.

Miesiąc upłynął od czasu, gdy Janek przepadł bez wieści.

Starzy ojcowie w głębokiej rozpaczy czynili wszystko, by się czegoś dowiedzieć o synu, lecz wszelkie poszukiwania okazały się daremnemi.

Chodziły słuchy, że Zocha musi coś o tem wiedzieć, lecz ta milczała uparcie. Widziano ją nazajutrz rano jak szła z książką do nabożeństwa do Łowicza, a Mateuszka Kosiorkowa, idąca do miasta z gadziną, widziała ją modlącą się tego dnia w kościele przed ołtarzem Przemienienia Pańskiego.

Tegoż dnia widziano wieczorem powracającego z miasta sołtysa Walentego, pod dobrą datą, prowadzonego przez Stacha, któremu się też niewiele należało.

Walentowa niechętnie patrzyła na Stacha, raz, że nie wylewał za kołnierz i często sołtysa wyciągał do piwiarni, a powtóre, że domyślała się łączności zniknięcia Siekiery z Zochą i Stachem.

Pewnego razu sama zagabnęła Zochę, gdyż markotno jej było, że się nie spełniły najdroższe jej marzenia wydania córki za najbogatszego gospodarza we wsi.

— Zocha, ty musisz coś wiedzieć o Janku? Boć nie sposób, żeby tak znikł jak kamfora, nie opowiedziawszy się nawet. A przecież miłowanie wasze było wielkie. Mnie się widzi, że to wszystkiego narobił ten pędziwiatr, ten zatraceniec—Stasiek. Na ludzkie utrapienie licho go tu przyniosło. On mi się od pierwszego wejrzenia nie podobał.

— Co miał być winien. Nie było przeznaczone.

— Taki człowiek, taki uczciwy, taki sprawiedliwy, taki bogaty i tak samochcąc go stracić. Nie jedna dziewczyna środy i piątki by suszyła, żeby go dostać.

— O, co tu gadać, szklane było i stłukło się, nic na to się nie poradzi.

— Ale ten Stasiek za często tutaj zagląda: pachnie golcowi gospodarska córka, a robić się nie chce.

— Uprzedziliście się matulu do niego i tyle. Chłopak jak malowanie, każda by poszła za niego. A chyba i do roboty nie leniwy.

— A czego siedzi po próżnicy, zamiast wziąć się do czego.

— Przecież niedawno powrócił z wojska, toć mu się odpoczynek należy.

— A i komar, jak z dębu spadnie, to też odpoczywa.

— Nie wydziwiajta matuś, cóż on winien, że nie jest bogaty, ale może być najlepszym człowiekiem. Żebyśta wiedzieli, jak mi teraz ciężko żyć na świecie, to byśta mi już nie dokuczali, ja sobie nigdzie miejsca znależć nie mogę. I nie wiem, co mam robić: do Stacha serce ciągnie, a znowu Janka serdecznie mi żal, boć przecie nie zrobił mi nic złego, a jeno dobra mego chciał. I wszystko to tak mnie trapi, a do nikogo odezwać się nie mogę, od nikogo

pociechy i uspokojenia, chodzę, jak ta błędna owca, i łzy po kątach połykam....

Przysiadła na ziemi u nóg matki i szlochać poczęła.

— Uspokój się, przecieżem nie macocha. Wypowiedz, co ci dolega, będzie ci lżej na duszy.

— Moja to wina, że Janek przepadł. Na drugi dzień po muzyce przyszedł Stach wieczorem i siedzieliśmy razem pod jabłonką. Stach mnie wziął za szyję, a na to nadszedł Janek i krzyknąwszy „Ty podła!"—pobieżał prędko, i tyleśmy go widzieli.

— O! ja nieszczęśliwa! i potrzeba ci tego było, moje serce matczyne przeczuwało, że ten człowiek nieszczęście ci przyniesie. A i ci biedni ojcowie Janka włosy wyrywają z rozpaczy. Musiał gdzie zginąć, bo nie podobna, żeby słuchu o nim nawet nie było.

— Stasiek chce na gwałt słać swaty, mówi że się zabije, a ja sama nie wiem, co robić. Powiada, że tatulowi mówił i że ojciec nie są przeciwni.

— Co tam ojciec—byleby miał z kim wypić, to się na wszystko zgodzi. To ojciec jest? żeby nie moja ciężka praca, dawno już byśmy z torbami poszli.

— Ratuj mnie, matuś, bo ja tego nie przeżyję.

I objęła matkę za nogi.

— Dziecko moje! przecież ja nie chcę twojej zguby, ja bym ci nieba przychylić rada, lecz co tu począć? jak zrobić? ja sama nie wiem. Czekajmy jeszcze, może Janek da znać o sobie.

O, Janek nie wróci, ja go znam. Choćby mu zginąć przyszło, nie wróci. On zacięty, on mi nigdy nie przebaczy. O tym nie ma co mówić.

— Ale jakżeś ty mogła tego Stacha tak dopuścić do siebie?

— Dur na mnie rzucił chyba. Jak się zjawił a spojrzał, to dech mi zapierało.

— A Janek?

— Janek, to jakby mi bratem był, jakby nauczycielem albo księdzem; czasem mi się zdawało, że gdy spojrzy na mnie, to czyta wszystko w sercu; lęk mnie niekiedy ogarniał, gdy do mnie mówił. Cokolwiek czyniłam, zawsze myślałam, co Janek powie. Przy nim wiedziałam, że mi się nic nie stanie, choćbym świat cały przeszła, a jednak do Stacha coś mnie ciągnęło.

— Nieszczęśliwa godzina, co tu począć, co ludzie powiedzą. A dostać się na ich języki to się śmierci równa. Przynajmniej teraz, dopóki nie ucichnie, powinnaś unikać wszystkiego, zejść ludziom z oczu, zająć się robotą.

— Dobrze już, matuś, zrobię wszystko, co każecie Kamieniem w domu siedzieć będę, jeno do ochronki zajdę pomagać ochroniarce, niech choć tyle będzie ze mnie. On z takim trudem ją założył, jak żebrak chodził od chaty do chaty, namawiał mnie, abym się zajmowała w niej, przywiózł mi z miasta podręcznik, szczęśliwy był, gdym tańcowała i śpiewała z dziećmi, mawiał, że ta ochronka jest jego jedynym wypoczynkiem i radością. Niechaj pamięć o nim zostanie wśród tej dziatwy, którą tak ukochał.

— Ta ochronka, to jest wielka rzecz. Ile to razy dzieciska, pozostawione bez dozoru, podpalały chałupy, ile to wozy nakaleczyły po drogach, a co z drzew naspadało, drapiąc się za ptakami. Dzisiaj, gdy człek widzi, jak te maleństwa składnie chodzą, śpiewają, bawią się, rozumnie odpowiadają, to aż się dusza raduje. I to nikt o tym nie pomyślał, aż trze-

ba, żeby się urodził taki we wsi, co by dla każdego chciał krwi z palca utoczyć.

— Dobry to on był, nie ma chyba człowieka, któremuby w czem nie wygodził.

Rozmowę przerwała Onuferka, wpadając do izby zdyszana, z okrzykiem:

— Wielka nowina!

Kobiety porwały się z miejsca i otoczyły ją kołem, ta siadła na krześle i chłodziła się zapaską.

— No, gadajcież prędzej, co się stało?

— Janek Siekierczak list przysłał do ojców,

— Jezus, Marja! No i co? no i co? gdzie jest?

— Jest jaż w Ameryce!

— Matko Boska! — krzyknęła Walentowa — aż tam pojechał? Dzięki Bogu, że choć żyje, a to już różnie ludzie gadali. No i jak mu tam, gadajcież, moi złoci!...

— W ciężkich jest robotach, kopią tam jakieś morze. Ale tak napisał żałośnie, że się starzy popłakali.

Zocha słuchała z zapartym oddechem, z wypiekami na twarzy, lecz słowa zamarły jej na ustach.

Onuferka wstała, by dalej nieść nowinę, chociaż matka i córka prosiły, aby im jeszcze opowiadała.

— Później naopowiadam, bo teraz nie mam czasu — okrywszy się zapaską, wybiegła z izby.

Porwała się za nią Zocha i wybiegła aż w opłotki:

— Moja Onufrowo! moja najkochańsza, pokażcie mi ten list na chwilę, weźcie od Siekierów, to im oddacie potem. Ja nie śmiem tam iść, bo od tego czasu starzy się na mnie boczą, że to przezemnie Janek zginął — powiadają.

— A tak ludzie gadają, że to niby przez Stacha, No, po próżnicy nie gadają, już tam mnie sta-

rej na plewy nie brać, ja też tam coś niecoś miarkuję. Ale nie bój się, Zocha, pary z ust nie puszczę, a list którego dnia ci przyniosę.

— Tylko nie mówcie dla kogo, bo nie dadzą. Najlepiej ja jutro wpadnę do was pod wieczór.

— No, już dobrze, dobrze!, przyniosę na jutro.

Gdy wróciła Zocha do chaty, zastała jeszcze matkę zamyśloną i mówiącą do siebie:

— Na drugi świat musiał biedak uciekać przed swoją dolą. Nie sądzone mu było. A inszy, to jak ptak niebieski, ani sieje, ani orze i zbiera. Niedobry świat.

X.

W chacie Siekierów na przemiany cieszono się i płakano.

Cieszono się, że jedynak, którego za przepadłego uważano, żyje, a list jego łzy starym wyciskał.

Drzwi chaty się nie zamykały. Co chwila przychodzili sąsiedzi dowiedzieć się o treści listu, bo coraz to inne chodziły gadki.

Zainteresowanie było wielkie, bo też i przedmiot zainteresowania był nielada jaki. Teraz dopiero ludzie poznali, co utracili.

Wszystkie sprawy gromadzkie, czy to w gminie, czy w powiecie, Janek sam załatwiał, a będąc gładkim w obejściu, inteligentnym i wymownym, powszechną budził sympatję i często dla niego samego niejedną sprawę przychylnie załatwiono.

Dziś wioska cała została się bez opiekuna, bez obrońcy, bez doradcy. Starzy, osiwiali gospodarze smutno kiwali głowami i bezradnie załamywali ręce.

Każdy naocznie chciał się dowiedzieć czegoś o Janku i uważali za obowiązek odwiedzić starych i okazać im współczucie.

Zaledwie jedni opuścili chatę, już nowi napływali goście i Siekiera po raz dziesiąty rozpoczynał

czytanie listu, a matka Janka za każdym razem ocierała oczy zapaską i pochlipywała.

— Adyć nie męczcie mi, ludzie, starego, wołała— bo oczy od tego czytania wypatrzy.

— Ino jeszcze ten razik, wołano zewsząd i stary rad nie rad, nałożywszy okulary, zaczął czytać:

Panama, G. S. Miguel, w październiku.

„Drodzy i kochani rodzice!

Wiem, że nagłą swoją ucieczką zasmuciłem was bardzo. Za wszystkie starania o mnie, za pot wasz krwawy, by mi zapewnić naukę, zapłaciłem wam niewdzięcznością. Lecz mi przebaczcie. Spadło na mnie wielkie nieszczęście. Wszystkie moje nadzieje i marzenia zostały stargane; to, co mnie wiązało z życiem, to, do czego nawet każdy nędzarz ma prawo, mnie zostało odjętem. Nie będę Wam pisał szczegółów, chyba kiedyś, dziś rana jest zbyt świeża. W pierwszej chwili chciałem się życia pozbawić, lecz myśl o was, najdrożsi, wstrzymała moją rękę,

Wybiegłem w świat, bo w mej rodzinnej wiosce nie było już dla mnie miejsca, bo na grobie mojego szczęścia żyć nie mogłem.

Uciekając na kraj świata, pragnąłem jednej tylko rzeczy: spokoju, pragnąłem nie myśleć, nie wiedzieć, nie czuć. Lecz gdziekolwiek się ruszyłem, szła za mną moja dola, moja nieszczęsna dola!

Trzeba było aż rzucić się w wir pracy wielkiej, szalonej, nie człowieczej, aby już nie spokój, a chwilowe zapomnienie zdobyć.

Pracę taką znalazłem przy kopaniu kanału Panamskiego.

Gdybyście widzieli, jakie cuda czyni nauka w walce z przyrodą! Niebotyczne góry wylatują w powietrze, by dać miejsce przepływowi wód. Ma-

szyny parowe żłobią kanały, wyrzucając daleko od siebie piasek i ziemię. Wielkie tamy wstrzymują wody do wysokości kilkunastu pięter, by dać możność usuwania podwodnych raf i skał. Lotne piaski, zasypujące kanał, są zatrzymane ścianami z betonu.

Wobec tak olbrzymich walk, ludzkie osobiste sprawy stają się małemi i to jest może skutecznym lekarstwem na moją chorobę.

Lecz gdy wyczerpany pracą legnę na polu, pod palącemi promieniami słońca, wtedy dopiero odczuwam całą tęsknotę za moją drogą ojczyzną.

Tam wszystko przemawiało mi do duszy: szum naszych sosen i dębów, naszych zbóż. Nawet ptactwo w zrozumiałym odzywało się języku. Nie usłyszysz tu derkacza, nawołującego do koszenia łąk, ni przepiórek wołających „pójdźcie żąć". Tu wszystko jest obce, nie nasze i wtedy dopiero czujesz, jak drogim ci jest ten kraj ojczysty i taka żałość chwyta za serce, żebyś człowieku płakał jak dziecko.

Na zakończenie, mam do was, kochani ojcowie, prośbę: nie dajcie szczeznąć instytucjom, któreśmy z takim trudem potworzyli. Mówcie sąsiadom, że jedynie skupianie się jest naszą siłą, O ochronce mojej też pamiętajcie.

Siostrę i szwagra ściskam serdecznie. Sąsiadom pozdrowienie.

Jeszcze raz błagam was, drodzy, darujcie nieszczęśliwemu, który całuje wasze nogi i te kochane spracowane ręce.

Wasz Janek."

— O chudziak mój biedny, moja kruszyna! — lamentowała dalej Siekierzyna — potrzebne mu to było, moja sierota kochana! i nowym wybuchnęła płaczem.

Siekierze też się głos załamywał i ręce mu drżały, rękawem tylko od czasu do czasu łzy ocierał.

— To ci dziecko! — wołali gospodarze. A jak on pisze, to jakby te słowa kto człowiekowi z pod serca wyrywał.

— Zobaczycie sąsiedzi, że wielka bieda będzie bez niego — rzekł podsołtys Wieteska.

Z gębyście mi wyjęli te słowa — rzekł drugi gospodarz, Urbanek. — Mocna była głowa i wielce użyteczna, o! wielce! Każdej sprawie utrafił w sedno i poprowadził ją jak potrza. Zostaliśmy chudziaki jak bez ojca.

Oj, bieda, bieda! — powtarzali wszyscy chórem, żegnając się z Siekierami.

Wychodzących wyminęła Onuferka, która wpadła do izby jak kula.

— Moi złoci, dajcie mi na chwilę list Janka, migiem go wam odniosę.

— Za nic na świecie! — wrzasnęła Siekierzyna. jedyny głos dziecka chcą nam zatracić.

— Nie bójta się, owinę w chusteczkę i poniosę jak świętą relikwię; za pół godziny będę z powrotem.

— No chyba że tak — rzekł Siekiera, — ale tylko na chwilę.

Pochwyciła list i wybiegła uradowana, że tak cenny posiada papier. Przechodząc obok chałupy sołtysa, zajrzała do okna i kiwnęła na Zochę.

— Przychodź zaraz, bo list niedługo muszę oddać.

Zocha czemprędzej narzuciła na siebie zapaskę i wybiegła w ślad za Onuferką. Dogoniła ją na drodze i weszły razem do chałupy.

Onuferka wyjęła list z zanadrza podała Zośce z uroczystą miną. Ta ujęła go drżącemi rękoma, rozwinęła i poczęła czytać głośno.

W miarę czytania, rumieńce występowały jej na twarz i głos coraz trudniej dobywał się z piersi. Nogi też zaczęły jej odmawiać posłuszeństwa, bo przysunęła się do krzesła i ciężko nań siadła. Onuferka oparła się z tyłu o poręcz i pochłaniała każde słowo.

Zocha czytała coraz wolniej, lecz gdy doszła do miejsca, gdzie Janek tęsknił za tym ukochanym krajem, nie zdzierżyła i w głos się rozpłakała. Onuferce też się na płacz zbierało, a nie mając czem łez obetrzeć, chwyciła za podołek od koszuli.

— Oj, biedny Janek! — zawołała, — takie to zawsze było potulne, jak było małe, a później, to go choć do rany przyłóż. Dziw, że w człowieku tyle może być dobroci.

O mnie nie wspomniał ani słowa, — rzekła szlochając, Zocha. Wolałabym żeby przeklinał, pomstował, lżejby człowiekowi było przenieść to wszystko, a on sam tylko cierpi i na nikogo winy nie zwala.

— A widzisz, widzisz, jaki poczciwy, żeby dziewczynie oszczędzić ludzkich języków, to nawet ojcom nic nie powiada.

— Nie mówcie, żeście dla mnie to pismo przynieśli, bo się starzy rozgniewają na was.

— Za kogo mnie masz? toć wiem przecie.

Onuferka list schowała i wyszły razem z Zochą, której pilno było do chałupy.

Zocha zabrała się do roboty około obiadu, lecz jakoś jej nie szło. Co chwila się zamyślała i ręce jej opadały.

— O ochronce pamiętać kazał, aby nie sczezła. Bądź spokojny, nie sczeznie póki mnie stanie.

X.

Zbliżała się zima, roboty w polu ustały, młócono tylko po stodołach, zboże zbywające wysyłano do Łowicza. Nie było kłopotu ze sprzedażą, gdyż przy szlabanach zwykle czuwali żydzi i rewidowali bez pytania każdy przejeżdżający wóz do miasta, kupując wszystko, co było na sprzedanie.

Każdy kupiec zbożowy miał w pobliżu mały sklepik z tytoniem, papierosami i produktami spożywczemi, w drugiej izbie była zwykle waga, zaś w dziedzińcu wielki spichrz, w którym zawsze znajdowało się na składzie kilkadziesiąt korcy zboża, oraz młynek do czyszczenia tegoż

Z wagą tylko trudno było dojść do porozumienia. Korzec namierzony z czubem po większej części nie wytrzymywał wagi, nieraz brakowało po dwadzieścia funtów. Tu też Janek Siekiera zostawił pamiątkę. Zboże, zważone u żyda przy świadkach, zważył w filji Syndykatu Rolniczego, gdzie wykazała się różnica piętnastu funtów. Zawiadomiono policję, która sprawdziła fałszywe ustawienie wagi. Żyda oddano pod sąd i wagę skonfiskowano. Odtąd, przynajmniej na pewien czas, ustało wyzyskiwanie gospodarzy w tej

części miasta, gdyż rzuciło to popłoch na pozostałych handlarzy zbożowych.

Janek nie przestał na tym, lecz zaczął agitować w pismach, aby Syndykat Rolniczy w swoich filjach powiatowych wprowadził detaliczne kupno zboża od włościan, budując własne śpichlerze i młynki do czyszczenia, tym sposobem możeby się udało powoli wyrwać handel zbożowy z rąk żydowskich.

W jeden z zimowych piątków stanęła przed sklepem Lejby bryka sołtysa Walentego, z której wysiadły Walentowa z Zochą. Na bryce było kilka worków zboża, Lejba zabrał je do wagi, strącając kilkanaście funtów na złe oczyszczenie. Walentowa nie chciała się zgodzić lecz żyd ani gadać nie chciał, wiedząc, że z samemi kobietami łatwiej poradzić.

Walentowa chłopcu z końmi poleciła zatrzymać się na Rynku, obie zaś z Zochą udały się za sprawunkami. Załatwiwszy się w kramach, wstąpiły na Zduńską ulicę do apteki Szymanowskiego po lekarstwo, bo sołtys od pewnego czasu niedomagał. Znachor polecił mu brać trzy razy dziennie krople maciczne, bo to ona tak go na wnętrzu rozpiera; lecz pomimo wyżycia już dwuch flaszeczek choroba nie tylko że nie ustępowała, lecz, przeciwnie, pogarszała się znacznie.

Gdy weszły do apteki po one krople, aptekarz z całą powagą zapytał: Dla kobiety, czy dla mężczyzny?

— Dla mężczyzny — rzekła sołtyska.

Aptekarz nalał we flaszkę, ciemnych kropli, dolawszy z innej buteleczki nieco jaśniejszych, i podał Walentowej.

Gdy przybył z Warszawy do Łowicza, probował tłomaczyć ludowi, że krople te są specjalnie dla

kobiet i że mężczyznom nic pomóc nie mogą. Zrobił się wtedy gwałt i poczęto się udawać do apteki na starym Mieście i składów aptecznych; nowator, zobaczywszy, że to się fatalnie odbija na obrocie, począł na nowo wydawać one krople i dla mężczyzn, zmieniając jedynie kolor dla odróżnienia.

Kobiety na Zduńskiej ulicy spotkały Stacha, który miał na nie oczekiwać przed apteką. Udali się razem na Mostówkę zapłacić w kasie podatki, lecz ludzi było tak dużo, że stali aż na ulicy. Stach dał deklarację znajomemu woźnemu przysięgłemu i udał się z kobietami do piwiarni naprzeciwko.

Od owego pamiętnego wieczoru wysługiwał się im, robiąc co tylko mógł. Ludzie też zaczęli patrzeć na niego, jak na przyszłego męża Zochy, tymbardziej, że nie pozwalał nikomu zbliżać się do niej; raz nawet pobił z tego powodu gospodarskiego syna z Jastrzębi.

Dopiero aż po południu mogli się dostać do kasy po kwity. Ponieważ dom, w którym mieściła się kasa, był przerobiony z dawnego hotelu, tyle tam było różnych pokoików, korytarzyków i zakamarków, że ludzie tracili wiele czasu na przechodzenie z jednego wydziału do drugiego, błąkając się jak owce.

Załatwiwszy wszystko, udali się do koni i poczęli wybierać się do domu. Stach poprawił siedzenia i pomógł kobietom wejść na wóz. Sam się usadowił na przedzie i ruszyli w drogę.

Wobec Walentowej był jakby onieśmielony, czuł bowiem, że sołtysowa nie mogła mu darować zerwania małżeństwa z Jankiem i kilka razy dała mu to do zrozumienia. Tymbardziej ją to gniewało, że i sąsiedzi zaczęli sołtysowi wytykać, jako „pomieniał się

stryjek, za siekierkę — kijek", że z takiego bogacza jak Janek zeszli na łachmytka.

Stach to czuł i nie miał tej pewności siebie, która go zawsze cechowała, odzyskiwał ją dopiero gdy sam zostawał z Zochą. Wzajemna skłonność zmysłowa brała górę i łatwo się mogli porozumieć.

Gdy zajechali przed chatę, zastali kilka osób krzątających się po izbie, grzejących kamionki i pokrywy i otaczających jęczącego sołtysa. Zrobiło mu się bowiem gorzej. Jakaś baba odczyniała nad nim urok, lejąc wodę gorącą na węgle przez brzozowe gałązki.

Krople przywiezione nic już nie pomagały choremu, pot zimny występował na czoło. Ktoś się odezwał, że należałoby posłać po doktora do Łowicza, lecz go inni zakrzyczeli, że owczarek z pod Bolimowskiej wsi jest więcej znający i uchwalono posłać po niego.

W kilka godzin przyjechał znachor i zabrał się zaraz do kuracji. Wyjął z zanadrza jakieś zioła i kazał je gotować „pod szpuntem", następnie brzuch chorego zaczął mocno nacierać maścią przygotowaną na nowiu z młodych jaszczurek, kantaryd, żółtka od kury piejącej, zmieszanego z oliwą i ekspelerem zagranicznym. Następnie głowę chorego nakryto derką i poczęto go okadzać gotowanemi ziółkami.

Sołtys ledwo zipał, brzuch był coraz bardziej wzdęty, co zobaczywszy owczarz oświadczył, że ratunek będzie pewno spóźniony, bo już macica dochodzi do gardła. Polecił tylko jeszcze smarować maścią od piersi ku dołowi, lecz nie zawadziłoby także posłać po księdza.

Na wzmiankę o księdzu, kobiety uderzyły w bek, Stach, wziąwszy konie od podsołtysa pchnął chłopaka

po księdza. Znachor zaś czemprędzej wołał o zapłatę i żądał odesłania do domu, bo tam na niego czekają chorzy.

W godzinę niespełna przyjechał wikary od S-go Ducha, opatrzył Walentego na drogę wieczności, a w dwie godziny sołtys już nie żył.

Wiadomość o śmierci lotem błyskawicy rozeszła się po wsi. Sąsiedzi zaczęli się schodzić, by okazać pomoc, gdyż zarówno matka jak córka nie były w stanie zebrać myśli, słaniały się tylko z kąta w kąt i zawodziły. Stach okazał się dużą pomocą i szczerze się wszystkiem zajmował.

Przywieziono trumnę z miasta, nieboszczyka ubrano w odświętne szaty i ustawiono na środku izby, na ławach nakrytych kilimem. Stół nakryto czystym obrusem, postawiono na nim żelazną pasyjkę, talerz z wodą święconą i kropidło.

Rozpoczęło się nawiedzanie nieboszczyka. Każdy uważał za obowiązek odmówić choć krótki pacierz, większość by się nagadać i naopowiadać o nim, co kto wiedział, a już każda niewiasta musiała palcami popróbować materjału, z którego było zrobione ubranie i czy jeszcze nie zniszczone.

Dnia następnego, od rana, poczęto czynić przygotowania do wyprowadzenia zwłok. Brykę wymoszczono kilimkami i trumnę na niej złożono. Nadszedł też z sąsiedniej wsi gospodarz, Tomasz Adamczyk, z krzyżem, przewodniczący zwykle pogrzebom, na których miewał przemowy. Sąsiedzi ciało zazwyczaj odprowadzali do krzyża za wsią, gdzie po wysłuchaniu przemówienia i odmówieniu pacierza, powracali do domów, konduktowi zaś na cmentarz towarzyszyła rodzina i najbliżsi znajomi.

Adamczyk, stanąwszy z krzyżem na czele zaintonowel pieśń „Serdeczna matko" i pochód ruszył powoli. Dzieciaki tylko miały uciechę, bo je powsadzano na brykę i otoczyły trumnę wiankiem dokoła. Coraz to które uciskane siadało na trumnie, aż je Onuferka spędzać musiała.

Gdy orszak zbliżył się do krzyża, nad drogą wiodącą do szosy, i zatrzymał się, przewodniczący, wyjąwszy z za pazuchy przemówienie spisane na karcie, odezwał się w te słowa:

„Kochani bracia i siostry!

Prowadzimy dzisiaj na miejsce wiecznego spoczynku naszego sąsiada i brata w Chrystusie, ś. p. Walentego. Nieboszczyk, piastując urząd sołtysa w naszej wiosce niejednemu pomógł i wygodził, a że nieraz, spełniając nakazy urzędowe, zrobił komu nieprzyjemność, toć mu wybaczcie, albowiem nie wiedział, co czynił. Nieraz i na niego przychodziły nieszczęścia i kłopoty, że przez przytomności powracał do domu, ale kto z nas jest przez winy, niech kamień nań ciśnie".

„Dziś ten nieboszczyk, leżący na wozie, przemawia do was przez moje usta...

— Zlaźta bachory z trumny!

„Przemawia do was przez moje usta: Przebacz mi, nieszczęśliwa wdowo, jeśli cię kiedy uraziłem słowem lub uczynkiem, nie pamiętaj mi tego, bo już na boskim jestem sądzie."

„Przebacz mi i ty córko, sieroto, gdym cię też kiedy ukrzywdził, bom chciał twego dobra, abyś na zacną wyrosła niewiastę".

„Przebaczcie mi wy, słudzy i najemnicy przewiny moje jeśli były jakie, lecz wniknijcie w głąb siebie,

czyście i wy sami nie byli przyczyną obrazy boskiej przez lenistwo przy robocie?"

„Przebaczcie mi wy, sąsiedzi i przyjaciele, gdym kogo chcący, lub nie chcący, myślą lub uczynkiem, na słowie lub honorze uszkodził. Ale że wszyscy jesteśmy grzeszni — rzeknijcie, że mi przebaczacie..."

— Przebaczamy! — zawołano chórem i zewsząd odezwały się szlochania. Najgłośniej zawodziły Walentowa z Zochą. Adamczyk otarłszy nos połą sukmany, kończył dalej:

„Teraz do ciebie się zwracam, sąsiedzie nasz, ś. p. Walenty! Skończyłeś swą ziemską wędrówkę, ostawiłeś wszystkie doczesne dobra; zabiegałeś, charowałeś i co ci z tego ostało? Oto cztery deski i trzy łokcie ziemi. Bierzesz ze sobą sukmanę i lejbik, by poćciwie stanąć przed Panem. Idź więc w spokoju na wieczną drogę w Imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego i wieczny odpoczynek racz ci dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj ci świeci na wieki!"

Amen — odpowiedzieli obecni, i część przybyłych, po odmówieniu krótkiego pacierza, zawróciła ku wsi, reszta podążyła za ciałem do Łowicza, by je pogrześć na cmentarzu parafjalnym „Emaus".

Przy wjeździe do miasta orszak zatrzymał się przed kościołem, skąd wikary z organistą poprowadzili ciało na cmentarz.

Po pogrzebie, księdza i organistę odwieziono na plebańję, zaś pozostali udali się do Kaźmierka, wedle łez, jak mówiono, otarcia. Stach zajmował się poczęstunkiem, spełniając niejako rolę gospodarza.

Czym więcej zaglądano do kieliszków, tym rzewniej się wszystkim robiło na sercu. Onuferka pierwsza zaczęła zawodzić:

— I już go niema! a nie tak jeszcze dawno i oracyje na weselach gadał i nawet nieraz wykręcił oberka; dobry był człowiek!

— Biedna ja sierota! wybuchnęła nagle płaczem Walentowa, ostawił mnie samą jedną na świecie jak ten kołek w płocie; czemużeś mnie nie zabrał ze sobą! Co ja pocznę teraz nieboga, o Boże mój, Boże!

— Adyć nie płaczcie matuś przecież nie sami zostajecie — rzekła płacząc, Zocha. Będę wam zawsze pomocą i nie przyczynię wam zmartwienia.

— Moje dziecko, jak pójdziesz na swoje, kto tam pomyśli o starej matce.

— Nie markoćcie, Walentowo, — rzekła Onuferka — dyć wszyscy tam pójdziemy. Stary wasz pomarł, jako rzetelny katolik i opatrzenie miał na drogę wieczną jak się patrzy. On teraz tam szczęśliwszy od nas, nie martwi się ani o podatki, ani o każdą rzecz. No, wasze zdrowie!

Tu trąciły się kieliszkami i wypiły na pokrzepienie. Przywtórzyła im cała kompańja, pijąc i coraz to przypominając dobre strony nieboszczyka.

Zmierzchać się zaczęło, gdy całe towarzystwo jęło się wybierać ku domowi. Kobiety powsiadały na brykę, mężczyźni udali się do domu piechotą.

Gospodarze poczęli rozmyślać nad wyborami nowego sołtysa i sprzeczali się całą drogę, kogo by wybrać, lecz do porozumienia nie doszło. Gromadka zmniejszała się powoli, dopóki ostatni gospodarz nie wszedł do swej chałupy.

Nazajutrz każdy stanął do zwykłej pracy i zapomniano, że ubył jeden pracownik z tego ludzkiego mrowia. W chacie tylko Walentowej panował jeszcze większy płacz, gdy niewiasty powróciły z po-

grzebu i przekonały się, że odtąd już tylko same muszą myśleć o sobie.

Luty się już rozpoczął, a więc zapusty za pasem. Spieszono się na gwałt z dawaniem na zapowiedzi. We wszystkich okolicznych wioskach szykowało się po kilka wesel.

Stach umówił się z Zochą, że przyśle swaty w najbliższą niedzielę, lecz przedtem jeszcze rozmówi się z matką. Wiedział, że kobietom teraz jest ciężko i że same z gospodarstwem rady sobie nie dadzą.

Nie zwlekając, przyodział się odświętnie i udał do sołtysowej chaty. Walentową zastał przy robocie masła, schylił jej się do nóg i rzekł:

— Przychodzę do was, matko, abyście mi dali waszą Zochę za żonę. Przypadła mi bardzo do serca i nie żyć mi bez niej. Będę wam robić wszystko, co każecie, bylebyście mi ją dali.

— Wiesz przecie, że mieliśmy inne zamierzenie i Zocha byłaby panią całą gębą, a tu przyszło nieszczęście jedno i drugie, że teraz, biedna sierota, nijakiej drogi przed sobą nie widzę.

— Widać nie było sądzone. Bez woli Boskiej nic się nie dzieje. Ja pracować umiem i przysięgam, że Zocha będzie ze mną szczęśliwa.

— Widziano was często podchmielonym i awantury czyniącym.

— Toć każdemu się zdarzy, że za kołnierz nie wyleje, ale ja z żałości to czyniłem, że Zocha miała iść za Janka, bo ja ją strasznie miłuję.

— No, cóż ty na to, Zocha? gadajże przecie, ja z nim żyć nie będę. Rozmyśl się, może jeszcze Janek powróci.

— Adyć wiecie już sami, że Stach mi nie jest przeciwny i że inaczej już być nie może. Janek nie wróci. Trzeba go znać.

— Niech się wola dzieje Boska. Trudno, to już ślij swaty. Skończyć już raz, żeby ludziom gęby pozamykać. Tylko pamiętaj, Stachu, jakbyś miał Zośce świat zawiązać, to jużbym cię chyba przeklęła.

— Bądźcie spokojni, matko; nie dośpię, nie dojem, a pracował będę, aby mojej Zoście ptasiego mleka nie brakło. Nie prawda? moje drogości!—rzekł, zbliżając się do Zochy i w pół ją obejmując, że ludzie miłowania naszego zazdrościć nam będą.

— Ja nie wiem, ja się teraz tak wszystkiego boję. Ciągle mi się zdaje, że jakieś wielkie nieszczęście zawisło nademną.

— Pluń, Zocha, na wszystko, wszystko jest głupość. Zobaczysz jak sobie uładzim życie.

— Daj Boże, żeby tak było—dorzuciła Walentowa—lepiej nie obiecywać, a dotrzymać. Czasami z wielkiego kochania ludzie wrogami się stają, jak Matysowie.

— Co Matys? taki pijak!

— A jak mu Anielki dać nie chcieli, to aż płakał i mówił, że sobie łeb o mur rozwali.

— On, co innego, a ja co innego.

— Wszyscyście wy po jednych pieniądzach. Małżeństwo dla dziewczyny, to jest granie na loterji: jedna wygra, druga przegra.

— My z Zochą napewno wygramy.

— Jak Bóg da,—rzekła Zocha.

Stach uradowany pobiegł do swego ojca uwiadomić go o szczęściu. Stary się ucieszył, że jego syn będzie gospodarzem, a nie wyrobnikiem, jak on, i że będzie miał teraz między ludźmi poważanie.

— Żebyś tylko statkował i umiał szanować szczęście, które ci samo lezie w łapy.

— To się wie. Nie bójta się, dam sobie radę.

XII.

Wesele Zochy naznaczono na poniedziałek po trzeciej zapowiedzi. Walentowa obstawała przy tym, żeby wesele było skromne, bo i środki ich nie pozwalały na to. Po śmierci sołtysa pozostały różne długi, które trzeba było spłacać, od niektórych procenty zapłacić sąsiadom a nawet i na pogrzeb trzeba się było zapożyczyć.

Zocha od zniknięcia Janka i śmierci ojca spoważniała bardzo i nawet na muzyki nie chodziła. Wszystek czas wolny od roboty poświęcała czytaniu książek, które jej jeszcze Janek zostawił i coraz bardziej je rozumiała, znajdując przyjemność w czytaniu.

Stach był koniecznie za weselem z muzyką, aby nie mówiono, że wyprawia dziadowskie wesele, lecz wola matki przemogła, gdyż i żałoba nie skończyła się jeszcze. Postanowiono urządzić tylko poczęstunek z wódką i piwem, oraz obiad, zapraszając jedynie krewnych i najbliższych znajomych.

W dniu oznaczonym, Stach z drużbą zjawił się w chacie narzeczonej w sukmanie i kapeluszu, w czerwonych portkach i lejbiku, wyglądał dostatnio i lepiej mu było do twarzy, niż w dawnym miejskim ubraniu, w którym był podobny do „deńszczyka".

Zocha, ujrzawszy go tak przyodzianego, uśmiechnęła się przyjaźnie i powiedziała, że tak mu jest daleko lepiej.

— Podobam ci się tak?—rzekł przymilnie.

— Ładnie ci, wyglądasz jak gospodarz, a w tym miejskim ubraniu byłeś podobnym do jakiegoś ciaracha.

Wyjechali wcześnie w kilka wozów, by ślub wziąć na rannej mszy i zaraz wrócili do domu, gdzie ich matka przyjęła na progu chlebem i solą.

Na usilne prośby Walentowej, obecni byli na weselu rodzice Janka. Jakkolwiek Zocha była oszołomioną i zadowoloną, że się już raz wszystko skończyło, jednak na widok starych Siekierów serce jej bić zaczęło i z wielkim szacunkiem ucałowała im ręce. Zdawało jej się, że istnieje jakiś związek duchowy pomiędzy nią a rodzicami Janka.

Siekierzyna całując Zochę w głowę, rzekła ze smutkiem:

— Nie takie miało być nasze powitanie i nie takie wesele. Mój biedny chudziak praży się tam gdzieś w pustyni na słońcu i tęskni, kochany za tym poszumem naszych drzew, ale niech ci tam Bóg nie pamięta.

Zocha chwyciła Siekierzynę za nogi i wybuchnęła płaczem:

— Bóg wam zapłać za dobre słowo i że nie żywicie do mnie żalu. To było dla mnie największym utrapieniem; ja po całych nocach nieraz myślałam, żeby pójść do was, paść wam do nóg i wyprosić przebaczenie. Nieraz z daleka patrzyłam, gdyście przechodzili do kościoła, czy nie dojrzę w waszych oczach łaskawszego spojrzenia, czy nie uśmiechniecie się do mnie dobrotliwie jak dawniej. Zawsze tylko widziałam smutek na waszych twarzach i to

mnie najbardziej bolało. Jakże bym pragnęła w jakikolwiek sposób okazać wam moją miłość i szacunek dla waszego bólu, o, moja wy matko rodzona!

Siekierzyna jeszcze bardziej się rozpłakała i podniosła ją z ziemi. I starego te szczere słowa chwyciły za serce; ujął ją w ramiona i pocałował w czoło.

— Dobre masz serce, nie możemy żywić do ciebie urazy. Nie sądzone było. Różnemi drogami Pan Bóg prowadzi swoje sługi, niech się dzieje jego święta wola.

— O la Boga!—wrzasnęła Onuferka—zamiast się radować na weselu, to wszyscy zapłakani jak na pogrzebie. Daligo, kumo, do was! za zdrowie naszego kochanego Janka!

— Pijta na zdrowie.

Siekierzyna wzięła czarkę i zwróciła się do Zochy:

— Twoje zdrowie, Zośka, na szczęście.

Następnie napełniła czarkę i podała jej. Zocha wzięła kieliszek i zawahała się.

— Nie wiem, czy wypić? Janek zawsze mówił, że największy wstręt w nim budził widok pijanej kobiety i wódkę mi zawsze pić odradzał.

— Co Janek? tu moje rządy, nie jego—zawołał nadchodzący Stach, któremu już kurzyło się z czupryny. — Pij, Zocha, ja ci każę!

Zocha spojrzała na niego nieco zdziwiona i po pewnej chwili, odwróciwszy się, wypiła trochę i resztę wylała na podłogę.

— O, tak to lubię—zawołał i pocałował ją w usta. Teraz do mnie się napij—i począł napełniać jej kieliszek.

Ojcowie Janka odwrócili się i poszli na drugi koniec izby.

Stach nastawał na Zochę, aby wypiła, gdyż to jest ich dzień. Nie chcąc mu się opierać, wychyliła kieliszek, lecz z pewną już odrazą.

Najbardziej była niezadowolona Onuferka, że wesele było bez muzyki i co chwila trącała Stacha, mówiąc:

— Wartoby choć z harmonijką sprowadzić Grzelę, żeby dziewuchy fałdy sobie trochę przetrząsły, bo takie to siedzi osowiałe, jak na sądzie ostatecznym.

Stach, chociaż radby sam potańczyć, lecz nie chciał się sprzeciwiać świekrze, podszedł więc do niej i powiedział, że dziewuchy chciałyby się nieco pokręcić.

— Możeby posłać po Grzelę—rzekł do matki—to zagra trochę na harmonji. Goście powiadają, że im się markoci; są niby na weselu, a nie są.

A to poślijta, kiedy im się koniecznie zachciało kręcić, ja tam tańcować nie będę.

Za chwilę przybiegł Grzela i, gdy rozciągnął instrument dla przygrywki do oberka, lica wszystkich się rozpogodziły, a Onuferka pierwsza wyskoczyła na środek i podreptując z nogi na nogę, zaśpiewała:

Sik, sik, sik obereczek,
Miał u pasa supełeczek,
Która panna rozwiąże,
Będzie miała pieniądze!

Stach chwycił Zochę mimo jej woli i puścił się z nią w tany, za nim ruszyła reszta.

Zocha, przetańczywszy kilka razy wkoło, wymówiła się bólem głowy i tańczyć więcej nie chciała. Stach natomiast obtańcowywał wszystkie dziewczyny, zaglądając od czasu do czasu do butelki. W końzataczając się, cały oblany potem, przysiadł się do

Zochy, objął ją za szyję i począł się z nią karesować i całować.

Zocha pierwszy raz dopiero poczuła pewną odrazę do stanu, w jakim się Stach znajdował. Zarumieniła się, będąc wystawioną na ciekawe spojrzenia i trącanie się sąsiadek. Mąż jej miał oczy bielmem pokryte i ciągle ją owiewał oddechem przepojonym odorem wódki i piwa. Stanął jej w myśli Janek, który zawsze zachowywał się poważnie i nigdy by jej nie wystawił na śmiech ludzki.

Zaczęła się powoli uchylać od jego pieszczot i rzekła z pewną niecierpliwością:

— Stachu, daj spokój, ludzie się patrzą.

— Co jest? nie wolno mi, czy co? nie wesele moje?

— Tak, lecz powinniśmy gośćmi się zająć, a nie sobą.

— Czort z niemi, już mi nadojedli. Ja chcę ciebie, Zocha!

— Toć mnie będziesz miał zawsze, a ich nie należy postponować, obrażą się.

— Co mnie goście, ja ciebie miłuję. Chodź do komory.

— Zastanów się, Stachu, co wygadujesz. Patrz, niema już nic do jedzenia, trzeba przygotować.

I korzystając z okazji—zerwała się pospiesznie.

Stach popatrzył na nią z podełba zamglonemi oczyma, machnął ręką i zaklął tylko:

— Psia mać!

Ciążącą głowę podparł rękoma opartemi na kolanach, i kiwał się to w jedną, to w drugą stronę.

Muzykant, suto raczony przez pana młodego, też zaczął przymykać jedno oko i coraz wolniej przygrywał. W końcu i harmonja odmówiła mu posłuszeństwa, chrapnęła przeraźliwie i umilkła.

Cisza zbudziła Stacha. Spojrzał po obecnych i ciężko się podniósł.

— No, czegośta ustali! — zawołał na obecnych.

— Jakże ma być ochota — Odezwała się Onuferka — kiej pan młody już skapiał i cięgiem się ogląda na komorę. Jeszcze zasię od panny, bo nie było oczepin.

— Oczepiny, nie oczepiny, dla mnie duży kłopot. Wasze zdrowie, Onuferko!

— Daj, Boże, na szczęście! — odrzekła i wypiła kieliszek duszkiem, nie splunąwszy nawet, wedle przyjętego zwyczaju.

Niewiasty wyprowadziły Zochę do komory, posadziły ją na dzieży, nadziały jej czepiec na głowę i zaczęły z tej okazji przepijać do siebie, śpiewając piskliwym głosem:

Ażebyś ty, chmielu, na te tyczki nie lazł,
Tobyś nie robił z panienek niewiast.
Oj, chmielu, oj nieboże,
Wlazł na górę, zleźć nie może.
Oj chmielu!

Następnie obok panny młodej posadziły starszą druchnę i nakryły je obrusem, poczem Onuferka przyprowadziła pana młodego, aby sobie znalazł żonę.

Stach objął za głowę piewszą z brzega i przycisnął do siebie. Rozległ się wrzask pod nakryciem i pokazało się, że chwycił druchnę.

Śmiech powstał ogólny, Zocha podniosła się z dzieży i wszyscy ją otoczyli, przyglądając się z ciekawością młodej niewieście.

Ładnie wyglądała w białym czepku, z pod którego wymykały się kędziory kruczych splotów. Aksamitne jej oczy jeszcze większe rzucały blaski przy śnieżnym obramowaniu głowy i matowej cerze.

Wszyscy przyjaźnie zaczęli się uśmiechać, patrząc na tę jasną postać, która, wśród tańcem i trunkami rozognionych twarzy, jedna tylko odbijała jak królewna z bajki.

Obrazek popsuł Stach, gdy, na widok pięknie wyglądającej swej niewiasty, rozepchnął otaczających i począł się jej przymilać, co wobec pałających od trunku lic i niepewnych ruchów, niemiłe sprawiało wrażenie.

Zocha jak mogła uchylała się od tych zalecań, widząc, że w stanie, w jakim się Stach znajdował, nie podchodził jej do pary. Skorzystała więc z chwili, gdy starzy Siekierowie wybierali się do domu, wyrwała się, by ich żegnać.

— Bóg wam zapłać, żeście nie wzgardzili naszą chatą — rzekła — całując im ręce.

— Ostaj z Bogiem i niech ci się szczęści na nowym gospodarstwie, a jak ci chwiła czasu zbędzie, to nie zapomnij o nas.

— Z duszy dziękuję i nie omieszkam — dodała, odprowadzając ich do sieni.

Powoli goście zaczęli się rozchodzić. Zocha pomogła matce posprzątać nieco z grubszego, Stach jeszcze z drużbami wysuszył resztę butelek, aby długo pamiętali wesele.

Zocha strudzona siadła na ławie obok stołu, i podparłszy głowę ręką, zamyśliła się. Wszystko od czasu wyjazdu Janka aż do tej chwili snem jej się zdawało. Teraz, gdy życie swe związała na zawsze z człowiekiem, który niekiedy na nią magiczny wpływ wywierał, uczuwała pewien strach przed przyszłością. Zdawało jej się, że płynie na łodzi w nieznaną dal, a tu fale coraz burzliwsze, ster wyrywa się z rąk i nie wie, czy lądu dojdzie.

Ostatni goście odeszli. Stach zbliżył się do niej i oparł rękę na jej ramieniu. Ocknęła się z zadumy i ujrzała wlepione w siebie oczy z wyrazem dzikiej pożądliwości. Stach przycisnął swe usta do jej karku i nizkim, chrapliwym głosem zawołał:

— Chodź, Zocha!

Podniosła się zwolna i weszła do komory.

XIII

Kwiecień miał się już ku schyłkowi, drzewa rozwinęły swe pąki, na polach ruń ozimin za podmuchem wiatru przybierała odcienie seledynowej jasności, to znów ciemnego szmaragdu.

Na błotnych łąkach Kostki stada czajek uwijały się żwawo, swym przenikliwym świstem napełniając powietrze. Wszędzie wrzała praca. Topole nadwiślańskie na szosach poczęły zrzucać swoje bronzowe kiście, siejąc zapach balsamiczny dokoła. Gromady pszczół snuły się, z brzękiem przelatując z gałęzi na gałąź. Natura sama czyniła wysiłki, aby wszystko wydobyć z łona ziemi, a dobroczynne słońce objęło w swój uścisk każdą płonkę, każdy pączek i listek.

W chacie sołtysów Zocha krzątała się po izbie. Jakkolwiek dzień był powszedni, ubraną była czysto i dostatnio. Nastawiwszy obiad, otworzyła dość grubą księgę i zagłębiła się w czytaniu, odrywając się kiedy niekiedy do ogniska.

Nagle drzwi izby się rozwarły i weszła Walentowa z motyką w ręku.

— Jużeście się załatwili z kartoflami?

— Dokończyłam resztę sadzenia. Choć spóźnione jednak na dołku będą miały wilgoć i dogonią te, któreśmy wcześniej posadzili na piasku.

— Pewno, że dogonią, ciepła idą.

— Spieszyłam się, bo myślałam, że do ochrony zajrzysz.

— Panna Marja przysyłała, żeby ją po południu zastąpić, bo musi być w Łowiczu. Pójdę jak obiad zwarzę.

— A i uradzisz sama z dzieciakami?

— Przecie już nieraz jej pomagałam. Dzieci mnie lubią i ja z przyjemnością zajmuję się niemi. Śpiewamy wszystkie piosenki zawarte w tej książce. Starsze uczą się abecadła i sylabizowania, ale to już w sekrecie, bo na książkach w ochronkach uczyć nie wolno.

— Cóż to komu przeszkadza, że taki mały dzieciak nauczy się czytać?

— Taki jest przepis.

— Podobno Janek zapytywał ojców w liście, co się z ochroną dzieje?

— Był stary Siekiera w przeszłym tygodniu i przyglądał się, jak dzieci bawiły się i śpiewały „zajączka", „przepiórkę", „żniwo" i śmiał się, był bardzo kontent. Powiedział, że mi kiedy z jarmarku gościniec przywiezie.

— Powinnaś się starać. Siekiera to mądry człek, jak on co pochwali, to musi być dobre.

— Żebyście wiedzieli, jak to przyjemnie prowadzić takie małe dzieci. Osobno jak się je widzi, to każde takie osowiałe, niemrawe, nieśmiałe, nieraz uparte, złe i psotne, a gdy się znajdą razem, gdy jedno na drugie patrzy, to na wyścigi starają się robić, co im się każe. Tańczą, udają lisa, ptaszka,

zajączka, każde wie jak gonić, lub uciekać, jak zrobić koło i kiedy je przerwać, które ma przyklęknąć, a które powstać, że się człowiekowi zdaje, że jest mechanikiem, a te dzieci są kółkami wielkiej maszyny i każde się kręci w stronę i cała maszyna idzie.

— Zmyślnie to robią, widziałam łońskiego roku na majówce.

— Nad jednym więcej trzeba pracować, nad drugim mniej, trzecie samo z siebie mądre. A jak jedno na drugie spojrzy, to je zaraz naśladuje. Z początku matki nie chciały dzieci posyłać, ale jak się przekonały, że dzieci dużo korzystają, to dzisiaj ochrona nie może pomieścić wszystkich. Starsze niezgorzej już czytają, a i litery stawiają nieźle.

Za oknem dały się słyszeć czyjeś kroki, i za chwilę Stach wszedł do izby.

Ubrany był w krótki spancer i parciane portki, schowane w buty, na głowie miał czapkę „maciejówkę".

— O jej! — zawołała Zocha — zapóźniłam się z obiadem, ale piorunem będzie.

— Za to książka leży na stole, zamiast obiadu.

— Nic, migiem będzie, bo już się gotuje. A na książkę nie powinieneś się boczyć; można przecie pogodzić jedno z drugiem.

— Żeby to się choć psu na budę zdało, ale to tylko strata czasu po próżnicy.

— I ja tak dawniej myślałam, a teraz żałuję, że za późno przejrzałam na oczy. Od czasu jak czytam uważnie książki, wiele rzeczy mi się w umyśle rozjaśniło, i człowiek przynajmniej wie, po co żyje; tobie się dziwię, że cię książki nie interesują.

— Naoraj się tak jak ja, to ci się i czytania odechce.

— Wszakże czytanie jest odpoczynkiem.

— Pamiętam ja ten odpoczynek jeszcze ze szkoły, jak się człowiek przez trzy zimy pocił i ledwo się bąkać nauczył

— Bo nie było chęci, a gdybyś chciał, to jeszcze i dzisiaj mógłbyś się wprawić w czytanie, a nawet i pisanie.

— Co tam, byle krzyzik postawić na papierze to i tak podpis ważny. Daj lepiej obiad, bo mi się źryć chce.

Zocha zakrzątnęła się i postawiła talerze i miski na stole. Zasiedli wszystko troje i jedli w milczeniu. Po chwili Stach się odezwał do Walentowej:

— Musicie, matko, sprzedać te dwa świniaki i cielę, bo sołtys o podatki woła. Mnie się widzi, że jak niesprzedacie tych dwuch morgów gruntu od szosy, to nie wyleziecie nijak z tarapatów.

— Co ty gadasz? wyzbywać się ziemi? A toć by się nieboszczyk w grobie przewrócił.

— A długi to zaciągać umiał?

— Musiało się zaciągać, jak wypadła potrzeba. Ostatnio to przecież na chorobę, na pogrzeb, na wesele, musiało się pożyczyć. Myślałam, że jak Zocha wyjdzie za mąż, to razem wszyscy jak się weźmiemy do pracy, to się z długów wykaraskamy.

— Trudno, żebym ja sam wszystkiemu uradził. Oddaliliście parobka, a teraz chcecie we mnie orać.

— Jesteś młody, to przecież mógłbyś trząsnąć robotą, a jakby się chudobę oczyściło, to i na parobka łacniej byłoby się zdobyć. My z Zochą też wedle babskiego gospodarstwa same radzimy.

— Na Zochę niewiele można liczyć, ona książkami zajęta, teraz na panią nauczycielkę choruje. Także jej to potrzebne łazić do ochrony i dulczyć nad cudzemi bachorami, dużo jej z tego przyjdzie.

— Nie wszyscy ludzie pracują tylko dla korzyści — wtrąciła Zocha. Każdy, człowiek powinien wedle możności dać coś ze siebie dla drugich. Ile to Janek narobił pożytecznych rzeczy na wsi, a nawet w całej gminie, że niema człowieka, któryby go za to nie chwalił.

— Janek, Janek! Jak tylko co, to zaraz Janek. Miał na to, to robił, a wreszcie jemu bardziej szło o honor, niż o ludzki pożytek.

— A inni choć mieli na to, to woleli w karczmie przepić, lub na jarmarkach wydać.

— Bo im się tak podobało. Każdy jest panem swojego grosza, a innym od tego wara. A z Jankiem mi nie wyjeżdżaj, bo cię jeszcze nieprzyjemność spotkać może.

To rzekłszy, porwał za czapkę i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Kobiety spojrzały po sobie zdziwione, wreszcie Walentowa pierwsza przerwała:

— A temu co strzeliło do łba? giez go ukąsił, czy co? Patrzcie, już zaczyna rogi pokazywać!

— Nie trzeba go drażnić. Rozgniewał się o Janka, niepotrzebnie wspomniałam o nim. Ile razy kto go chwali, zauważyłam, że Stacha to gniewa.

— A któż mu broni brać przykład z niego. Tamten ślęczał po całych dniach jak nie nad książką, to na jakimś zebraniu, a tego to trzeba nieraz za uszy z karczmy wyciągać.

— No, nie mówcież tak, matko, bo przecież ciągle nie przesiaduje w karczmie. Że zajdzie czasem na godzinę i wypije nieco, toż i inni to robią; gdy wejdziesz między wrony, krakaj jak i ony.

— Daj, Boże, abym była fałszywym prorokiem, ale to wchodzenie między wrony za często się powtarza i może stać się to, co bywało z ojcem.

— Dla czego zaraz przypuszczać najgorsze. Mówił mi onegdaj, że będzie czytywał, a nawet wprawiał się w pisanie, czego zapomniał ze wszystkiem.

— Dobremi chęciami piekło jest wybrukowane.

— O, już druga godzina dochodzi—rzekła Zocha, muszę pójść do ochronki.

— I szybko sprzątnąwszy ze stołu, poczęła się przygarniać. Włożyła trzewiki i zarzuciwszy na się zapaskę, wybiegła z chaty.

Ochronka mieściła się w środku wioski, w chałupie na wzgórku.

Zocha biegła szybko, żeby się nie spóźnić. Zdala już słychać było piskliwe dziecięce głosiki. Gdy weszła, otoczył ją wianek wesołego maleństwa, wołając:

— Stasiowa przyszła! Stasiowa przyszła!

— Już myślałam, że nie przyjdziecie, rzekła uradowana ochroniarka, podając jej rękę. Chciałam już po was posłać które z dzieci, bo muszę być koniecznie w mieście.

— Nie zrobiłabym zawodu, tylko jak to w domu, gadu, gadu, a czas ucieka.

— No, dzieciaki, ustąpcie, dajcież Stasiowej odpocząć.

— My chcemy w zajączka i strzelca!—wołały dzieci.

— Dobrze, tylko mnie puśćcie.

Poustawiała je w dwa szeregi, najmłodsze było zajączkiem, a najstarsze strzelcem. Gonili się dookoła, a gdy strzelec już miał schwytać zajączka, ten uciekał do środka. Gdy zając zdążył uciec, ogrom-

na była uciecha, dzieci skakały, klaskały w ręce, odganiały strzelca, a zasłaniały zajączka.

Miły był widok tego rozbawionego maleństwa w koszulinach, w starych zapaskach matek, lub w portczynach zapiętych na patyczek. A wszystko robiły tak składnie, tak jedno na drugie uważało, by je naśladować, że Zocha z przyjemnością przyglądała się ich zwinnym ruchom, coraz nowe wymyślając im zabawki.

Starsze układały desenie z kwadratów i kamyków, a jeszcze starsze kreśliły litery na tabliczkach. Kilkoro oddzielnie przepowiadało sobie czytanie na elementarzach.

Zocha podchodziła od jednego do drugiego, poprawiając każde, jeżeli czego nie umiało, to znowu egzaminując inne. Ponieważ nauka przeplatana była zabawą, nie znać było na dzieciach najmniejszego znurzenia, przeciwnie na twarzach malowała się uciecha i rozradowanie.

Nagle około okna ochronki przesunęła się jakaś postać mężka w kapeluszu i w palcie. Na okrzyk: „Jakiś pan idzie!" jakby na skinienie różczki czarodziejskiej, tabliczki i elementarze dzieci pochowały i wybiegły na środek. Niektóre przysiadły się do układających desenie i zaczęły im pomagać.

We drzwiach ukazała się postać młodego człowieka.

— Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, lecz mam interes do panny Marji, czy mogę się z nią widzieć?

— Panna Marja poszła do miasta i ma powrócić dopiero późnym wieczorem.

— W takim razie może ją w mieście spotkam. Gdybym jej nie spotkał, to proszę powiedzieć, że

był tu nauczyciel z Urzecza, w jej własnym interesie, nie cierpiącym zwłoki.

— Dobrze, powiem jej, lecz dopiero jutro, gdyż za dwie godziny kończę zajęcia z dziećmi.

— Bardzo dziękuję. Do widzenia! I, skłoniwszy się uprzejmie—wyszedł.

Dzieci, jak spłoszone stadko kuropatw, powoli zaczęły wydobywać z kątów elementarze i tabliczki. Zocha, patrząc na to, zaczęła się zastanawiać.

— Czemu tak dziwnie jest na świecie, że nauka, będąca najwyższem ludzkiem dobrem, nie każdemu jest dozwolona i nawet takie małe biedoty muszą się z nią ukrywać i już muszą kłamać, jakby zły czyn popełniały. Kiedy nareszcie nadejdzie ten czas, że jedni drugich uczyć będą mogli zawsze i wszędzie? Kiedy będzie można uczyć dzieci i tworzyć szkoły w pałacu i chacie, pod cieniem przydrożnej wierzby i na przyźbie najuboższej lepianki. A dzisiaj naród nasz dla tego taki nieszczęśliwy, że ciemny, że bardzo ciemny!...

— Stasiowa! kochana Stasiowa! niech nam opowie bajkę!—zawołały dzieci—otoczywszy Zochę kołem i rzucając się jej na szyję.

— Dobrze opowiem wam bajkę, tylko bądźcie grzeczne. Opowiem wam o królewiczu Pawełku, którą niedawno czytałam.

Dzieci posiadały na ziemi dokoła krzesła, najmłodsze wdrapało się na kolana Zochy, a wszystkie zwróciły na nią swe zaciekawione oczęta.

...W jednej wsi, bardzo stąd daleko, mieszkała dosyć bogata wdowa z trojgiem dzieci. Dwoje było jej własnych, a trzeci, Pawełek, pozostał po zmarłym mężu z pierwszej jego żony. Wdowa bardzo kochała swoje dzieci, a na biednego Pawełka nie mogła

patrzeć, tymbardziej, że połowa majątku należała do niego. Sierotka musiał wykonywać najcięższe roboty: nosić wodę, paść bydło, drzewo rąbać, a gdy czemu nie mógł podołać, macocha znęcała się nad nim i często go biła.

...Co tylko najlepszego miała do jedzenia, dawała swoim dzieciom, a Pawełek dostawał to, co tamte niezjadły.

...Gdy nieraz dźwigał ciężki kubeł z wodą, że aż rączyny mu się wyciągały, i postawił na chwilę dla odpoczynku, tłukła go bez miłosierdzia, że jest próżniakiem i nie chce mu się robić. Nieraz sąsiedzi widząc to, zwracali jej uwagę, dla czego tak się znęca nad sierotą? Macocha odpowiadała ze złością: „Pilnujcie swego nosa".

...Zła kobieta ciągle przemyśliwała nad tem, jakby się Pawełka pozbyć, żeby się jej dzieciom więcej dostało majątku. Aż wymyśliła zawieźć go do dużego boru i tam zostawić, aby go dzikie zwierzęta pożarły.

...Pewnego razu wstała bardzo wcześnie, obudziła Pawełka i rzekła do niego:

— Ubieraj się, pojedziesz ze mną do lasu na jagody!

...Pawełek zerwał się czemprędzej uradowany, bo nigdy nie widział boru, ubrał się i wsiadł na brykę.

...Macocha dzieciom przykazała, aby nie mówiły nikomu dokąd pojechała.

...Długo jechali przez góry i doliny, aż nareszcie dojechali do wielkiej puszczy leśnej. Olbrzymie drzewa, gęste zarośla z trudnością pozwalały się przedzierać. Gdy już byli daleko od brzegu, macocha zeszła z wozu z Pawełkiem i poszła jeszcze dalej w głąb puszczy. Tu pozostawiła Pawełka i rzekła:

— Poczekaj tu na mnie, ja zaraz powrócę.

...Pawełek bał sie sam zostać i prosił macochy, aby go samego nie zostawiała.

— Mówię ci, że zaraz powrócę.

— Matusiu ja tu nie zostanę. ja się boję!

— Macocha nie zważając na to, zaczęła szybko uciekać. Pawełek biegł za nią i błagał, aby go nie zostawiała. Widząc, że nic nie poradzi, postanowiła przywiązać go do drzewa. Pawełek zaczął się wyrywać i płakać:

— Matuś już zostanę, nie pójdę, nie przywiązujcie mnie! ja się tak bardzo boję; o, moja kochana! już zostanę!...

...Macocha, nie zważając na jego prośby, wiązała go dalej...

— Brzydka ta macocha! nie kocham jej, zawołało któreś z dzieci.

...Pawełek składał ręce i prosił, żeby go wolno puściła, że pójdzie w świat, gdzie go oczy poniosą, lecz zła kobieta, przywiązawszy go mocno, odeszła czemprędzej.

...Biedny Pawełek zanosił się od płaczu, lecz bojąc się, aby krzyk jego nie zwabił jakiegoś zwierzęcia, płakał tylko po cichu. Nagle usłyszał trzask łamanych gałęzi i ujrzał z daleka zbliżającego się ogromnego niedźwiedzia. Ze strachu skamieniał cały i zamknął oczy. Niedźwiedź zbliżał się coraz bardziej, pomrukując głucho. Słychać było już jego sapanie; nareszcie zbliżył się do drzewa i zaczął obwąchiwać główkę i buzię Pawełka...

— O jej! ja się boję tego niedźwiedzia!—zawołało najmłodsze dziecko, obejmując Zochę za szyję.

— Nie bój się, przecież to bajka.

— No i co? zjadł go niedźwiedź?—zawołały chórem dzieci.

...Niedźwiedź obwąchał go po buzi, zaryczał strasznie i powoli się oddalił, myśląc, że Pawełek jest nieżywy, gdyż miał oczy zamknięte ze strachu, a niedźwiedź trupów nie jada.

...Gdy się niedźwiedź oddalił, Pawełek żałośnie zapłakał!

— O mój tatusiu co jesteś u Bozi, ratuj mnie! bo umrę ze strachu.

...Nagle coś się nad nim poruszyło na drzewie. Pawełek znowu się przeraził, słysząc, jak coś po gałęziach skacze coraz niżej. Chciał spojrzeć w górę, lecz nie mógł, bo był plecami przywiązany do drzewa. Szelest zbliżał się coraz bardziej i zatrzymał się za nim. Po chwili Pawełek słyszał szmer, jakby przegryzanie czegoś. W tem sznury się rozluźniły i Pawełek upadł na ziemię. Spojrzał w górę i zobaczył uciekającą po drzewie maleńką wiewiórkę.

— Dobra wiewiórka, będziemy ją kochać!—zawołały dzieci.

...Pawełek się podniósł i zaczął iść powoli, teraz dopiero uczuł, że mu się bardzo jeść chciało. Napotkał jagody i poziomki i zaczął je zbierać. Gdy się nieco posilił, poszedł dalej przed siebie.

...Las stawał się coraz gęstszy, co chwila przebiegały mu drogę sarny, jelenie, zajączki, czasem wilk się przedarł przez krzaki, lecz go nie zaczepiał, biegł dalej.

...Pawełek szedł ciągle naprzód i płakał. Był tak zmęczony, że już ledwo poruszał nogami, nareszcie sił mu zabrakło, usiadł pod drzewem i zaczął usypiać...

— O jej! Stasiowa! niech on nie śpi, bo go jeszcze co zje!—wołały dzieciaki.

— Nie bójcie się, nic mu się nie stanie.

...Spał bardzo długo i gdy otworzył oczy ujrzał stojącego nad sobą wysokiego pielgrzyma, z długą białą brodą i wielką laską, który mu się uważnie przyglądał.

...Pawełek zerwał się i chcisł uciekać, lecz ten wyciągnął nad nim rękę i rzekł:

— Nie obawiaj się, dziecię, czytam z twej twarzy, że jestes bardzo nieszczęśliwy, lecz już skończyła się twoja niedola. Pójdź ze mną.

...Pawełek się podniósł i, widząc, że pielgrzym patrzył na niego tak łagodnie, nie bał się ani trochę i śmiało poszedł za nim.

...Pielgrzym laską rozgarniał gałęzie i szedł przodem, biegnące sarenki zatrzymywały się i wyciągały do niego pyszczki, on je pogłaskał i szedł dalej. Zajączki, ptaszki, wszystko się do niego garnęło. Gdy doszedł do kępy drzew rosnących u stóp wysokiej góry, rozgarnął gałęzie i wszedł do wielkiej jaskini, której ściany mieniły się złotem i srebrem.

...Pielgrzym posadził Pawełka na kamiennej ławie i uderzył laską o ziemię. W tej chwili z pod ziemi, ze wszystkich kątów pieczary poczęli wychodzić maleńcy ludzie w skórzanych kapturach i fartuchach, drewnianych trepkach, z długiemi białemi brodami.

...Pawełek przeraził się nieco, lecz pielgrzym go uspokoił, mówiąc:

— Nie bój się niczego, to są gnomy, dobre duchy i nic ci złego nie zrobią, a ja jestem ich mistrzem...

Tu Zocha przerwala opowiadanie.

A dalej co? zawołały zasłuchane dzieci, z błyszczącemi oczkami i wypiekami na buziach.

— Kiedyindziej wam dokończę, bo już późno— rzekła Zocha i chciała się podnieść, lecz najmniejsze usnęło jej na kolanach.

Wzięła je na rękę, by odnieść matce i rzekła do dziatwy.

— Zabierajcie się, pójdziemy razem, a po drodze będę was gubić. Uszykujcie się parami, najmłodsze naprzód i zaśpiewamy naszego marsza.

Dzieciaki jak na komendę wyszykowały się w szereg i z maleńkich ich gardziołek popłynęła zgodnie piosenka w takt marsza:

Dalej dzieci, dalej śmiało,
Pójdziem w drogę bo już czas!
Ponad wioską słonko wstało
I zielony szumi las!

Szumią dęby, szumią buki,
Tam jagódek rośnie snop.
Górą lecą wrony, kruki.
Dołem dziatwa woła: hop!....

Hop! hop! dzieci, naprzód, żwawo,
Idźmy śmiało wszyscy wraz,
Czy na lewo, czy na prawo,
Ciemno w koło—bo to las!

Tu coś piśnie, tam zamruczy,
Tu zajączek z pod nóg myk,
Tam znów bystry potok huczy
I wesoły tłumi krzyk!

Dalej, dzieci, w drogę śmiało,
Pójdziem do dom, bo już czas.
Za las słonko się schowało,
I matuchna czeka nas!...

XIV.

— Pochwalony! rzekła Onuferka, wchodząc do chaty Walentowej, w której okna były przysłonięte chustkami.

— Na wieki wieków! — odpowiedziały Walentowa i jakaś druga kobieta, krzątająca się po izbie.

— No, co słychać, babko? zapytała — zwracając się do drobnej, suchej, lecz żwawo poruszającej się kobiety, — jakże się położnica miewa?

— Wszystko dobrze, dziewucha jak pecyna. Matka i córka napiły się grzanki i śpią w najlepsze.

— A nie moglišta z grzanką na mnie zaczekać?— rzuciła Onuferka Walentowej, — toć przyszłam na pępkówkę.

— Nie bójcie się, nie ominie was, jeno Stach nadejdzie.

— Bogać tam nadejdzie. Widziałam, jak go do karczmy ciągnęli sąsiedzi, żeby dziewuchę oblał.

— Zawsze okazję znajdzie, rzekła Walentowa.

Rozległ się nagle krzyk nowonarodzonej. Wszystkie trzy kobiety zwróciły się do kopańki leżącej przy łóżku na dwuch krzesłach. Ze stosu pieluch wyłoniła się czerwona twarz dziecka z zapuchniętemi oczyma, drącego sie niemiłosiernie.

— Mocna będzie dziewucha, bo zdrowo krzyczy, odezwała się wiejska babka, zabierając się do przewinięcia dziecka.

Walentowa z radością przyglądała się wnuczce i szukała w niej podobieństwa do córki.

Na krzyk dziecka Zocha się zerwała, lecz zbyt jeszcze była osłabiona i opadła na poduszki.

— Dziecko pewno głodne — rzekła cicho, — podajcie mi je, trzeba nakarmić.

— O głód niema obawy — rzekła babka — krzyczy, bo musi krzyczeć, żeby mu się „letkie" sformowało. Starszy człowiek ciągiem się rusza i gada, a takie maleństwo ino tym sposobem musi sobie radzić.

Obstawiono Zochę poduszkami i podano jej małą. Dziewucha chciwie przypięła się do piersi i poczęła ssać, ścisnąwszy piąstki i przyłożywszy sobie do buzi.

Zocha z lubością przyglądała się dziecku, objąwszy je obiema rękami. Przebyte cierpienia wycisnęły na niej swe piętno. Twarz zeszczuplała i pobladła, tylko oczy jakby zrobiły się większe i głębsze, podcienione sińcami, przypominały Rafaelowską Madonnę.

Przy tej bladości swojej piękniejszą jeszcze była niż dawniej, stała się jakby więcej uduchowioną.

Wszystkie niewiasty bezwiednie zapatrzyły się na tę piękną młodą matkę, spełniającą najświętszy obowiązek powołania kobiety, wlewania swego życia w nowe istnienie.

Drzwi się zwolna otwarły i ukazała się w nich postać młodej panny, ubranej w strój miejski.

— Jakże się chora miewa? O! już siedzi! Dzień dobry! Ja już bez Stasiowej nie mogę sobie dać rady.

— Panna Marja! dzień dobry! — rzekła Zocha, wyciągając do niej swoją wybladłą rękę. Dajcież pani krzesło.

Przybyła usiadła przy łóżku i zaczęła się ciekawie dziecku przyglądać.

— Galanta dziewucha, na psa urok — rzekła Onuferka. Ale gdzież jest ta „pępkówka", Walentowo, a toć się godzi, żeby i panienka z nami się napiła.

— Dziękuję, wódki nie pijam.

— Musi się panienka napić, boby się dziewucha nie chowała.

— Nie zaszkodzi panience, dorzuciła babka, dyć nawet temu małemu skrzekowi nie zaszkodziło.

— Jakżeście mogli takiemu maleństwu dawać wódkę, toż to trucizna.

— Już tyle lat praktykuję przy chorych, a nie pamiętam, żeby grzanka zaszkodziła matce, albo dziecku.

— A jak tam ochronka idzie? — panno Marjo — zapytała Zocha. Tęskno mi teraz będzie bez niej, bo mi dziewucha nie pozwoli wychodzić z domu.

— Ach! nie mówcie tak, Stasiowa, bo jużbym sobie bez was nie poradziła. Dziewuchę nakarmicie, a babcia Walentowa ją uśpi.

— Mnie się widzi, że teraz cały ciężar wychowania na mnie spadnie. Jak tylko co, to babka — rzekła Walentowa, patrząc radośnie na wnuczkę.

— No panienko,—żeby nam się zdrowo chowała.

— Pijcie na zdrowie, lecz mnie nalejcie odrobinę, wódki wogóle nie znoszę.

I, wziąwszy kieliszek, umoczyła w nim usta.

— Do dna, do dna! nie godzi się—wołała Onuferka — i, dopełniwszy czarki, wychyliła ją duszkiem, obtarłszy usta zapaską.

— No, a chora nic? — zapytała Zochy.

— Ja, dziękuję, jeszcze po tej grzance w głowie mi się kręci.

— Jakież imię dacie córce? — zapytała nauczycielka.

— Niech jej będzie Kasia — rzekła Zocha — lubię to imię.

— Niezgorsze, takie przytulne — wtrąciła Onuferka. Wartoby, kumo, poprawić wedle Katarzyny.

I nastawiła kieliszek, który Walentowa wypełniła po brzegi. Onuferce aż się oczy zaśmiały, wychyliła do dna i, podrygnąwszy wesoło, zaśpiewała:

Słoneczko zaświeciło
Od samego rana,
A Kasia czeka na mnie
Pod kopeczką siana.

— Ani chybi, chrzciny, — zawołał Stach, stając we drzwiach mocno podchmielony — chodźta ludzie!

I począł wciągać do izby towarzyszów, którzy też ledwo trzymali się na nogach.

— A wy tu czego?! wrzasnęła Onuferka — tu położnica je, chłopów nie potrza!...

I schwyciła czemprędzej flaszkę z wódką, chowając ją pod zapaskę, by przybyli nie dostrzegli.

— Zakręciło wam się, Stachu, we łbie czy co? Jakże by mogły być chrzciny przez rodziciela?

— A bośwa piosneczki słyszeli — odezwali się sęsiedzi.

— Powiadam wam, że tu je kobicka rzecz. Wynośta się, pukiśta cali, bo jak chycę drapaki, to na sąd boski żaden nie wstanie.

— Cóżto, Onuferka dzisiaj takaka sierdzista, wygania ludzi z cudzej chałupy?

— Rada wam będę na chrzciny — rzekła Walentowa, lecz dzisiaj jeszcze chora potrzebuje wypoczynku.

— Racja jest! — Ostajta z Bogiem!

— Idźta z Bogiem — odpowiedziały kobiety.

Na środku izby pozostał Stach i niewiedział co zrobić ze sobą. Po wyjściu towarzyszów, stracił do cna rezon, aż go Onuferka oprzytomniła:

— Nie pobawita się to z dziewuchą, Stachu? wtrąciła ukazując mu kopańkę.

Podszedł bliżej i nachylił się nad dzieckiem. Chciał je wziąć na rękę, lecz kobiety nie pozwoliły, żeby nie przełamał. Popatrzył długo, uśmiechnął się i pocałował dziewuchę.

Dziecko, drzemiąc, obudziło się, otworzyło usta i poczęło buzią szukać na wszystkie strony, wreszcie rozkrzyczało się.

— Wąsiskami obudził mi dzieciaka — rzekła Zocha, uśmiechając się, i poczęła poruszać kopańką.

— Myślałby kto, że i prawda. Krzyczy, bo wąsów nie czuje, wyśta wszystkie jednakie.

— Kochanej Stasiowej życzę szybkiego przyjścia do zdrowia, — rzekła, powstając, nauczycielka, i żebyśmy się niedługo zobaczyły w ochronce.

— Oho! — odparł Stach — ze szkołą — szabas! ona teraz w domu będzie miała szkołę.

— Stasiowa wszystkiemu zaradzi jak zechce, a niedługo to i swoją córkę jeszcze przywiedzie.

— Rozumie się, że jak tylko zacznie chodzić, to jej nawet godziny w domu trzymać nie będę. A jak się zwlekę z łóżka, to do panny Marji zajrzę.

— Dziękuję i do widzenia—rzekła nauczycielka, kłaniając się wszystkim.

Zaraz i Stach poszedł do komory położyć się, bo go trochę wzięło.

— Zięć wasz, — Walentowo — sielnie się ucieszył z córki.

— On się ze wszystkiego sielnie cieszy i dlatego tak często do karczmy zagląda, a potem śpi. Boję się, że będzie coraz gorzej, bo zawsze znajdzie się jaka okazja, jak nie u siebie, to u sąsiada.

— Dajcież mu matko dzisiaj spokój — wszakże to pierwsza córka.

— Sprawiedliwie, — rzekła Onuferka, wyjmując z pod zapaski butelkę, wartoby kumo do trzeciego razu.

— Pijcie jak chcecie, ja tam nie mogę. Pijcie do babki.

Onuferka jakby na to czekała, podniosła flaszkę do góry i zaśpiewała:

Oj, babulu, babulu!
Siknę wam gorzałeczki,
Oczy wam się zaśmieją,
Jak u młodej dzieweczki!

— Bodaj was z waszemi śpiewkami! każdemu potraficie przyciąć. No, niech tam, wasze zdrowie, Stachowa. Śpijcie teraz, jutro przyjdę, to dziewuchę wykąpię. Zajdę jeszcze do Rochowej.

— Czekajta, to i ja z wami!—zawołała Onuferka.

I odziawszy się zapaską, wybiegła raźno za babką. Szły żwawo na drugi koniec wioski. Onuferka w wesołym usposobieniu podśpiewywała sobie pod nosem, wreszcie huknęła na cały głos:

Jak się kuma z kumą zejdzie
Kwaterką się nie obejdzie,
Bo kwaterka to jak mucha,
Co kumie wleci do brzucha.

XIII.

Janek Siekiera coraz częściej pisywał do rodziców. Listy jego jakkolwiek były pełne tęsknoty za krajem, nie były jednak tak rozpaczliwe, jak z początku. Ciężka praca i zmienione warunki bytu przyprowadziły go nieco do równowagi.

Starzy w każdym prawie liście nawoływali go do powrotu, że im coraz ciężej już pracować, lecz on ich prosił na wszystko, aby go nie naglili, bo jeszcze nie czas, bo nie czuje się na siłach wracać do miejsc, gdzie jego szczęście jest pogrzebane. Natomiast obiecywał rodzicom, że skoro powróci, to nie pozwoli im się tknąć niczego i odpoczną sobie wtedy.

Pisał, że pracę ma teraz lżejszą i zyskowniejszą. Jeden z inżynierów, polak, polubił go i, przekonawszy się o jego uczciwości, powierzył mu nadzór nad pewną liczbą robotników. Ponieważ obchodził się z niemi sprawiedliwie i wyrozumiale, wszyscy starają się pod jego nadzorem pracować pilnie, gdyż przeniesienie do innego dozorcy uważanem jest za największą karę.

Prosił rodziców, aby mu donosili o wszystkiem, co się we wsi dzieje, jak idzie ochronka, kto w niej

uczy. Zmartwił się bardzo, że we wsi nie doprowadzono jeszcze do skutku sformowania oddziału straży ogniowej. On pierwszy rzucił projekt gminnej straży, której pojedyńcze oddziały miały być w każdej wsi. Sztab zaś i kancelarja całej straży mieściłyby się w domu ludowym, obok urzędu gminnego. Wstępne kroki poczynił jeszcze przed swoim odjazdem, lecz gdy go zabrakło, wszystko się zatrzymało.

W ostatnim liście prosił szwagra, aby nie zwłóczył z tą sprawą, gdyż wstyd jest, żeby okoliczne wioski ich wyprzedzały. Przysłał nawet 50 dolarów na kupno chełmów dla strażaków.

Jednocześnie nadeszła skrzyneczka pod adresem ojca Siekiery, w której znajdowały się upominki. Dla matki i siostry jedwabne chustki, dla ojca i szwagra srebrne zegarki, dla ochronki kilka pudełek z zabawkami freblowskiemi, dla nauczycielki panny Marji pierścionek złoty, zaś dla pomocnicy krzyżyk.

Uciecha w domu była wielka. Matka dumną była ze swego jedynaka.

— Widziałeś, stary, co? Jasiek nasz kochany o każdym pamiętał. Drogie dziecko!

— Chodź, pójdziemy do ochronki, trzeba im zanieść te prezenty, niech się też ucieszą.

— Dobrze, jeno się nieco ogarnę.

Za chwilę wyszli oboje i skierowali się do szkółki. Ten i ów z przechodzących sąsiadów, pozdrowiwszy ich, pytał ciekawie, dokąd to małżeństwo tak uroczyście podąża?

— Ochronkę odwiedzić, bo Janek przykazywał, żeby o niej pamiętać.

Po drodze wstąpili do spółkowego sklepu, by dziatwie kupić cukierków, każde bowiem ukaza-

nie się w ochronce Siekiery wywoływało radość wśród dzieci, wiedziały bowiem, że gościniec ich nie ominie.

Gdy weszli, powitał ich wesoły okrzyk maleństwa. Starsze, które siedziały przy elementarzach, powstały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedziały chórem dzieci.

— Święto dziś będzie, bo nasi opiekunowie przyszli — rzekła nauczycielka, witając się z niemi uprzejmie.

— A może i będzie dla niektórych trochę uciechy,—rzekł z lekkim uśmiechem Siekiera.

Zocha podeszła i pocałowała oboje w rękę, podając im jednocześnie krzesła, które wytarła fartuchem.

— Jakże się twoja córa miewa?—zapytała życzliwie Siekierzyua.

— Bogu dzięki, zdrowa, bałykuje już po ziemi i ciągle się podnosić chce na nogi, jak tylko chwyci się krzesełka.

— No, dalej dzieciaki, pokażcie co umiecie—zawołał Siekiera.

Wszystkie wybiegły na środek i zaśpiewały chórem marsza i kilka piosenek. Następnie pokazały jak chłopi młócą cepami gdy idzie karbowy, ekonom, dziedzic i jak młócą, gdy niema nikogo.

— Dobrze się sprawujecie, macie zato cukierki. A tutaj—rzekł do nauczycielki—są dla nich zabawki od Janka z Ameryki.

Dzieciaki zaczęły klaskać w ręce. W pudełkach były kolorowe gwiazdy do układania, klocki ozdobne do budowania domków, wyplatanie kolorowemi pa-

pierkami i wiele innych rzeczy z odpowiedniemi wzorami, które Zochę i nauczycielkę ucieszyły na równi z dziećmi.

— A tutaj jest zabawka dla pani—rzekł—podając nauczycielce pudełeczko.

Zdjęta ciekawością, zajrzała do środka i z podziwem zobaczyła piękny pierścionek z jaskrawo błyszczącym w słońcu rubinem. Włożyła go na palec i zwróciła się do Siekiery.

— Proszę podziękować panu Janowi za taką miłą pamiątkę.

— Mam tu jeszcze coś dla pomocnicy—rzekł—zwracając się do Zochy i podając jej mały pakiecik.

Zocha zarumieniła się i niewiedziała, czy przyjąć, czy nie.

— To pewno nie dla mnie—rzekła. Wprawdzie pomagam tu cokolwiek, lecz tylko z amatorstwa, nieobowiązkowo. Może to dla pomocnicy, o którą dawniej jeszcze wioska się starała. Wreszcie—rzekła spuszczając oczy i rumieniąc się coraz bardziej—gdyby Janek wiedział, że ja tu pomagam, może nie przysłałby prezentu.

— Nie wydziwiaj, on dobrze wie, kto tu pomaga, bośma mu przecie donieśli—i podał Zośce pudełeczko.

Wzięła je drżącemi rękoma i otworzyła. Na malinowym aksamicie błyszczał piękny, złoty krzyżyk, wysadzany turkusami.

Długo się weń wpatrywała, wreszcie odwróciła się i przycisnęła go do ust, a łzy jak grad potoczyły się na ziemię.

Otarła czemprędzej oczy chusteczką i tłumiąc wzruszenie podeszła do Siekiery i pocałowała go w rękę.

— Dziękuję—rzekła—nie warta jestem i znowu się rozpłakała.

— No, no, uspokój się, a o ochronce pamiętaj, rzekł—i pocałował ją w czoło.

Siekierzyna też doszła do Zochy i uściskała ją.

— Jak on o wszystkich pamiętał, mój chudziak drogi!...

Rozrzewnienie zaczęło udzielać się wszystkim po kolei, bo i nauczycielka podeszła do Zochy i ucałowała ją.

Jak to miło widzieć, gdy taka cicha ludzka praca znajduje uznanie wśród swoich. Cieszę się z otrzymanego prezentu, lecz podwójnie się cieszę, że i Stasiowa otrzymała tak piękną pamiątkę.

— Siekierowie zadowoleni opuścili ochronkę i udali się ku domowi.

— Wiesz stary, — rzekła Siekierzyna, — że jak dawniej który z młodych mówił o zakładaniu ochronek, szkół, kółek, to zdawało mi się, że to tylko takie wymysły, nie przynoszące wielkiego pożytku, bez których można się obejść, jak się i dawniej ludzie obywali, a teraz widzę, że wszystko jest potrzebne, jedno z drugim się łączy i daje ludziom pożytek i zadowolenie. Dzisiaj, w tej ochronce, to aż mnie wzięło.

— Ma się wiedzieć, że każda rzecz dobra daje ludziom serdeczne ukontentowanie. Ale dobrze, żem sobie przypomniał, biegaj sama do chałupy, ja jeszcze wstąpię do sołtysa pomówić o tym oddziale strażackim, o którym Janek pisał.

Małżonkowie się rozeszli. Siekiera zastał sołtysa nad formowaniem listy podatkowej.

— Rzadki z was gość, Józefie—rzekł sołtys, i pożądany, bo zawsze, tak jak wasz Jasiek, przychodzicie tylko w społecznej sprawie.

— A jakbyście zgadli. Przychodzę wedle tej straży, która od wyjazdu mego chłopaka jakoś utknęła. Janek przysłał z Ameryki 50 dolarów na kupno chełmów, więc trzebaby tym się zająć.

— Dzielny chłopak, z końca świata o nas pamięta. Miałem właśnie być u was w tej sprawie. W niedzielę mamy się zebrać w urzędzie, bo za dwa miesiące wypada rocznica założenia tamtych oddziałów. Byłoby dobrze przy tej okazji zrobić poświęcenie i naszego. Wyślemy zaproszenia do okolicznych straży o przysłanie delegatów i do sąsiednich obywateli, jako do członków-protektorów.

— Macie rację, chętnie w niedzielę się zjawię, bo mi ta sprawa leży na sercu. Zaraz chłopakowi przyjemną wiadomość poślę.

— Nie wybiera się do nas z powrotem? bo nam tu go silnie brakuje.

— Pisał, że ciągle myśli o nas, a nawet przysłał dla ochronki różne figlasy i nauczycielce pierścionek, a Zośce Walentowej krzyżyk szczerozłoty.

— To dobrze, bo to pracowite się zrobiło; nogą nigdzie nie ruszy, tylko w ochronce, albo w domu zajęta. A i w święto nie poleci do sąsiadek tylko siedzi nad książką. Zdawało się, że będzie z niej latawica, bo to i urodna, a za tańcami aż się trzęsła Szkoda tylko, że źle trafiła, bo jej chłop często pałkę zalewa, a jak się upije to awanturnik. Gdyby nie to, byłby całkiem dorzeczny, bo to i postawny i do gadania śmiały.

— Młodzi chcą go wybrać na oddziałowego, że to był w wojsku i mustrę zna.

— To byłoby niepożądane, bo jak się upije, to nie wie co robi, a naczelnik powinien być zawsze trzeźwy.

— Chociaż i wasz zięć był w wojsku, ten by pasował na oddziałowego, stateczny jest.

— Ano, to już jak tam będą chcieli. Muszę jeszcze w pole zajrzeć. Panu Bogu oddaję.

— Idźcie z Bogiem!—a o niedzieli nie zapominajcie.

XVI.

Zocha z ochrony szybko biegła do chałupy, bo już południe minęło; za długo zabawiła się dzisiaj, przeglądając nadesłane przez Janka zabawki, a matka z dzieckiem mogła nie zdążyć przygotować obiad, jakkolwiek, odchodząc, wszystko matce przyszykowała.

Wpadła do izby cała rozradowana i podniecona. Na środku izby, trzymając się krzesła, stała Kasia. Koszulinę miała ugiętą do pasa i związaną na plecach w węzeł, który jej odstawał jak ogonek młodej kokoszki. Ładną była jak Murilowski aniołek z obrączkami na tłustych rączkach i niepewnych jeszcze nożynach, na których były ślady pyłu, zebranego z podłogi.

— Tula!—zawołała, wyciągając ręce, i jednocześnie klapnęła na podłogę. Nie zważając na to, przechyliła się na lewy bok, i siedząc na jednej, podwiniętej pod siebie nodze, podpierając się drugą, oraz dwiema rączynemi, sunęła radośnie do matki.

Zocha wyciągnęła do niej ręce i czekała. Kasia, szczebiocząc uciesznie, doczołgała się do matki i chwyciwszy za zapaskę, zaczęła podnosić się w górę.

Matka nie wytrzymała, podniosła ją z ziemi i zaczęła okrywać pocałunkami. Ta wzamian radośnie

objęła matkę za szyję, zaczęła ją klepać po twarzy, wreszcie niecierpliwie poczęła rozpinać stanik wołając: „cizia!"

— Widzisz ją, jak to wie, gdzie szukać. Masz, masz, ty, żarłoku, i siadłszy, poczęła karmić małą.

Scenie tej przyglądał się ojciec z babką Walentową—jedząc obiad.

— Przysuń krzesło do stołu, to będziesz mogła jeść, pewnoś głodna.

I Walentowa pomogła jej przenieść krzesło. Zocha wzięła łyżkę i poczęła jeść, lecz mała ciągle ją rączką chwytała za łyżkę, nie pozwalając nieść do ust.

— Coś tak długo się zasiedziała?—rzekł Stach.

— Późno poszła, szykując do obiadu—odparła matka.

— Byli starzy Siekierowie i przynieśli różne gościńce, które Janek przysłał z Ameryki. Co to było uciechy. Dla dzieci różne zabawki, dla nauczycielki złoty pierścionek, a i dla pomocnicy też przysłał, to niby dla mnie, i wyjęła z kieszeni pudełeczko, kładąc je na stole.

— Jaki ładny krzyżik! zawołała matka, to chyba ze złota.

— Pewnie, bo w takim aksamitnym pudełku—rzekł Stach.

I, wziąwszy go w palce, zaczął się przyglądać i ważyć w ręku.

— Widać że złoto, bo jakieś są stemple na uszku, pewno próba. Ciekawość ile też może kosztować? Zawsze parę rubli warto. Musiał się dobrze dorobić w Ameryce, kiedy takie prezenty przysyła.

— Słyszeliśta ludzie! — wrzasnęła, wpadając do izby zdyszana Onuferka,—że Janek Siekierczak naprzysyłał z Ameryki niedwabiów, złota, śrybła i ró-

żnych różności dla ochrony. Rety! rety! a to ci bogacz!

— Toć nie nowina—rzekła Walentowa—bo i naszej Zośce za nauczanie też przysłał.

— Pokażta, moiściewy!

Zocha otworzyła pudełeczko. Na widok krzyżyka Onuferka aż w ręce klasnęła.

— Szczyrne złoto z turkusami!—przymierzta Stachowa.

I, przyłożywszy krzyżyk do białego biustu Zochy aż się zaśmiała.

— Patrzajta, jak to odbija od ciała, aż łuna idzie.

Dajcież pokój, przecież przy rozpiętym staniku nie będę go nosić.

— A jak w mieście noszą na balach, a nawet na ulicach w lato. Cudne rzeczy. Nauczycielce to podobno przysłał piestrzeń szczyrnozłoty z kamuszczkiem co szybę kraje. Aż się wierzyć nie chce, istne dziwy.

— Co za dziwy, poszczęściło mu się, ma pieniądze to i przysłał; każdy by to potrafił, jak ma z czego.

— Nie gadajcie, Stachu, drugiemu by i przez myśl nie przeszło, wolałby w gardło wlać, albo na gorsze jeszcze rzeczy wyrzucić.

— No, nie gryź że ty smerdo!—zawołała Zocha, dając klapsa małej.

— Dziewczynina puściła pierś i zrobiła z buzi podkówkę do płaczu, lecz nagle wyrzuciła nogi w górę i zagrzechotała śmiechem, targając rączką matczyne korale.

— Co, już ząbki ma? zapytała Onuferka — tak wcześnie?

— Dwa jej się wyrznęły na przodzie—odparła babka, trzeba jej kupić fijołkowego korzenia, niech sobie ząbki przeciera, bo matkę na nic pokaleczy.

— Galanta dzieucha, na psa urok, w matkę się wdała.

Kasia w odpowiedzi wpakowała sobie w buzię duży palec od nogi i. ścisnąwszy silnie ząbkami, poczęła krzyczeć.

— No, widzisz, ty głupia, boli cię, a nie gryź— ostrzegła matka.

— Pochwalony!—odezwał się od progu głos sąsiadki Grzelowej. Jak się mata! Prawda to, że Jasiek Siekierczak naprzysyłał tyle bogactwa z Ameryki?

— Toć, prawda, każdemu się coś dostało, i moja Zocha też ma.

— Pokażta, moje złote. O, widzita! ładny krzyżik! a jaki masywny! No, no, no! co się to dzieje na świecie!

Stachowi nie podobało się widocznie to zainteresowanie prezentami, bo powstał, nadział czapkę i, mruknąwszy „ostajta z Bogiem", wyniósł się z izby.

— Drzwi się niezamykały tego dnia, bo każda kuma była ciekawa dowiedzieć się czegoś o zamorskich skarbach.

— Sołtysowa mówiła, że i na straż przysłał 50 dolarów, żeby i w naszej wsi była, — rzekła Andrzejka. Chłopy mają się zebrać w niedzielę w gminie i zrobić „obory" starszyzny, a potem będzie rocznica wszystkich straży i ma być bal.

— To będzie uciecha! — wrzasnąła Onuferka— O, będziemy hulać!

— Dalibyście już sobie nogom radę. Wam cięgiem jeno tańce i tańce w głowie,—rzekła matka Zochy.

Tyle uciechy, co człek się zabawi, potym dadzą mu łopatą po krzyzie i leż se człeku do dnia sądnego.

— Wam toby niezawadziło i za żywota przyłożyć łopatą po krzyzie, żebyśta się ustatkowali—dorzuciła Grzelina.

— O, widzita ją, mądrala. Kocioł garnkowi przygania, a sam smoli. Patrzajta swego nosa, nie cudzego grosza. Ja tam nie wiem, w czyjej komorze Czarny Walek ostawił swoją kamizelę.

— Już to z wami, Onuferko trudno uradzić. W gębie jesteśta okrutecznie sielni.

Wszędziem sielna, gdzie potrza — odparła zaczepiona.

— Zamiast się swarzyć, gospodynie — wtrąciła Zocha—pomyślta lepiej o założeniu kobiecego kółka we wsi. „Ziemianka" pisze, że precz po wsiach gospodynie się zbierają i radzą o swoich sprawach. Chłopi mają swoje interesy, a my swoje.

Gospodarstwo babskie też idzie naprzód, a my jak nasze prababki przed wiekami robimy tak samo, a nauka postępuje.

Na przednówku nieraz pusta komora, a jarzyn mamy w bród, lecz nieumiemy ich przechowywać. Nie wiemy nieraz, jak z drobiem się obchodzić, a co rok tyle go ginie od różnych chorób, nawet głupiego jajka nie umiemy przechować i prędko się psuje, a zepsute sprzedajemy w mieście, oszukując ludzi. Niektóre gospodynie masło fałszują, wodę leją do mleka i coraz bardziej poniżają nasz stan włościański i osłabiają zaufanie miasta do wsi.

— Ja tam nie od tego — rzekła Grzelina, niech się Stachowa zajmie, to ja i owszem.

— A my to mamy być co gorszego? rzekła Onuferka—też się zapiszemy do kółka. Może wymyślą jaki inszy sposób macania kur i kaczek.

— Pomyślcie takaście mądra, może wam się uda.

Zaśmiały się niewiasty i poczęły rozchodzić się do domów.

— A co do tego kółka,—rzekła Grzelina—to zajmijcie się tym, Stachowa, cała wieś się zapisze. Niechże i kobiety coś zaczną robić, zamiast plotkować i oczerniać jedna drugą.

— Z chęcią się zajmę, jeśli mi pomożecie i będziecie namawiać do zapisu.

— La Boga!—zawołały gospodynie, my tu gadamy, a bydło z pola już gnają.

I poczęły na wyprzódki wymykać się z chaty w stronę swego obejścia, by „lewentarz" opatrzyć.

XVII.

W niedzielę, po nieszporach, tłumno i gwarno było w miejscowym urzędzie gminnym. Z bliższych wiosek pieszo przybyli gospodarze, z dalszych—końmi. Pomiędzy włościańskiemi bryczkami widniało kilka wolantów i powozów okolicznych obywateli, interesujących się strażą włościańską.

Gospodarze wioski X. trzymali się oddzielnie, gdyż mieli przystąpić do wyborów oddziałowego, jego pomocnika, prezesa i kasjera.

Ponieważ kandydaci byli z góry upatrzeni przeto głosowanie odbyło się jedynie dla formy, za pomocą przechodzenia na lewo i prawo.

Na prezesa jednogłośnie wybrano starego Siekierę, na oddziałowego, zięcia Siekiery, Szymona Gałaja, na pomocnika Stacha Szymczaka, na kasjera sołtysa Jachimka.

Po wyborach starszyzna wszystkich oddziałów i obywatele pozostali dla omówienia programu uroczystości rocznicy, reszta zaś wyborców rozjechała się do domów.

Na przewodniczącego wybrano księdza Kanonika Niemirę i naprzód omówiono kwestję poświę-

cenia nowo utworzonego oddziału oraz polecono oddziałowemu przygotować odpowiednią przemowę.

Gałaj zaczął się wymawiać, że na tak wielkim zebraniu nie czuje się na siłach przemawiać i ukazał na Stacha, jako posiadającego śmiałość pod tym względem.

— Od gadania ja się nie ukłonię—rzekł Stach—ale na tak wielkiej uroczystości, byle czego gadać nie można.

Jeżeli o to chodzi, rzekł Gałaj, to ja wam mogę przygotować przemówienie.

Bardzo dobrze—rzekł przewodniczący—wy już będziecie wiedzieli jak napisać.

— Prosiłbym tylko, żeby to było napisane „durkiem", bo pisane wyszło mi już trochę z głowy. Na pamięć to ja się w „trymiga" nauczę.

— Bądźcie spokojni, tak wam napiszę, że będziecie czytali jak z książki.

Następnie ułożono program całej uroczystości. Straż w mundurach, ze sztandarem i orkiestrą uda się do kościała Ś-go Ducha w Łowiczu. Po nabożeństwie—przegląd straży. Obiad ogólny dla delegatów i całej straży w domu Stow. Robotników Chrześcijańskich; przemówienia i toasty, próba straży, zabawy i tańce na odkrytym powietrzu na Kostce.

Stach powrócił do domu uradowany i natychmiast z Szymonem poczęli werbować ochotników do oddziału.

Młodzież chętnie się zapisywała, wstępowali też i żonaci, znajdując przyjemne spędzenie czasu we wspólnych ćwiczeniach i marszach.

Nauczyciel Perzyna wyuczył ich śpiewać kilka piosenek w takt marsza, i, gdy wracali z ćwiczeń

w pełnym ordynku, z wszystkich chałup wyglądały ciekawe twarze, a gromada wiejskich dzieciaków postępowała za niemi.

Stach, otrzymawszy przepisaną przemowę, siadywał za stodołą i uczył się jej na głos. Z początku szło mu ciężko lecz coraz bardziej chwytał wątek myśli i utrwalał sobie w pamięci.

Zocha, zauważywszy częste jego znikanie po za obojściem na czas dłuższy, zapytała pewnego razu:

— Co ty tam masz za stodołą, co się tak często chowasz?

— To tajemnica jest, dowiesz się za miesiąc i zobaczysz, że twój chłop też będzie sławny i na rękach będą go nosić. Myślałaś, że tylko Janek Siekierczak był mądry.

— Każdy może być mądry, gdy będzie się garnął do nauki, wrota do niej dla wszystkich stoją otworem, trochę wytrwałości i pracy...

— Miałaś mnie za ba i bardzo, a teraz obaczysz, co to będzie na rocznicę, gdy będę przemawiał do zgromadzonego narodu.

— Aż tak? Daj ci Boże powodzenie, będzie to honor, bo dotąd to nieraz nie śmiałam ludziom w oczy spojrzeć, gdyś na czworakach powracał do domu.

— Jest też co wypominać, głupi kieliszek wódki. Widać, że ludzie na to nie zważają, kiedy mnie wybrali na pomocnika oddziałowego.

— Tymbardziej powinieneś teraz na siebie uważać, aby ludzie brali przykład ze zwierzchności.

— Ma się rozumieć.

Lecz znowu, w kilka dni po tej rozmowie, Stach wrócił do domu późnym wieczorem, podchmie-

lony i zabłocony, staplawszy się w kałuży, której nie mógł około karczmy przeskoczyć.

Uwag mu żadnych wtedy czynić nie można było, gdyż zaraz do bicia się porywał.

Powtarzać się to poczęło coraz częściej, na czem całe gospodarstwo szwankowało. Zocha to widziała i gryzła się. Matka, choć skrzętnie zajmowała się przychowkiem i choć odkarmionego wieprzka, lub gęś sprzedała, nie wystarczyło to jednak na bieżące wydatki, a tu podatki zalegały stale. Urodzaje też bywały nie szczególne, późne siewy i niedbałe obrabianie pola przyczyniały się do tego.

Nieboszczyk sołtys chociaż też za kołnierz nie wylewał, lecz znał się na gospodarstwie i wiedział, gdzie co zasiać i kiedy. Stach, służąc po dworach, robił to tylko, co mu kazano, nie dbając o skutek i nie pytając, co z tego wyniknie. Mając przytem wrodzony wstręt do czytania, nie mógł czerpać potrzebnych wiadomości z gazet i książek rolniczych, jak to czynili inni.

Matka, niechcąc martwić Zochy, tłumiła w sobie te kłopoty, popłakując od czasu do czasu, lecz nie znajdując innego wyjścia, musiała sprzedać dwie morgi buraczanej ziemi, żeby opłacić podatki, długi i zaległe procenty. Zaledwie małą kwotę zdołała umieścić w gminnej kasie na nieprzewidziane wydatki.

Ochronka rozwijała się coraz lepiej. Matki, wychodząc w pole, same odprowadzały drobne dzieci, aby je nie pozostawiać bez opieki. Okazała się potrzeba stałej pomocy i wieś wyznaczyła pensję dla pomocnicy, co dla Zochy było dużem podparciem, gdyż miała przynajmniej na konieczne wydatki dla siebie i dziecka.

Kasię już teraz brała ze sobą, bo dziewucha ani na chwilę nie chciała pozostać w domu, lecz rwała się do innych dzieci i skoro tylko matka brała na siebie chustkę, dziewczynina wybiegała za nią czymprędzej okrywając się matki zapaską, która się wlokła za nią po ziemi.

Gdy dzieci robiły koło i śpiewały, biegła do nich z wyciągniętemi rączkami i musiały ją brać pomiędzy siebie i aż piszczała z uciechy, że mogła razem ze wszystkiemi kręcić się po izbie.

Zocha była szczęśliwa, że mogła spełniać obowiązki zawodowe i jednocześnie mieć córkę przy sobie, która w oczach prawie rosła i rozwijała się w kole innych dzieci.

XVIII.

Nadszedł nareszcie oczekiwany dzień. Już od samego rana wieś cała przybrała wygląd świąteczny. Kto tylko żyw, szykował się na rocznicę; we wsi pozostali tylko ci, którym niemoc nie pozwalała opuścić chaty.

Dziewczęta w oczekiwaniu tańców przy prawdziwej orkiestrze stroiły się w najlepsze swoje chusty.

O godzinie 8-ej rano zelektryzował wszystkich marsz „Sokołów", śpiewany zgodnym chórem przez idących w ordynku strażaków.

Nawet starzy prostowali się i uśmiechali do siebie, jakby jakaś nowa siła w nich wstępowała, gdy wzbił się pod niebo chór:

„Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat,
Na nowe on życia koleje,
Z wygodnej pościeli nie dźwiga się rad,
I ciało i dusza w nim mdleje.
Więc bracia Sokoli, dodajcież mu sił,
By ruchu zapragnął, by powstał i żył...."

Na czele oddziału kroczył Gałaj, zięć Siekiery, w złocistym chełmie, w lejbiku z rękawami, na ra-

mionach złote epolety, pas skórzany, u pasa mały, cyzelowany toporek. Obok niego szedł adjutant Perzyna, z trąbką przewieszoną przez ramię, w podobnym umundurowaniu, lecz epolety skromniejsze i bez toporka.

Za niemi postępował oddział czwórkami, w metalowych chełmach, pasach szerokich parcianych, z przymocowanemi do nich stalowemi karabinierami do zaczepiania się o linę, przy spuszczaniu z wysokości; wszyscy w lejbikach i portkach czerwonych w pomarańczowe podłóżne pasy.

Obok oddziału w pierwszym rzędzie szedł Stach w srebrzystym kasku, z czerwonemi ze złotem sznurkami na ramionach, poprzedzał go chorąży, niosący chorągiew oddziału V.

Strażacy mieli przy boku topory, część posiadała linki do zsuwania się z dachów, za niemi postępowała sikawka z pełną obsługą i cztery beczki.

Gdy szli z tą pieśnią na ustach, oczy wszystkich dziewcząt z lubością na nich spoczęły. Bo też piękny był widok tych dorodnych postaci, równych prawie wzrostem, silnych, jak dęby naszych borów.

Wyjście straży było hasłem do udania się na uroczystość.

Wioska cała opustoszała. Pieszo, końmi, jak komu wygodniej, wszystko dążyło do Łowicza.

W mieście tłumy ludzi oczekiwały nadejścia strażaków. Zdala, na szosie, rozległy się dźwięki orkiestry.

— Idą już, idą! zaczęto wołać dokoła. Idzie pierwszy oddział od strony Dąbkowic!

Zaroiło się jak w ulu. Na szosie ukazały się szeregi straży. Na czele szedł chorąży w asystencji dwuch strażaków niosąc sztandar jedwabny błękitny

z wyhaftowanym na nim obrazem świętego Florjana, patrona od ognia, i insygniami strażackiemi. Za nim szedł główny naczelnik całej straży, okoliczny obywatel ziemski, w towarzystwie adjutanta. Tuż za naczelnikiem postępowała orkiestra, składająca się z instrumentów dętych.

Szli żwawo, w takt muzyki. Miarowe ruchy nóg migały w słońcu jak tęczowa fala. Odgłos kroków, początkowo głuchy na szosie, na bruku miejskim odezwał się potrójnym echem.

Za oddziałem szedł tabor straży, wóz rekwizytowy, sikawki i beczki.

Zaledwie pierwszy oddział zatrzymał się na Nowym Rynku, gdy rozległ się w przestrzeni marsz „Sokołów" i w szybkim tempie wkroczył na rynek oddział piąty z Gałajem i Stachem na czele. Tuż za niemi niebawem wzbił się pod niebo marsz strażacki śpiewany zgodnie przez oddział drugi kroczący na czele oddziałów trzeciego i czwartego:

Czołem strażacy, czołem wam zuchy,
Zdala już patrzą na was dziewuchy,
    I dziewuchy i mężatki,
    Za to że jest strażak gładki.
Dalej na koń, chwyć topór w dłoń!
    Marsz, marsz, marsz!

Huknęły głosy: niech strażak żyje!
Niech mu cień żaden życia nie kryje.
    Niechaj wszyscy go kochają,
    Niechaj mu wiwat wołają.
Dalej na koń i t. d.

Bo któż dzielniejszy jest nad strażaka
Mina u niego jak u junaka
    Cudza nędza tak go boli
    Idzie w ogień z własnej woli
Dalej na koń i t. d.

Ani muzyka, ani wesele
Czy to przy pracy, czy to w kościele
Ani prośba dzieci, żony
Nie wstrzyma go od obrony.
Dalej na koń i t. d.

Czy to wśród nocy, gdy snem zmorzony,
Trąbka zagrała, wstaje zbudzony.
Czy zmrok nocy, czy roztoki
On kieruje tam swe kroki.
Dalej na koń i t. d.

Niby na skrzydłach lecą jak ptacy,
W stronę pożaru, dzielni junacy
Wpadają jak błyskawica,
Że się każdy aż zachwyca.
Dalej na koń i t. d.

Już po drabinach, hen się wspinają,
Gdzie ogień grozi, tam się dostają
Ci leją wody strumienie,
A tamci skaczą w płomienie.
Dalej na koń i t. d.

Jeden wynosi z ognia dziecinę,
A drugi dźwiga odzież, pierzynę,
Wszyscy co sił ratowali
I ogień całkiem zalali.
Dalej na koń i t. d.

Lud pozostały im błogosławił,
By im Bóg szczęścił, by im to sprawił—
By nie zbrakło zdrowia, siły,
By im czas był błogi, miły.
Dalej na koń i t. d.

Złóżmy życzenie: niech strażak żyje!
Niech młodość z niego jak łuna bije.
Niechaj mówią, żeśmy zuchy,
Męże, niewiasty, dziewuchy.
Dalej na koń, chwyć topór w dłoń!
Marsz, marsz, marsz!

Obozy uszykowały się w szereg, zaś oddziały, odpocząwszy nieco i sformowawszy się podług kolei, z orkiestrą na czele ruszyły do kościoła świętego Ducha.

Tu orkiestra udała się na chór, by odegrać mszę, straż zaś utworzyła szpalery na środku kościoła.

Przed wielkim ołtarzem stanął chorąży ze sztandarem, całe zaś prezbiterjum zajęli delegaci straży Łowickiej, Bolimowskiej, Sochaczewskiej, Zduńskiej, Łyszkowickiej i innych.

Po nabożeństwie proboszcz Swiętoduski, ks. Kanonik Niemira, jako prezes Dąbkowickiej straży w gorących słowach podziękował obecnym za popieranie tak pożytecznej instytucji.

...„Nie gwoli zaszczytów,—kończył przemowę szanowny kapłan,—ni osobistej chwały, idziecie do walki ze strasznym żywiołem, lecz by ratować mienie bliźniego, kalectwo, lub śmierć mając jedynie w udziale".

„Na sztandarze swoim, wy, szlachetni bojownicy, wypisaliście hasło: w „imię miłości bliźniego", idźcie więc dalej pod tym znakiem, zwracajcie matkom wyrwane z płomieni dzieci, biednym ich dobytek, nieszczęśliwym ocierajcie łzy. Idźcie, jako dobrzy aniołowie, otuchę i radość siejąc dokoła. Nieście ludziom w niedoli błogosławieństwo Boże! Idźcie do tej walki w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego!"

Prąd elektryczny przebiegł zebranych, odruchowo każdy, kładąc znak krzyża na czole, czuł stygmat błogosławieństwa kapłana i wierzył, że posiadł niespożytą siłę do walki.

Publiczność czekała, aż straż wyjdzie.

Strażacy wychodzili parami po dwuch, przed kościołem sformowali się w czwórki, orkiestra zagrała marsza i udano się na rynek.

Tu straż sformowała długi front, oczekując przybycia prezesa i delegatów. Gdy ci ukazali się na drodze, orkiestra zagrała powitalnego marsza. Następnie straż przedefilowała z orkiestrą i całym taborem trzykrotnie dookoła rynku we wzorowym porządku, wywołując podziw patrzących.

Obecni z uznaniem stwierdzili sprawność i postawę strażaków. Chłop w chłopa gdy stanęli, to jak mur, gdy ruszyli naprzód, zdawało się, że idzie lawina niczem nie powstrzymana, która wszystko zmiecie po drodze.

— Jest jeszcze siła w narodzie—rzekł do majstra Kalińskiego stary wójt Kosiorek, sześciokrotnie wybierany w Bąkowie—jest siła!

— Była i jest,—odrzekł zagadnięty — tylko nie umieliśmy jej użyć; nie szło się zgodnie, każdy w inną stronę ciągnął i dla tego nam dzisiaj źle.

— Naród zaczyna teraz brać się na pazury, poznawać się, próbować sił swoich i czuć się panem tej ziemi. Koń, gdyby wiedział o swojej sile, nigdyby się nie dał okiełznać—rzekł filuternie Kosiorek,— Myśwa swej siły nie znali.

Po skończonym przeglądzie straż z orkiestrą skierowała się do budynku Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich, gdzie na sali zastawione już były stoły, za któremi sadowili się strażacy oddziałami.

Na scenie ustawiono stoły dla delegatów i gości.

Podano obiad, wiara żwawo zabrała się do jedzenia gdyż od wczesnego ranka nic w ustach nie mieli. Po zaspokojeniu pierwszego głodu, powstał naczelny prezes straży, ks. kanonik Niemira i powi-

tał zgromadzonych, dziękując im za tak liczne wzięcie udziału w dzisiejszej uroczystości, i wniósł zdrowie delegatów i gości.

W odpowiedzi przemówił delegat łowickiej straży, zaznaczając dzielny wygląd i sprawność straży włościańskich, których wniósł zdrowie.

Po nim powstał Stach i, gdy się uciszyło, przemówił:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

„Łącz ramię do ramienia—powiedział nasz wielki pieśniarz i, jakby na potwierdzenie słów jego, z radością widzę jako się nasz polski naród jednoczy".

...„Tu na tym miejscu, pod szczytnym hasłem miłości bliźniego, zebrały się wszystkie stany".

„Obok siermiężnego kmiotka widzimy potomka potężnego rodu, broniącego krwią własną granic rzeczypospolitej od najeźdźców; obok miejskiego robotnika mienią się fiolety kanonika Kolegjaty Łowickiejc.

„Wszyscy stanęliśmy do pracy, nie brakło nikogo. My, włościanie, najpóźniej przebudziliśmy się z wiekowej drzemki, lecz dzięki usilnej waszej pracy, przodownicy narodu, którzy mimo stawianych wam przeszkód zarówno ze strony władz jak i naszej ciemnoty, szliście do nas z kagankiem oświaty i zdołaliście nas przekonać, że nie własne cele, a dobro nasze macie na widoku, przeto my stajemy dziś obok was, by ulżyć wspólnej pracy i własnym ramieniem podeprzeć naszą matkę ojczyznę".

„Gdy widzę was tutaj, zacni panowie, zebranych dla sprawy dobrej, serce raźniej uderza w piersi, a w duszę wstępuje taka moc i wiara, że możemy góry przenosić i że teraz nic już złamać nas nie zdoła".

„Dzisiaj wnoszę Wasze zdrowie w imieniu nas, włościan i pragnąłbym, aby słowa moje odbiły się tysiącznym echem po wszystkich wioskach i siołach, i wzbiły się pod niebiosa jednym wielkim głosem „Niech żyją"!

— Niech żyją!—powtórzyły wszystkie głosy, i jak na komendę strażacy powstawszy wysoko wznieśli swe czarki.

Huczne oklaski były nagrodą mówcy, i jednocześnie ze sceny ruszyli obywatele i delegaci, żeby się z nimi trącić.

Dzielnie powiedziałeś bracie!—rzekł potomek hetmanów, ściskając mu rękę—oby wszyscy tak myśleli.

— Wasze zdrowie!—zawołał drugi—tęgoście powiedzieli!

— W górę go! krzyknęli inni.

I, nie namyślając się, Stacha jak piłkę podrzucono w górę przy hucznych brawach obecnych i fanfarze orkiestry.

Nadszedł kanonik i, pocałowawszy go w czoło, rzekł:

— Dobrzeście Szymczak powiedzieli, dziękuje wam.

— Sielnie gadał, jak jaki prefesur — powtarzali dokoła sąsiedzi.

— Gałaj mu spisał, wielga rzecz—

— Niejeden i z pisanego tak bąka, że go zrozumieć nie można, a inny to całkiem języka w gębie zapomni.

— Niema co gadać, dobrza się spisał.

— Pozwólcie uścisnąć dłoń waszą—dzielny człowieku—rzekł, zbliżając się z notesem i aparatem fotograficznym, reporter „Świata". — Gdyby wszyscy

tak myśleli, byłoby niebo na naszej ziemicy. Czyście byli gdzie w szkołach?

— Aże we dwuch. Najprzód w pierwszym oddziale wiejskiej szkoły, a potym we wojsku przez miesiąc w rotnej szkole.

— Ale musieliście czytywać dużo?

— Dawni to się czytało coś niecoś.

— Szkoda, żeście więcej nie pracowali nad sobą.

— Prawicę mi daj, dzielny kmiotku—wołał, przeciskając się przez tłum, jakiś otyły przejezdny obywatel, brawo! brawo! brawo!

Stach, oszołomiony powodzeniem, zaczął z góry spoglądać na towarzyszów, którzy mu w duszy zazdrościli sukcesu. Ustawiczne trącanie się kieliszkiem zaczęło też na niego działać i w głowie już czuł krążenie.

Gdy się na sali nieco uspokoiło, zabierało głos jeszcze kilku mówców, lecz już z mniejszym powodzeniem.

Stach dolewał sobie coraz częściej, lecz jeszcze panował nad sobą. Widząc, że ogólne zainteresowanie się nim osłabło i że niektórzy mówcy po kilka razy głos zabierali, postanowił przypomnieć się jeszcze raz.

Powstał z ławy i zaczął silnie uderzać nożem w szklankę.

Obecni, ujrzawszy stojącego Szymczaka, uspokoili się, jak również na znak prezesa, że jeszcze będzie mówił ten sam księżak, zapanowała na estradzie cisza.

Stach stał przestępując z nogi na nogę, ciężko oparłszy się o stół. Twarz miał całą czerwoną i oczy mu bielmem zaczęły zachodzić. Otarł spływający pot z czoła i przemówił:

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— Łącz ramię do ramienia, — powiedział nasz wielki pieśniarz i jakby na potwierdzenie słów jego z radością widzę, jak się nasz naród jednoczy..."

— Zdaje się, rzekł prezes—że on to samo opowiada.

...„Tu na tym miejscu, pod szczytnym hasłem miłości bliźniego zebrały się wszystkie stany. Obok siermiężnego kmiotka..."

Prezes zaczął Szymczakowi dawać ręką znaki, aby przestał, wreszcie skinął na sąsiadów, aby mu zwrócili uwagę.

Na sali odezwało się sykanie, wreszcie ktoś z tłumu zawołał:

— Siadajcie, ociec!

— Ten ci drugi raz to samo kropi!—rzekł obywatel Lipkowski z Chąśna—trzeba go ostrzec, niech się nie błaźni. Wyuczył się widać jak papuga i gada.

— Ciekawe, kto mu to napisał?

— Ja,—odrzekł, kłaniając się skromnie Gałaj.

— Powinszować wam, szkoda tylko, żeście sami tego nie powiedzieli, ten zepsuł całe wrażenie.

Na sali poczęto gwizdać i wrzeszczeć:

— Siadajcie! jużeście to gadali!...

Wreszcie doszedł do niego oddziałowy i oparłszy mu ręce na ramionach, posadził go na ławie.

— Czegój? zawołał Stach.

— Dyć cichajta. nie róbta pośmiewiska ludzkiego.

— Przeciek nie skończyłem jeszcze.

— Nie potrza, jużeśta gadali.

— A insi też po dwa razy gadali.

— Ale gadali co inszego, przecie żeśta słuchali.

— A bies ich tam słuchał. Gadał, to i gadał. Wiele tam z tego zrozumieć można było.

Starszyzna zaczęła się podnosić. Naczelnik kazał dać sygnał do powstania.

Stach, stropiony nieco, nalał sobie jeszcze w szklankę wódki i wypił duszkiem. Machnął wreszcie ręką i zaczął nogę przekładać przez ławkę.

— Psia mać!—zaklął i gramolił się, zatrzymując innych.

— Wychodźcie prędzej, nie tamujcie drogi— rzekł stojący za nim strażak i pomógł mu wyleźć z za stoła.

Strażacy znowu uformowali się w szeregi i ruszyli na Kostkę, gdzie były przygotowane różne niespodzianki.

Plac, jak okiem zasięgnać, natłoczony był ludem wiejskim i z miasta.

Naczelnik dał sygnał, aby jeden ze stojących na uboczu domów uważano za objęty pożarem.

Ruszono na ratunek. Momentalnie złożono sikawki i w pięć minut strumienie wody lunęły na dach i na stojących na nim toporników, wreszcie na tłoczący się naród, który z krzykiem i śmiechem począł się cofać.

Uciecha była wielka. Chłopacy, sprzeciwiając się, przebiegali pod strumieniami, pokazując strażakom języki, dopóki nagłym zwrotem węża nie zostali porządnie oblani. Dostało się i małym żydziakom, których czapki rzucano pod prąd wody, by nie mogli po nie sięgać.

Po skończonej próbie rozpoczęły się tańce, wyścigi w workach, tłuczenie z zawiązanemi oczyma wiszących na sznurach garnków, w których były kurczęta, monety, cukierki, mąka, popiół, lub woda.

Największe tłumy gromadziły się dokoła tańczących. Koło ścieśniało się coraz bardziej, że nawet

dla tancerzy brakło miejsca, dopiero dyżurni strażacy linką otoczyli teren.

Tańczono na zabój. Strażacy, parobcy, rzemieślnicy, wiejskie dziewczęta, a nawet i kapeluszowe panny puszczały się w tany ze znajomymi delegatami i strażakami.

Stach, struty trochę swym powtórnym wystąpieniem, dolewał sobie wciąż. Ruszył też do tańca, ale nogi nie chciały go słuchać. Wyszedł z koła i układł się za szopą, w której mieścił się bufet.

Zocha też była na zabawie z matką i Kasią, lecz męża nie mogła zobaczyć. Stanęła obok orkiestry i przyglądała się tańczącym. Kasia z radości w rączki klaskała, słuchając muzyki i zaglądając w trąbę, z której głos wychodził, wreszcie niewytrzymała i całą rączkę wpakowała w waltornię, aż muzykant się obejrzał, że mu coś dech zaparło.

Zmierzch się już robić poczynał, niektórzy szykowali się do domu. Zocha rozpytywała wszystkich o męża, lecz nikt nie wiedział, co się z nim stało. Natknęła się na Onuferkę, która cała spocona, jakby z łaźni, chłodziła się zapaską.

— A z wami co się stało?

— Złapał mnie kumoter Grzela i musiałam z nim tańcować. Pełno dokoła narodu i duszno, że topór można w powietrzu zawiesić. Wszystkie chusty oblepiły się na mnie.

— Pocóżeście tam leźli?

— Na taką muzykę jeszczeby nie polecić. Rzadko się to zdarza.

— Nie widzieliście gdzie mojego chłopa?

— Śpi tam za budą, zdaje mi się że schlany.

— Co ja teraz pocznę? do domu czas.

— Przecie macie swoje konie, to go zabierzecie.

— Ale co ludzie powiedzą, jak go będę wiozła jak worek grochu?

— O, kłopot, niedługo się ściemni, to go strażacy wwalą na brykę. Podobno wasz chłop z początku sielnie gadał, aż mu ślachta dziękowała, ale drugi raz to całkiem pokpił, kazali mu cichać.

— Ja też nie bardzo wierzyłam, gdy mówił, że tak się odznaczy, że go na rękach nosić będą.

— A toć go i wezmą na ręce, jak go będą kładli na brykę.

— E, wy to ze wszystkiego tylko kpicie.

Zocha poszła za szopę i, postawiwszy małą na ziemi, poczęła Stacha budzić, lecz był prawie nieprzytomny.

Kasia nachyliła się nad ojcem, wołając „tatulu!" lecz cienki jej głosik ginął w ogólnym zgiełku.

Stojąc tak bezradnie, dostrzegła Gałaja i prosiła go by jej pomógł w biedzie.

— Nieszczęście z tym chłopem, dopóki trzeźwy, to jeszcze pół biedy, ale jak wódki powącha—przepadł.

Skinął na przechodzącego strażaka, aby mu przyniósł kubeł wody i zaczął ją powoli lać Stachowi na głowę. Woda odniosła ten skutek, że przynajmniej wiedział, gdzie się znajduje.

Onuferka pobiegła po brykę i przy pomocy Gałaja zdołano go władować, ułożywszy w półkoszku, nogi zaś oparto na siedzeniu.

— Przyjechałam z Grzelową, ale zabiorę się z wami, bo może nie dacie sobie w drodze rady.

— Bóg zapłać za życzliwość,—siadajcie.

Usiadły, przedzielone Stachowemi nogami. Konie żwawo ruszyły ku domowi.

— Mnie się widzi—rzekła Zocha—że przez tę straż to on będzie miał jeszcze więcej okazji do picia

— Bieda z tym, że nie zna miary. Toć każdy się napije, ja sama też za koszulę nie wyleję, ale każdy powinien wiedzieć, co zmoże.

Stach poruszył nogami, pozycja jego stawała się niewygodną, gdyż głową tłukł ciągle o kant wasąga.

— Prąd świeżego powietrza i ustawiczny ból zaczął go przyprowadzać do przytomności.

— O jej! weźta mnie stąd, bo mnie głowa boli!— zaczął wołać na cały głos.

— Zatrzymano konie i próbowano go za ręce wyciągnąć, lecz niewiasty nie mogły poradzić, bo zagłęboko się krzyżem wsunął w słomę. Aż dopiero obie razem, chwyciwszy go za nogi wyciągnęły na siedzenie.

— Ady podnieście się—rzekła Onuferka, wstyd, żeby człowiek leżał na wozie, jak nieprzymierzając nierogacizna.

— Nogi mi stargły, bo wyżej były, podajta mi ręce.

Z trudem posadziły go na siedzeniu pomiędzy siebie i ruszono dalej.

— Mówiłeś,—rzekła Zocha — że będziesz na rękach noszony i sprawdziło się, tylko na przyszłość ja się noszenia nie podejmę.

— Ślachta mnie nosiła.

— Ale cóżeś takiego powiedział później, co im się niepodobało?

— To samo przemówienie wtóry raz rzec chciałem.

— Nie mówi się nigdy drugi raz jednego i tego samego.

— Przecie—wtrąciła Onuferka, — to jakby proboszcz ewangelię dwa razy odczytywał.

— Głupie jesteśta obie i wita tylko ono i guzik! Jak byłem w tyatrze, to jeden śpiewał piosneczkę,

i jak przestał, naród zaczął wrzeszczeć: bies! bies! on wyszedł i to samo drugi raz zaśpiewał to jak mu sypnęli różnego ziela, to krowa miałaby co jeść bez tydzień.

— Co jenszego śpiewka, a co jenszego gadanie. Jak raz na weselu śpiewałam piosneczki, to jeden pan z Warszawy dwa śrybne ruble mi dał, żeby mu je powtórzyć i wszystkie spisał sobie w księdze.

— Co tam wasze głupie piosneczki! — tyle co wiatr wieje.

— Zawszeć to z własnej głowy, a nie z cudzej.

Dojechali do wioski i stanęli przed swoją chałupą.

Zocha zeszła pierwsza i zabrała z bryczki Kasię. Za nią wyskoczyła Onuferka i nadstawiła ręce:

— No chodźta, Stachu, to was zniosę! kiej nosić na ręcach, to nosić.

— Zamknęli byście gębę, ciągiem wam lata jak pytel, rzekł Stach,—z trudem złażąc z bryki.

— Gardzita pomocą, to Panu Bogu oddaję i szybko zawróciła ku wsi.

— Pokraka baba!—rzekł Stach i, zataczając się jeszcze, jął szukać swego chełmu na bryce a włożywszy go orzełkiem na tył, powoli za Zochą skierował się do chałupy.

XIX.

Nadchodziła jesień, Gałaj Szymon, korzystając z dłuższych wieczorów, za wskazówkami Janka, urządzał u siebie wspólne czytania. Zwykle odczytywano artykuły ciekawe z „Zorzy" lub innych pism, nie tylko tyczące się życia włościan, lecz i całego ustroju społecznego oraz wszelkich przejawów życia.

Czasami przeczytano jaką wesołą powiastkę, by nie nurzyć zbytnio słuchaczów jednostronnemi tematami.

By skłonić wszystkich do pracowania nad sobą postanowiono, aby każdy czytał kolejno. Rozdawano im artykuły odpowiednie, aby każdy sobie przejrzał w domu i nie jąkał się podczas czytania.

Zebrania te nazywano „literackiemi" i każdy uważał sobie za punkt honoru znajdować się na nich. Nie tylko młodzież, lecz i starsi gospodarze chętnie się na nie zgromadzali.

Zocha też wyprawiała Stacha na te zebrania, lecz on zawsze przekładał piwiarnię i wesołe dykteryjki, które na poważnym zebraniu nie bardzo uchodziły.

Podobne zebrania urządzała też u siebie Zocha. Przychodziły na nie dziewczęta i gospodynie, spędzając czas przyjemnie i pożytecznie. Czasami urządzano

chóralne śpiewy, by wyrobić zamiłowanie do pięknych pieśni, zamiast robionych na poczekaniu przez domorosłych piosenkarzy bezsensownych głupstw.

Wskutek zajęcia się strażą młodzież nie tęskniła jakoś za tańcami i nie myślała o urządzaniu muzyk, tymbardziej, że dziewczęta zasmakowały w wieczorynkach urządzanych przez Zochę.

Kilka dziewcząt nie umiało czytać, Zocha podjęła się je nauczyć i w niedziele i święta po południu urządzała u siebie szkołę.

Wpływ Zochy coraz bardziej się wzmagał i nawet starsze gospodynie przychodziły do niej często po radę.

Bo też dziwna w niej zaszła przemiana. Spoważniała nad wyraz i jakkolwiek nie straciła nic ze swej urody, jednak taktem, powagą i spokojem ducha potrafiła trzymać z daleka od siebie tych, którzy, znając ją dawniej wesołą, próbowali nieraz odnowić poufałe żarty i dowcipy.

W postępowaniu z mężem zachowywała zawsze tyle spokoju i łagodności, że niedopuszczała do żadnej sprzeczki, co przy jego nierównym i gwałtownym usposobieniu dosyć było trudnem.

Kasię swoją kochała nad życie i to jej wypełniało pustkę, jaka się zrodziła w jej sercu. Zmysłowe, poślubne porywy dawno minęły, nie będąc podtrzymywane wzajemnym szacunkiem i wspólnością myśli, bo o ile Zocha polubiła książki i wszystek wolny czas im poświęcała, o tyle czytanie dla Stacha stanowiło ciężki przymus i ożywiał się jedynie w towarzystwie kompanów przy wódce i piwie. Nic też dziwnego, za ich poziom umysłowy w odwrotnym szedł kierunku i coraz mniej mieli sobie do powiedzenia.

Zocha z początku próbowała wyrabiać w nim pociąg do życia innego, pożytecznego, starała się rozbudzić chęć do czytania rzeczy ciekawych, lecz widziała; że czyni to bez żadnej ochoty. Nieraz nawet żal jej się go robiło, gdy zauważyła, że chciał jej posłuchać, chciał rozumieć, co czyta, lecz pocił się, kręcił, a myśl biegła gdzieindziej i chwytał pierwszy lepszy pozór, by się uwolnić od tego.

— To wszystko są bajdy, to chleba nie da—mawiał, żebym niewiem jak był uczony, a niebędę umiał zasiać lub zaorać, to z głodu zdechnę—i brał wtedy czapkę i szedł do piwiarni.

Wszelkie tłumaczenia na nic się nie zdały, wytwarzały tylko rozdźwięk między niemi i do żadnego nie prowadziły celu. Zocha więc straciła wszelką nadzieję wyrwania go i podniesienia wyżej, zamknęła się też w sobie i żyła jedynie dla swej Kasi.

Dziewczynina nad wiek się rozwijała, żywa, wesoła i zmyślna. Obdarzona przytym pamięcią, powtarzała zasłyszane w ochronce śpiewki, przekręcajac je pociesznie i rozśmieszając wszystkich.

W domu nie można jej było utrzymać; gdy powróciła z ochronki wybiegała za babką do gospodarstwa i pomagała niby dźwigać kubły, czepiając się ich rączkami i postękując jak babka.

— Umykaj bo się przewrócisz,—ostrzegała ją Walentowa.

— Psecie nie uładzicie, babulu, ja wam pomogę...

Czasem dźwigała skopek do dojenia, albo stołek i szczęśliwa była, gdy jej tego nie broniono.

Babka chociaż niby przekomarzała się z nią często, patrzyła w nią jak w obrazek i strzegła jak oka w głowie.

Świergot jej napełniał każdy kąt chałupy. Nieraz gdy matka lub babka były czem zafrasowane, nie dawała im długo pozostawać w zamyśleniu, rozrywała ich strapienie piosneczką, pieszczotą, lub ucieszynym tańcowaniem, ujmując brzegi swego przydługiego wełniaka, jak to nieraz z figlów czyniła Onuferka, gdy pokazywała, jak tańczą w teatrze.

Ojca się trochę bała, gdyż nie zawsze był w dobrym humorze; gdy czasami burknął na matkę, uciekała do babki i chowała się za nią. Rzadko się zdarzało, gdy ją wziął na kolana, lub pobujał do góry, co najbardziej lubiła, lecz po większej części wracał nietrzeźwy, i o ile nie zrobił awantury, szedł zaraz spać.

Nic dziwnego, że w tych warunkach życie im płynęło jednostajnie.

Pewnej niedzieli po południu, gdy Zocha z Kasią zajęte były szyciem dla lalki wełniaka, bo Kasia też wtykała igłę w kawałek szmatki, wpadła nagle Onuferka i krzyknęła:

— Wielka nowina! Janek przyjechał!

— Janek przyjechał!... wykrzyknęła Zocha raptownie i zbladła jak płótno. Przyjechał!—powtórzyła bezmyślnie i zapatrzyła się w przestrzeń.

Następnie gorączkowo szyć zaczęła, a ręce jej drżały jak w febrze. Bladość powoli zaczęła ustępować i rumieniec oblał twarz całą. Opuściła ręce na kolana, lecz nagle schwyciła się za serce. Wstała, podeszła do wiadra, zaczerpnęła wody i napiła się trochę. Duszno jej było w izbie i unikając wzroku Onuferki, wyszła do sieni.

Zła była na nią, że tak nagle wpadła z tą wiadomością. Mogła przecież powiedzieć nie tak obcesowo.

Stanęła w sieni i głowę oburącz objęła rękami.

— Przyjechał!.. Pewnie się zaraz ożeni. Na złość. To psie serce tak mi bije! Czego? Przecie go mogłam mieć... Oj, głupoto ludzka!... Nie mogę się uspokoić!...

Z izby dolatywał głos Onuferki, połączony z cieniutkim głosikiem Kasi, szurgających nogami po podłodze w takt galopady:

Jestem sobie tęga dziwa, tęga dziwa.
I do tego rosła!
Ażeby mi ojciec kazał, matka dała, chłopcy chcieli,
Byłabym ja była dawno za mąż poszła
Wzięłabym se parobeczka,
Nie żadnego osła! nie żadnego osła!....

To ją oprzytomniło. Weszła do izby i zobaczyła rozpromienioną twarz córki, podskakującej po izbie razem z Onuferką.

Uśmiechnęła się słabo i siadła na swoim miejscu.

— No i co więcej słychać? — rzekła na pozór obojętnie, siląc się na spokój. Siekierowie pewno bardzo kontenci?

— Jak wszedł do izby i runął starym do nóg, to się oboje jak bobry popłakali.

— Widzieliście?

— Akurat byłam wtedy. Matka mu się rzuciła na ramiona, to jak się zerwał z ziemi, jak ci ją podniósł w górę, to myśleliśmy, że ją do cna zgniecie...

— Dobry syn!...

— Baa!!... Przyjechał w szlacheckim ubraniu, ale zaraz przebrał się po wiesku i powiedział, że wszystko to było tylko przykrym snem, który się już nie powtórzy...

— Oj, żeby tak wszystko można było zapomnieć!..

— Teraz tam pełna izba ludzi, schodzą się jak do kościoła. Stary Józwa, co na nogi niedomaga, kazał się przyprowadzić i powiedział, że Bogu dziękuje, iż mu pozwolił oglądać Janka.

— „Nosiłem cię—powiada Jaśku, na rękach, teraz mogę spokojnie umrzeć, bo wiem, że ty mnie na mogiłki poniesiesz i naszej kochanej wiosce nie pozwolisz szczeznąć, a popchniesz ją na czoło"!

To jak ci Janek powstał, jak nie krzyknie: „Ludzie! toż ja do was tęskniłem jak więzień do swobody. Ileż to razy pod skwarem słońca, w ciężkim trudzie, myślałem o tych naszych wieczorach majowych, naszych pieśniach i naszej mowie! Chociaż tam i o pieniądz łatwiej i rajskie ptaki latają w powietrzu, rosną palmy i ananasy, nie masz piękniejszego widoku, jak gdy jesienne słońce ozłoci nasze drzewa. Takich barw i kolorów nigdzie nie zobaczysz. A jaka radość, gdy w tych dzikich puszczach i stepach usłyszysz ojczystą mowę! Wierzcie mi bracia, że milszy mi tu z wami suchy kawałek chleba, niż tam zamorskie potrawy i ciasta".

...A witał się ze wszystkimi, a radował. Gdy wszedł do stajni, to siwy ogierek, którego Jaśko od maleńkości hodował, tak się ścieszył, jakby nieprzymierzając człowiek jaki. Jaśko gdy go objął za szyję, to koń mu łeb na ramieniu położył i rżał jak bydlę.

...A kiedy go pogłaskał i powiada: „I ty mnie nie zapomniałeś?" to oba łzy mieli w oczach, bo i koń zaczął prędko mrugać ślepiami. Ktoby to pomyślał, że takie stworzenie ma tyle serca?...

— Każde zwierzę dobrego człowieka przeczuje. Opowiadajcie dalej—rzekła Zocha i ukradkiem łzę otarła fartuchem.

...To jak wyjął z kieszeni cukru i dał koniowi, to ci ten, co zje kawałek, to Jaśkowi w oczy patrzy, jakby jeszcze sobie nie dowierzał, aż mu znowu łeb przyłożył do twarzy, że nie mogli się rozstać...

— Zmienił się bardzo?

— Postarzał trochę, włosy mu na skroniach pobielały, ale jakby wydelikatniał. Oczy to mu się zrobiły takie jakieś wyrazistsze, że jak spojrzy na człowieka, to jakby przeglądał go na wylot. W ustach to ma trochę cierpkości, jakby miał żal do ludzi.

— A o ochronkę nie zapytywał?

— A jakże, pytał się. Stary Siekiera mówił: może zechcesz obejrzeć ochronkę? z początku się zgodził, lecz po chwili zmarszczył brwi i powiedział to już kiedyindziej pójdziemy.

— Gdzie Kasia?—zawołała Zocha, zrywając się—wybiegła pewno na drogę, jeszcze ją konie przejadą!

Za nią i Onuferka się zerwała, bo jej pilno było iść dalej z nowiną.

— Gdzie ty smerdo latasz? Żebyś mi nie wychodziła sama na drogę!

— Gadzina chciała me ugłyźć, tak sycała!....

— Widzisz, nie wychodź z chałupy, bo ci jeszcze głowę gęś oskubie.

— Dajcie mi matulu głos na cukiełek, to pójdę do Wawrzona, przez dłogę płędko pseletę, jak niema wozu ani kłowów.

— Zawsze trzeba najprzód wyjrzeć, czy kto nie jedzie. Masz grosz, ja tu będę wyglądać za tobą, przejdź na tamtą stronę i idź przy opłotkach; a uważaj przy wrotach, bo z której zagrody mogą gnać bydło.

Kasia uważnie wychyliła się na drogę, spojrzała w jedną i drugą stronę, a chociaż nic nie było widać, jak kula przebiegła w poprzek drogi, bo mogłoby co nadjechać i w podskokach dobiegła do piątej chałupy, w której się mieścił sklepik Wawrzona.

Matka z lubością patrzyła na maleństwo, jak przed każdą chałupą czaiło się i zaglądało, czy z wrót co nie wyjedzie, i szybko biegło dalej.

Bose jej nożyny zagłębiały się w piasek, otaczając je tumanami pyłu, który okrywał ją całą.

— A widzicie, że me nie przejechali. Dał mi dwa cukiełki, skosztujcie.

I wyciągnęła do matki długi, kręcony biało-różowy, ugryziony cukierek.

Zocha nachyliła się i ugryzła nieco, by dziecku nie odmawiać. Wzięła ją następnie za rękę i poprowadziła do izby.

Zaczęła czytać książkę, lecz nic nie rozumiała, litery wirowały dokoła. Odłożyła ją i poczęła chodzić po izbie. Żałowała, że Onuferka odeszła, czuła jakąś dziwną potrzebę rozmowy, wymiany myśli.

— Nie chciał przyjść do ochrony—myślała—żeby się ze mną nie spotkać. A może już zapomniał o wszystkiem? Ja się tem tak przejmuję, a dla niego to pewnie tyle znaczy, co zeszłoroczna zima.

Weszła do izby Walentowa, powracająca z nieszporów. Kasia podbiegła ku niej i zawołała:

— Babulu! ugłyźcie kawałek cukiełka, ale nie duzo

— A jakbym cały zjadła, to co?

— To wam nie dam!

— Toś ty taka? żałujesz babce cukierka? Biedna ja, pójdę sobie w świat, gdzie mnie oczy poniosą!

I zarzuciła na siebie zapaskę, kierując się ku drzwiom.

— O jej! nie chodźta babulu! macie, weźcie cały; moja dłoga, kochana babulu! ja nie chcę żebyśta szli i zaczęła z płaczem ciągnąć babkę za wełniak.

— Dobrze, już nie pójdę. To ty kochasz babkę? No, to pocałuj.

Kasia objęła ją za szyję i poczęła całować, wpychając babce w usta zamorusaną rączyną mokry cukierek.

Babka wzięła ją na rękę i zaczęła ściskać.

— Dobra jesteś, kochana dziewuszka. Ja ci też coś przyniosłam z miasta, masz.

— Gwiazdki! zawołała uradowana, odwijając z chustki pierniki. Matulu! aż dwie i dwie!

— Widzisz jaka babka dobra, pamięta o tobie.

— Mam gwiazdki, mam!—wołała skacząc po izbie, nadziawszy pierniki na oba wskazujące palce.

— Wiecie, matuś, Janek Siekierczak przyjechał.

— Nie powiadaj, na prawdę? To tam dopiero starzy kontenci!

— Ogromna uciecha. Nie dziwota tyle czasu, przeszło cztery lata. We wsi aż się roi, gospodarze walą jak do kościoła. Lubiany był powszechnie.

— No, no, no! to ci nowina. Ciekawość, czy też bardzo się zmienił. Pewno z miejska ubrany?

— Ale zaraz przebrał się po wiejsku. Podobno strasznie tęsknił.

— Dziwy, dziwy! Kasia, pójdziemy zajrzeć do świniaków, trzeba urwać im trochę zielska.

— Pójdę babulu, pomogę!

— Ale pewno będziesz rwać łopian i bylicę?

— Umiem, umiem, babulu. Mlecz i lebiodę wiem, ognichę też.

I czemprędzej wybiegła za babką.

XX.

W ochronce gwarno było i ludno. Nauka i zabawa trwały w całej pełni. Zocha, jak zwykle, doglądała starszych przy elementarzach, frebłanka zaś uczyła dzieci wyplatania koszyczków z kolorowego okładkowego papieru.

— Goście idą! zawołało któreś z dzieci, siedzące bliżej okna.

Nagle drzwi się otwarły i weszli starzy Siekierowie, kilku gospodarzy i gospodyń, na ostatku Janek, za chwilę weszła i Onuferka.

— Nie przerywajcie sobie panie zajęcia—rzekł Janek, kłaniając się przy wejściu. My tylko wstąpiliśmy na chwilę.

— Ależ bardzo prosimy! — rzekła panna Marja wszakże wizyta pana Jana należy nam się, myśmy jej oczekiwali. Niechże szanowni goście zajmą miejsca.

I zaczęła ustawiać krzesła, sadzając przybyłych.

Janek nie usiadł, lecz począł obchodzić dzieci i przyglądać się ich robotom. Doszedł do stolików, przy których siedziała starsza dziatwa, pisząc na tabliczkach litery i kreski.

Zocha stała przy ścianie pochylona nad dziewczynką i pokazywała jej, jak trzymać rysik. Zbladła

jak kreda, ręka jej drżała, że nawet nie mogła dziecku nakreślić kierunku liter.

Janek stał przy stoliku i przyglądał się piszącym dzieciom.

— Czy dzieci starsze długo zajmują się nauką?— zapytał w końcu.

— Tylko godzinę—rzekła, rumieniąc się i podnosząc nieco głowę, lecz nie patrząc na niego.—Później biorą udział w ogólnych zajęciach i zabawach.

Spojrzał raptownie na mówiącą, jakby się dziwił jej słowom, łecz momentalnie przybrał ton chłodno-grzeczny—i dodał:

— Bardzo słusznie, zbyt jeszcze są młode, by je nurzyć długo nauką. Nauka połączona z zabawą nie zniechęca tak dzieci. Zapewne uczą się i czytać?

— Tak,—odrzekła cicho, bo głos jej się załamywał w gardle.

— Możnaby zobaczyć?

Wzięła elementarz i poleciła jednej z dziewczynek czytać?

Ta dosyć płynnie przeczytała kilka ustępów.

Janek pogłaskał dziewczynkę po głowie i pochwalił biegłe czytanie, co Zochę niewymownie ucieszyło.

Z uderzeniem godziny dzieci zaczęły składać tabliczki i elementarze, mniejsze chować swoje roboty i wszystko to wysypało się na środek.

Dzieci ustawiły się parami i na dany znak zaczęły maszerować w kółko, śpiewając marsza.

Najzabawniej maszerowały najmniejsze, aż się Onuferka za boki brała.

— Jakie to zmyślne, a nogi zadzierają, jakby przez rowy przechodzić mieli.

— Czy już zrozumiały gospodynie potrzebę tej ochronki i czy znajdują różnicę w zachowaniu się dzieci uczęszczających do niej?

— Bogać tam nierozumiemy. Ochronka ta jest dobrodziejstwem wsi. Gdzieżby to człowiek upilnował tego, a zamknąwszy w izbie, toby i chałupę podpalić mogło. A tu człowiek pośle i ma głowę spokojną i wie, że dzieciak jeszcze nauczy się czegoś,

Po marszu nastąpiły inne piosenki, potem zabawy przeplatane śpiewkami.

Janek stał poważny, przyglądając się dzieciom, uśmiechał się czasem zlekka, lecz nie brał udziału w ogólnej wesołości.

Onuferka, której zwykle na śmiałości nie zbywało, była też onieśmieloną, prychała tylko w kulak. gdy coś uciesznego zauważyła.

Zocha pomagała prowadzić dzieci, kierowała je w właściwe strony, lecz w śpiewach dziś udziału nie brała; nie śpiewałaby za nic.

Najkomiczniej wyglądała mała Kasia, plącząc się między starszemi, wyprzedzała je nieraz i pokazywała, jak mają co robić.

— Wikta!—wołała—tędy pselatuj, bo cię lis złapie! a gęgaj ze psecie!....

Janek porwał ją na ręce, gdy przebiegła obok niego i zapytał:

— Czyjażeś ty, „kobito"?

— Kasia Symcakowa.

Wzdrygnął się nieco, zawahał i pocałował ją w policzek, następnie doszedł do matki, postawił ją na ziemi i kazał jej dać cukierków, co zobaczywszy dziatwa rzuciła się na wyścigi, nadstawiając swoje koszuliny i wełniaczki, w które stary Siekiera wraz z żoną sypali karmelki.

Zocha teraz dopiero spojrzała na Janka i ogarnęło ją uczucie nieokreślonego lęku, a jednak nie mogła oczu od niego oderwać. Gdy tak stał nachylony nad dziatwą, twarz przybrała wyraz niewysłowionej dobroci. Rysy bólu około ust wyrównały się i całą postać przeobraziła się w jakieś nadziemskie zjawisko, dające radość i szczęście maluczkim.

Zapatrzyła się, myśli jej gdzieś odbiegły daleko i stała nieruchoma, jak posąg. Gdy Janek spojrzał w jej stronę, nie wiedziała, co się z nią dzieje, siłą woli chciała odwrócić głowę i aż zatoczyła się.

Dopiero Kasia ją oprzytomniła, gdy przybiegła uradowana, potrząsając wełniakiem:

— Patrzcie, matulu, pełną kieckę mam cukiełków!

— Daj, to ci schowam, przecie nie pójdziesz taka ugięta.

— Ale nie zjeta wszystkich?

— Nie zjem, nie bój się!

Goście się podnieśli i zaczęli wychodzić. Janek, zwracając się do kierowniczek, rzekł:

— Bardzo jestem wdzięczny i dziękuję za wzorowe prowadzenie ochronki, to dało bowiem możność przekonania wszystkich o istotnym jej pożytku. Jeszcze raz dziękuję!

I, ukłoniwszy się, wyszedł za innymi.

Onuferka jeszcze została, chcąc zobaczyć, jakie wrażenie wywołało zjawienie się Janka.

Patrzyła to na jedną, to na drugą, uśmiechała się i kiwała głową.

— Żebyśwa go nie znali od maleńkości, toby człek myślał, że to jaki mędrzec przebrany za chłopa. Tak ci uczenie mówi i tak jakoś z pańska.

— Rzeczywiście, — rzekła nauczycielka—w całym swoim obejściu ma tyle powagi, w mowie stresz-

cza się nie używając słów próżnych, że słucha go się z przyjemnością. A gdy swemi rozumnemi, głęboko osadzonemi oczyma spojrzy, to zda się, że czyta w duszy, i silne na człowieku może robić wrażenie.

— Jego bliżej trzeba poznać, by się przekonać co za człowiek. W życiu popełniamy często omyłki, biorąc szych za złoto, rzekła Zocha i omyłkę tę opłaca się potym całą doliną łez.

— Wy byśta pasowali do siebie, bo i Stachowa też teraz taka honorna, nie śmieje się z byle czego, a na tańce toby jej i wołami nie wyciągnął.

— Nie każdy tak może przetańczyć i prześpiewać życie, jak wy, Onuferko.

— Różne są talenty, jedni mają w głowie, insi w nogach; mnie bo na nogi padło, widać już pod taką planetą się urodziłam.

— Wierzycie w jakieś planety—rzekła nauczycielka—tu potrzeba trochę zastanowienia i silnej woli.

— Nas nie było, były tańce, nas nie będzie, będą tańce, świata nie przerobi.

— Ale już coraz mniej tańczą i każdy się stara czas pożyteczniej zużyć.

Południe przypomniało, że nadeszła pora obiadu. Na dany znak dzieci zaczęły się wybierać do domów, wesołe i rozradowane z pełnemi ustami cukierków.

Zocha, prowadząc Kasię za rękę, szła poważna i milcząca. W myśli przesuwały jej się obrazy minionych lat; ogarniała ją jakaś tęsknota za czemś nienazwanem a utraconem. Miała uczucie, że była w cudnym ogrodzie i wpadła w jakąś studnię, z której wydobyć się nie może. I to smutne, szare jej życie, trwać ma już wiecznie, aż do śmierci.

XXI.

W każdą niedzielę po południu urządzano próbę straży. Uczono się zwrotów, marszów, znajomości sygnałów, schodzenia z dachów po linie, szybkiego wchodzenia na drabiny i z powrotem. Na próby te przychodziły i dziewczęta, i dzieci, zwłaszcza gdy śpiewano pieśni i maszerowano, a nawet starzy chętnie przychodzili patrzeć, jak młodzież dzielnie sobie poczyna.

Straż już kilkakrotnie przyjmowała udział w tłumieniu pożarów, a odznaczyła się nawet przy pożarach w Bolimowskich lasach i w Łyszkowicach.

Pewnego wieczoru straż została zaalarmowaną z powodu wielkiej łuny, która ukazała się ponad Łowiczem. Oddział szybko się zebrał i ruszono w drogę.

Pożar wybuchł w południowej części miasta i rozszerzył się już na kilka posesji.

Przybycie straży włościańskiej powitane było życzliwemi okrzykami. Oddziałowy Gałaj, według przyjętego zwyczaju, przedstawił się naczelnikowi straży łowickiej i oddał się do jego rozporządzenia.

Straży włościańskiej polecono pilnować pożaru od strony wschodniej, rozerwać przylegające do po-

żaru drewniane budynki, by z tej strony ogień umiejscowić.

Stach pracował na równi z innymi. Beczki dowoziły wodę do sikawki sprawnie, tak, że pomoc straży włościańskiej okazała się bardzo skuteczną.

Z wielkim wysiłkiem, nad ranem dopiero, zdołano ogień opanować. Strażacy byli zmęczeni, pracując bez wytchnienia. Twarze i ręce mieli uczernione, woń spalenizny szła od nich zdaleka.

Naczelnik straży łowickiej podziękował oddziałowi włościańskiemu za pomoc i zaproponował, aby dla rozgrzania się wstąpili razem do jakiego handlu na herbatkę i zakąskę.

Nie trudno było dostać się do handlu, nikt bowiem nie spał tej nocy.

— Zanim będzie herbata, panie naczelniku,— rzekł jeden z oddziałowych łowickieh, możeby tak coś mokrego, księżacy tyli sztuk drogi przybyli, a i pracowali rzetelnie.

— Ma się wiedzieć,—wtrącił Stach — że kieliszek mokrej nie zawadzi, herbata dobra jest dla chorych.

Postawiono kilka butelek „czystej" i kolejka zaczęła obchodzić dokoła.

— Zdrowie naszych braci księżaków! — wniósł popularny pomocnik, Nowakowski, urzędnik kasowy, który chętnie zawsze zabierał głos, gdy szło o zadokumentowanie swej przynależności do demokracji i łącznej pracy z włościanami. „Niechaj zawsze pracują z nami, a my z nimi, ręka w rękę, Vivat!..,"—

—Vivat!—powtórzono chórem.

Podano następnie herbatę, bułki i wędliny, druhowie ochoczo zabrali się do jedzenia. Stach, zapoznawszy się z drugim pomocnikiem oddziałowego

straży łowickiej, świadczyli sobie godność, dolewając co chwila i prowadząc zbyt głośną dysputę.

Gałaj podszedł do Szymczaka i zwrócił mu uwagę, aby trzymał miarę i nie pił, bo byłby wstyd dla straży włościańskiej, gdyby wracała do domu nietrzeźwa.

— Nie bójcie się, wiem co robię, napracowaliśmy się rzetelnie, należy nam się wypić—rzekł Stach, mocno już podniecony. Przy ogniu służba nie drużba, ani kropelki do ust—to się wie, ale po ogniu, to niezawadzi, nie prawda, kolego?

— Sprawiedliwie druh mówi, jeszcze po jednym a może i naczelnik pozwoli z nami?

— Dziękuje, przynajmniej niech jeden z nas będzie przytomny.

I oddalił się ku grupie łowickiej straży, omawiającej kwestję zjazdu wszystkich straży w celu odbycia konkursu.

Słońce już podniosło się wysoko, Gałaj kazał dać sygnał „baczność" i zwrócił się do łowiczan:

— Miło nam było, szanowni druhowie, spędzić z wami te chwil kilka, lecz czas nam w drogę, bo każdy ma swoje obowiązki. Więc dziękujemy za gościnność i żegnajcie nam, a w razie potrzeby zawsze na nas liczcie.

— Wdzięczni wam jesteśmy za okazaną pomoc—rzekł naczelnik straży łowickiej. Jedyna nasza siła w łącznej pracy, i serdecznie uścisnął rękę Gałaja.

Gałaj, przyłożywszy rękę do chełmu, obrócił się dookoła i rzekł:

— Jeszcze raz dziękuje za gościnność. Czołem wam druhowie!

Czołem! huknęli łowiczanie, zrywając się z miejsc.

Dano sygnał i strażacy, sformowawszy się w dwójki, ruszyli na rynek, gdzie już stała sikawka i beczki gotowe do drogi.

Ze Stachem tylko był kłopot, gdyż jak zwykle chwiał się na nogach; wsadzono go na sikawkę na przodzie i oddział ruszył do domu.

Ruch już panował na mieście, wszystkie sklepy były pootwierane, gdy zagrzmiał chóralny śpiew marsza. Mieszkańcy przyglądali się życzliwie sympatycznym strażakom a ten i ów przechodzeń z dumą spoglądał na coraz bardziej uspołeczniający się lud wiejski.

Oddział minął Nowy Rynek i wszedł na Łyszkowicką szosę, po której szparko potoczyły się wozy. Stach drzemał na siedzeniu, kiwając się ustawicznie, gdy nagle na zakręcie ku wsi sikawka raptownie zjechała z szosy na niżej położoną boczną drogę, wskutek czego Szymczak stracił równowagę i runął naprzód pod koła, które przez niego przeszły.

Powstało zamieszanie, rzucono się na ratunek i podniesiono Stacha omdlałego. Krew mu się rzuciła gardłem. Poczęto go cucić wodą znajdującą się jeszcze nieco w beczkach, lecz bez wielkiego skutku.

Gałaj polecił jednemu ze strażaków skoczyć konno do wsi po brykę dla chorego, a jednocześnie wysłać drugą po doktora do miasta. Niebawem konie nadeszły, Stacha włożono na wóz i powoli ruszono ku wsi.

Wielkie wrażenie wywołała wiadomość o nieszczęściu. Najpierwszy przybył Janek Siekiera; polecił rozebrać chorego i udzielił mu pierwszego opatrunku, będąc obytym z tego rodzaju wypadkami. Okazało się, że klatka piersiowa była zgniecioną. Zarządził tymczasowo zimne okłady.

Posłano po Zochę, znajdującą się w ochronce; przybiegła przerażona i, roztrącając obecnych, stanęła przy łożu, pytając jednocześnie, czy posłano po doktora.

— Doktór niedługo nadjedzie—rzekł Janek—pierwszy opatrunek zrobiony, teraz tylko należy zmieniać zimne okłady; na razie nic choremu nie zagraża. Gdyby okazała się potrzeba, proszę przysłać do nas.

I, kiwnąwszy głową! wyszedł prędko.

Walentowa załamywała ręce i wyrzekła:

— Potrzebne mu to było, stracił zdrowie, a straż mu go nie powróci. Na taki czas chorować, a tu tyle jeszcze w polu roboty. Oj, nieszczęsna dola!...

— Dajcież, matko, spokój, w obec takiego nieszczęścia czemże są niedokończone roboty? sąsiedzi nam pomogą. Gdyby każdy z obawy przed wypadkiem siedział w domu i do niczego nie należał, wszystkoby się zatrzymało i stanęło w pochodzie.

Przybyły doktór zbadał szczegółowo chorego. Obrażenia klatki piersiowej były bardzo poważne i wymagające długiej kuracji. Przepisał stosowne lekarstwa i za trzy dni kazał przysłać po siebie konie. Zocha energicznie zajęła się chorym, wiedziała, że tu lamenty nic nie pomogą, że trzeba działać. Zawiadomiła ochroniarkę, że nie może przychodzić, musi bowiem pilnować chorego męża.

Walentowa tylko, zwyczajem wszystkich wiejskich kobiet, ustawicznie biadała, co widząc mała Kasia też popłakiwała, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

Przybiegła i Onuferka, załamała ręce dziwiąc się, że chłop jak lew i tak go wzięło.

— Chociaż, prawdę powiedziawszy—mówiła—to i Stachowa też wina, bo jak powiadają był nietrzeźwy i spadł pod sikawkę.

— Co też gadacie—ofuknęła Walentowa—skądżeby z samego rana?

— Ja przy tym nie byłam, ale ludzie mówią, że po ogniu łowiczaki wzięli ich na poczęstunek, a Stach, jak to wiecie, nie wierz gębie, połóż na zębie, jak wódkę zobaczy, to przepadł.

— Nieszczęście ta wódka—rzekła Zocha—iluż ona ludzi zgubiła.

Przyszedł także Gałaj odwiedzić chorego i dowiedzieć się o lekarskiej opinji. Jednocześnie oświadczył, że Janek mu kazał zbadać, co jest do zrobienia jeszcze w polu, to przyśle swego parobka. Ale teraz nie pora ze Stachem o tym rozmawiać, niech mu się trochę polepszy. W każdym razie o polne roboty się nie kłopoczcie.

— Poczciwy Janek, jak on o wszystkim pamięta,—rzekła Walentowa.

— Wieś powinna Bogu dziękować, że takiego ma opiekuna, cobyśmy biedne sieroty zrobiły bez niego—rzekła z rozrzewnieniem Onuferka.

— Gadacie ciągle—rzekł Gałaj—że dobry, że poczciwy, a nie postaracie się, żeby go wyswatać, może wtedy nie byłby taki poważny, i zamyślony.

— O jej! nim toby i królewna nie wzgardziła, a w naszej wiosce nie widzę ani jednej, co by do niego podchodziła.

— Nie to co ładne, tylko co się komu podoba—rzekł sentencjonalnie Gałaj. Panu Bogu oddaję, a gdy będziecie czego potrzebowali, to dajcie znać.

— Dziękuję wam z duszy całej za życzliwość— rzekła Zocha—bo teraz to nawet człowiek i głowy niema do myślenia.

Onuferka też się wysunęła za Gałajem. Walentowa zabrała Kasię do krów, Zocha sama została w izbie, dała choremu lekarstwo, gdyż się przebudził na chwilę, siadła obok łóżka i pogrążyła się w zadumie.

XXII.

Po powrocie swoim z Ameryki Janek Siekiera streścił w jednym z popularnych pism smutne warunki, w jakich znajdują się emigranci, wskutek czego Towarzystwo opieki nad wychodżcami zwróciło się do niego z prośbą, by zechciał za pomocą pogadanek, uświadamiać włościan najbliższych wiosek o smutnej doli naszych w Ameryce.

Janek chętnie się zgodził, tymbardziej, że sam miał ten zamiar, by powstrzymywać coraz bardziej wzmagające się wychodźctwo. Zwrócił się do proboszcza, jako prezesa Związku robotników chrześcjan o wynajęcie sali towarzystwa na pogadankę na jedną z niedziel. Salę otrzymał bezpłatnie, zaś koszta ogłoszeń związek przyjął na siebie, ponieważ przedmiot był ciekawy i powinien zainteresować w równej mierze i robotników.

Na kilka dni przed niedzielą rozlepiono po mieście i rozesłano po gminach zawiadomienia o pogadance na temat emigracji. Zainteresowanie było ogromne, zarówno na wsi jak i w mieście, bilety w prędkim czasie rozebrano.

Wszyscy sąsiedzi Janka wybierali się na odczyt, nawet i kobiety, które w ogóle na odczyty niechętnie chodziły—objawiły chęć pójścia do Łowicza.

Zocha, śledząca za ruchem umysłowym we wsi, przeczytała afisz i rzekła do matki:

— Chciałabym pójść na nieszpory w niedzielę i być na tej pogadance; możebyście, matko, mogli posiedzieć przy chorym do mego powrotu.

— Ależ chętnie, dulczysz tu kamieniem, należy ci się. Stachowi jest trochę lepiej, to my go z Kasią dopilnujemy.

Chory się przebudził wskutek ataku kaszlu, który mu sprawiał silny ból w piersiach.

— Wyjdę na nieszpory—rzekła Zocha — i pójdę potem na pogadankę, matka tu przy tobie posiedzi.

— A leć, leć, już ci nadojadła moja choroba; widzę, żebyś się nawet z postronka zerwała, byle jeno lecieć.

— Jeżeli ci się to niepodoba, to zostanę.

— A czemuż nie miałaby pójść? Kobieta siedzi już parę tygodni jak mur, krokiem się nigdzie nie ruszy, tożby nawet była obraza boska, gdyby do kościoła nie poszła.

— Do kościoła nie mówię, ale łażenie po teatrach...

— To nie żaden teatr, a pogadanka o Ameryce, będą wszyscy gospodarze naszej wioski — rzekła Zocha.

— A róbta sobie, jak chceta—i odwrócił się do ściany.

Po chwili regularny oddech zwiastował, że chory zasnął.

— Idź, Zocha! przelecisz się trochę.

— Nie chciałabym go drażnić. Obudzi się będzie się irytował, a to mu zaszkodzi.

— On teraz zasnął, a przecież długo to nie potrwa.

— Zawsze z nieszporami parę godzin zejdzie, a prawdę mówiąc, chciałabym posłuchać coś o Ameryce; zawsze wiadomości takie choćby dla drugich przydać się mogą.

Poczęła się wybierać, Kasia porwała się z ziemi i zaczęła prosić matkę, by ją ze sobą zabrała.

— Zostaniesz z babką, by pilnować ojca, ja wrócę niedługo i przyniosę ci piernika, tylko siedź w chałupie.

— Ale płędko przychodźcie, będę ciągiem na was cekać,—i rzuciła się matce na szyję.

Gdy wyszła, ruch jeszcze panował we wsi, gromadkami szli ludzie w stronę Łowicza. Przyłączyła się do Gałajów, którzy szli pieszo, by i koniska sobie przy niedzieli wypoczęły.

— Pochwalony! — może przyjmiecie mnie do towarzystwa, bo samej nijako tak iść.

— W kompanji zawsze lepiej. Starzy z Jankiem pojechali końmi, myśwa się wybrali piechotą. A jakże się wasz chłop miewa?

— Niby tak na ogół lepiej, lecz gorączka nie ustaje i kaszel się wzmaga.

— Żeby się suchoty nie chciały przyplątać.

— Też trzeba nieszczęścia, że to na niego padło. A niecierpliwi się, trudno mu dogodzić.

— Dopust boski, człowiek niewie dnia ani godziny.

—A gdzież tak sąsiedzi uroczyście podążają, na nieszpór pewno?—rzekła, zbliżając się, Onuferka— może i ja się przysiądę na wasz wózek.

— A no siadajcie, tylko dajcie postronka, to was pociągniemy, bo tak niedaleko zajedziecie.

— Nie uciągnęlibyśta. Ja się wybrałam na czytanie, co Janek ma mieć w związku. Wszyscy idą, dla czego nie pójść. Zawsze się coś nowego usłyszy.

— A i my też, moc narodu ciągnie.

Po drodze mijały ich wozy i ludzie piesi. Jedni dążąc na nieszpory, inni na pogadankę.

Po skończonych nieszporach tłum zaczął się gromadzić przed domem stowarzyszenia. Bilety sprzedawano przy wejściu, lecz trudno się było dotłoczyć.

Z ledwością Gałaj dostał bilety i wszyscy czworo zasiedli w środkowych krzesłach. Pierwsze rzędy były zapełnione przez miejscową inteligencję.

Gwar był wielki, włościanie rozmawiali głośno, tłoczyli się, szukali swoich numerów; porządku pilnowali członkowie stowarzyszenia robotników, ozdobieni kolorowemi kokardami. Osoby opóźniające się mogły już tylko stać na sali poza krzesłami.

Po pewnym czasie odezwał się dzwonek, podniosła się zasłona i cisza zapanowała na sali. Z boku wyszedł Siekiera i ukłoniwszy się zgromadzonym, stanął przed pulpitem.

Oklaski powitalne rozległy się z pierwszych rzędów, włościanie też nie żałowali rąk, co wywołało formalną burzę.

Janek stał blady, oparty ręką na zeszycie i czekał dopóki zebrani nie uspokoją się. Sala powoli zaczęła milknąć; gdy powstał z pierwszego rzędu proboszcz i dał znak ręką, cisza zapanowała głęboka.

Prelegent, opanowawszy chwilowe wzruszenie, zaczął mówić powoli głosem dźwięcznym i dobitnym o emigracji, przyczynach wywołujących ją i środkach zapobiegawczych.

— „ Z naszego kraju,—mówił między innemi,— przeważnie trzy kategorje ludzi emigruje do Ameryki. Pierwsze miejsce zajmują włościanie małorolni i zagrodnicy, którzy, nie mogąc się wyżywić na szczupłym kawałku posiadanej ziemi, a mając przywiązanie

do niej i nie chcąc pracować na innem polu, sprzedają swe działki, a za otrzymane pieniądze nabywają ziemię za oceanem, lub ją otrzymują na prawach odrobkowych: ci wyjeżdżają z rodzinami na stałe i rzadko kiedy powracają".

„Drugą kategorję wychodźców stanowią włościanie również małorolni lub synowie gospodarzy, chociaż i posiadających większą ilość gruntu, lecz nie mogących znaleźć na nim dostatecznego oparcia. Z tej kategorji wyjeżdżają zwykle młodsi synowie. Pozostawiają oni w kraju rodziny, zaprzęgają się do iście Syzyfowej pracy, żyją oszczędnie, odmawiają sobie wszystkiego, i każdy zaoszczędzony grosz odsyłają do kraju na kupno ziemi. Jak wydajną jest ich praca, świadczą cyfry: W ostatnich latach do powiatów Łowickiego, Kutnowskiego, Kolskiego i innych, gdzie ruch emigracyjny jest wzmożony, wpływa corocznie przecięciowo po sto tysięcy rubli, które to sumy obracają się przeważnie na kupno ziemi. Ludzie tej kategorji są najlepszymi synami ojczyzny. Każda ich myśl, każdy czyn, są skierowane ku tej matce ukochanej, żyją jedynie nadzieją powrotu do niej i za największe nieszczęście uważaliby umierać na obczyźnie".

„Trzecią kategorję stanowią wychodźcy z miast, rzemieślnicy, kupcy, robotnicy i ludzie bez określonych zajęć lub wykolejeni. Wielu z nich stanowią dzielne jednostki, które ze względu na swą pracę społeczną, lub przekonania polityczne, muszą szukać schronienia i bezpieczeństwa na obczyźnie, którego im własna, ukochana, lecz skrępowana matka—dać nie mogła.

„Najnieszczęśliwsi jednak są ci, którzy z rodzinami i dziećmi, obałamuceni fałszywemi obietnicami

ajentów, że darmo dostaną ziemię, porzucają na zawsze ojczyznę, Ajent za każdego dostarczonego kompanji przewozowej emigranta, otrzymuje pewną z góry oznaczoną sumę. Z chwilą wejścia emigranta na statek, rola ajenta ustaje, a nieszczęśliwy człowiek pozostawiony jest własnemu losowi.

„Pomijam straszne obrazy podróży, gdzie pod pokładem setki ludzi tłoczy się w zaduchu, są nędznie odżywiani z choremi dziećmi, toczeni przez robactwo, liczą godziny wyzwolenia do owej obiecanej ziemi".

„Lecz po wylądowaniu rozpoczyna się dopiero kalwarja nieszczęśliwego narodu. W nędznych barakach oczekiwać muszą całemi tygodniami, zanim zjawi się komisarz, który ich powiedzie na oznaczone parcele.

„Ci co posiadają znaczniejsze sumy, mogą przynajmniej nabywać kolonjc w stanach północnych Ameryki, liczniej zaludnionych, zamożnych. Nabywają parcele w sąsiedztwie siebie, znajdują tam już zagospodarowanych ziomków i, mając zapewniony zbyt produktów w najbliższych miastach, powoli dochodzą do dobrobytu. Jakkolwiek ci nie zatracają łączności z ziemią ojczystą, lecz z konieczności zapisują się do instytucji tutejszych, dzieci posyłają do szkół miejscowych, gdzie uczą się języka angielskiego. Powoli i rodzice przyswajają sobie ten język i stają się obywatelami amerykańskiemi. Walka o byt absorbuje ich, a lokalne sprawy coraz bardziej odrywają pamięć od rodzinnego kraju. Dzieci ich, zżywając się w szkole i po za domem z dziećmi tuziemców, władają już biegle językiem miejscowym, lecz za to język ojczysty w rodzinie coraz bardziej ubożeje i wiele wyrazów zastępuje się obcemi.

Przychodzą jeszcze na nich nieraz chwile tęsknoty za krajem, zwłaszcza w momentach nieszczęść losowych, niekiedy nawet powracają do swoich, niemniej jednak Ameryka stała się dla nich drugą ojczyzną".

„Inaczej rzecz się ma z wychodzcami, którzy wyjeżdżają zachęceni obietnicami otrzymania ziemi na warunkach bezpłatnych, odrobkowych, lub częściowej spłaty. Tych wysyła się przeważnie w głuche puszcze południowej Ameryki, głównie do Brazylji. Ile ci ludzie przecierpieć muszą zanim dostaną się na miejsce, trudno jest opisać".

„Otrzymują działki w puszczach, gdzie ludzka noga nie postała, gdzie drapieżne zwierzęta i gady czyhają na każdym kroku. Tu człowiek rozpoczyna walkę z przyrodą na śmierć i życie o każdą piędź ziemi. Trawy i pnącze tak twarde i ostre, że przecinają ręce. Korzenie tkwią głęboko w ziemi, że wyrwać ich nie sposób, a tak poplątane ze sobą, że rydel nie wchodzi w ziemię, którą oskardami rozrywać trzeba.

A cóż tu mówić o drzewach. Olbrzymy, których trzech ludzi objąć nie może, co wieki całe przetrwały, urągają człowiekowi. Ten król stworzenia, uzbrojony siekierą, stanął u stóp olbrzyma, spojrzał na wierzchołek, na olbrzymi pień, splunął w dłonie i uderzył siekierą. Siekiera odskoczyła jakby od stali. Próbował poderżnąć go piłą — łamią się zęby, wreszcie oskardem starał się podkopać korzenie i zwalić. Gdzie tobie, biedaku, do tego! korzenie tkwią tak głęboko i rozłożyście, tak się poplątaiy ze sobą, że jedno drzewo drugie trzyma.

„Biedny wygnaniec jeszcze nie ustępuje. Toć ta ziemia będzie potem moja i moich dzieci na wieczne czasy—powtarza sobie, i kopie dalej. Zawziął się,

pot leci strumieniem, rąk już wyprostować nie może, a olbrzym stoi!

„Wzywa towarzyszy do pomocy, by wspólnie walczyć z puszczą; pomagają sobie, dodają otuchy, lecz coraz bardziej tracą wiarę w siebie. Byle choć trochę oczyścić, byle zasiać na pierwsze potrzeby.

„I zasiał na tym kawałku, krwią i potem użyźnionym. Lecz zaledwie pokazały się delikatne wschody zboża, żarłoczne czerwie zniszczyły je do cna. Kukurydza i soczewica jedynie plon wydały".

„Nędzne, sklecone na prędce chaty nie zabezpieczają od upałów. Skromny inwentarz, kupiony za ostatni grosz, stoi w szałasie ze zwieszonemi łbami, wychudły. okaleczony przez zjadliwe owady, skóra na nim tworzy jedną zeskorupiałą ranę. Kropli mleka nawet dla dziecka krowa dać nie może, nieodżywiana należycie.

„Ileż to nocy bezsennych ci biedni ludzie spędzą na rozmyślaniach o tej szczęśliwej porzuconej ziemi, o tych soczystych trawach i ziołach, które i bydło i konie chrupały, wesoło rżąc i porykując. Nieraz marzą o widzianych we śnie łąkach, zdrojach i runach zbóż. Gdy otworzą oczy i ujrzą tę niewdzięczną ziemię, to taki ból chwyta za serce, że ci ludzie z żelaza, co ich nic złamać nie mogło, w sekrecie przed sobą łzy ocierają".

„Wreszcie, utraciwszy nadzieję zmożenia tej dzikiej przyrody, rzucają wszystko i idą przed siebie szukać przyjaźniejszych warunków. Zbierają się w gromadki by łatwiej radzić sobie, i przedzierają się przez puszczę, by natrafić na jaką kolonję i choć za samo pożywienie wynająć się do roboty.

„Nieraz tygodnie całe brodzą o głodzie, bez kropli wody, znajdując wszędzie po drodze ślady swoich

poprzedników. Coraz to natkną się na mogiłkę, nad którą wisi przywiązany do drzewa strzępek księżackiego wełniaka—to nasi tam byli i tak wszędzie swemi kośćmi ślad znaczą po tej niegościnnej ziemi.

„Niekiedy napotyka się całą wymarłą kolonję z mogiłkami, a tylko jeden ogryziony szkielet i leżący obok szmat pomarańczowo-zielony świadczy, że tu ostatni padł księżak i nie miał go już kto pogrzebać".

„Te straszne widoki potęgują grozę położenia. Nieszczęśliwi biedacy własnemi rękoma grzebią szczątki ostatniego ziomka i, odmówiwszy wspólny pacierz, idą dalej by prędzej wyrwać się z tego piekła. Jedna już myśl ogarnęła wszystkich, by nająć się do jakiejkolwiek pracy, aby na szyf-kartę zarobić, powrócić do kraju i tam paść krzyżem przed Najświętszą Matką Częstochowską, że pozwoliła zobaczyć jeszcze tę poświęconą ziemię i że kiedyś będą mogli spocząć w niej obok swoich ojców i dziadów.

„Tą tylko żyją myślą i ona wiedzie ich przez jeszcze dziksze skały. Umierają z pragnienia i głodu, ślad znacząc za sobą nowemi mogiły. Starzy zahartowani ludzie przenoszą jeszcze trudy tej niedoli, lecz dzieci zawsze padają ofiarą klimatu; najwięcej ich zabiera febra. Jaka rozpacz biednych matek, gdy zostawiają po drodze swoje maleństwa, wiedząc, że nigdy już nie będą mogły nawet pacierza zmówić nad pustynną mogiłką dziecka, które karmiły krwią swej wyschłej piersi, bo pokarmu już tam nie było".

— Jakie to straszne! szepnęła do Zochy Onuferka, że też to ludzie tak muszą cierpieć.

Zocha nic nie odpowiedziała, tylko słuchała nieruchoma, jak w obraz zapatrzona w mówiącego. Te kilka lat przeżytych snem jej się zdało. Widziała

tylko jego, jak dawniej, mówiącego dla niej jedynie, gdy siedli na przyźbie, zapatrzonego w nią, wysnuwającego swe myśli, które jak perełki nizał na sznurku, aby tylko ją zająć, kształcić i oświecać. Ileżby dała za to, żeby mogła tak zawsze go słuchać.

Cisza panowała na sali, prelegent widocznie owładnął słuchaczami. Włościanie starali się nie uronić żadnego słowa.

„Trzecia kategorja wychodźców, o której wspomniałem—mówił dalej,—rekrutuje się przeważnie z miast. O ile dwie pierwsze stanowią zwartą masę naszego narodu o jednakowych dążeniach i celach, o tyle trzecia kategorja składa się z różnorodnych jednostek, stojących do siebie wprost w odwrotnym stosunku. Duży procent tworzą żydzi, lecz ci przeważnie zajmują się handlem, jadą tam na pewno, znąjdując pomoc i opiekę u swoich współwyznawców. Po nich idą rzemieślnicy i robotnicy. Tu już wyjeżdżają jednostki silne, przywykle z życiem rachować się twardo, często nawet zdolni rzemieślnicy znajdują tam odpowiednie pole do pracy i są należycie wynagradzani; dorabiają się nawet pewnych fortun, o ile są oszczędni. Ci pomagają swoim rodzinom w kraju, a nawet sprowadzają je do siebie. Robotnicy ci, jako wytrwali i zdolni, wszędzie znajdują pracę i chętnie są poszukiwani, wbrew twierdzeniu, jakoby polacy nie mieli wytrwałości i nie dość byli systematyczni".

„Znaczny stosunkowo procent stanowią też ludzie bez określonych zajęć, różni awanturnicy, często nie będący w zgodzie z kodeksem karnym. Ci nie są tam bardzo pożądani, lecz mimo to rzucają się na różne przedsiębiorstwa, szantaże, zakładają szynki, piwiarnie i niektórzy z nich nawet do wielkiego dochodzą majątku".

„Są też między niemi i ludzie nieszczęśliwi, prześladowani od losu i tam zaczynają budować na nowo swe warsztaty pracy; zakładają sklepy i nauczeni doświadczeniem, dorabiają się fortuny i nie chcą już znać swej ojczyzny, iecz chętnie widzą tam rodaków i życzliwie im pomagają".

„Wielkim cieszą się uznaniem zarówno rodaków jak i miejscowej ludności wychodźcy, zmuszeni szukać schronienia przed prześladowaniem za swe przekonania polityczne. Ci pracują wszędzie, gdzie się zdarzy, i biorą żywy udział w polskich instytucjach i stowarzyszeniach, uświadamiają wszystkich o losach ojczyzny, budząc miłość ku niej i tę wieczną tęsknotę za nią, która nurtuje w sercu każdego emigranta, aby choć raz jeszcze w życiu, chociażby przed śmiercią, zobaczyć tę jedyną, ukochaną i nieśmiertelną".

„Emigrację u nas wywołuje smutny ekonomiczny stan naszego kraju. Fabryki nasze po większej części należą do obcych, popierających jedynie swoich współwyznawców. Handel cały również jest w obcych rękach i zalewa nasz kraj zagraniczną tandetą, niepozwalając rozwijać się rodzimemu przemysłowi, i tysiące rąk, które mogłyby pozostać w kraju, szukają pracy na obczyźnie".

„A, jednak, ileż roboty czeka na nas tutaj, gdybyśmy chcieli i mogli robić to, co powinniśmy. Wtedy ani jeden człowiek nie potrzebowałby dla chleba tułać się po dzikich pustyniach i puszczach. Regulowanie rzek, kopanie kanałów, osuszanie błot, zalesianie nieużytków i lotnych piasków, użyźnianie i drenowanie gruntów, budowanie szos i dróg żelaznych, wszystko to czeka na nas, wszystko to potrzebuje rąk wytrwałych i silnych".

„Może nadejdzie czas, że będziemy mogli te wszystkie zamierzenia wprowadzić w życie, tymczasem bierzmy się do łatwiejszych poczynań, do tych, co od nas zależą. Ziemia nasza uprawiona dobrze, może wyżywić jeszcze raz tyle narodu. Fabryki nasze również mogą dobrze wynagradzać uczciwą i sumienną pracę".

„Jak pracować trzeba, uczymy się dobiero na obczyźnie: w Ameryce lub Prusach; płacą tam lepiej lecz czego żądają wzamian, niech powiedzą ci, którzy tam byli. My tam dopiero umiemy pokazać, że nie jesteśmy gorsi od innych, tam wykonywamy samodzielnie pracę, na którą tutaj kilku składało się ludzi. Uderzmy się w piersi, nasza wina, żeśmy tu nigdy pracy nie brali na serjo, tu nas pilnować trzeba, a tam takiego robotnika wyrzucają precz od siebie, jako rzecz nieużyteczną".

„Więc najprzód starajmy się zająć u siebie wszystkie posterunki, pomagajmy sobie, wynajdujmy pracę jedni dla drugich, by nie słać braci na poniewierkę i zagładę".

„Góral dla chleba schodzi w doliny, bo jego skały nie mogą go wyżywić. a jednak ciągle tęskni do nich i bez nich umiera. Nasza ziemia jest płodna i sowicie wynagradza siewcę; więc zgodnie a społem pracujmy tutaj. nie szukajmy szczęcia za morzami. Te po brazylijskich stepach bielejące kości naszych braci księżaków są wiecznym wyrzutem, dlaczego nie daliśmy im pracy; dlaczego nie zapewniliśmy im tutaj środków do życia?".

„Śpijcie spokojnie tam za morzami, biedni męczennicy! my wasze dzieci uchronimy od losu, jaki był waszym udziałem, i gdy prochy wasze kiedyś przyniesie wicher z za Atlantyku, znajdziecie tu i

niwy bujniejsze, i miasta kwitnące, i nas wszystkich miłujących się wzajem"...

Skończył i ukłonił się zgromadzonym, lecz cisza głęboka trwała dalej, jak gdyby słuchacze byli zahypnotyzowani. Nareszcie z pierwszego rzędu rozległy się oklaski i dopiero cała sala zagrzmiała burzą.

Z pierwszego rzędu młoda panienka rzuciła na prelegenta wiązankę kwiecia, w ślad za nią posypały się zewsząd kwiatki, które wiejskie dziewczęta odejmowały od staników i chustek na głowie.

Podszedł do niego ks. kanonik i uścisnąwszy mu rękę, rzekł:

— Zrobiłeś nam, panie Janie, miłą niespodziankę, mówiłeś tak zajmująco, że wszyscyśmy cię z przyjemnością słuchali. Mam nadzieję, że częściej będziemy cię tu widzieli.

— Rad jestem, że moja skromna pogadanka zwróciła uwagę szanownych państwa i, gdy się okaże kiedy potrzeba, chętnie będę służył wedle sił moich.

— Bardzo prosimy, panie Siekiera—rzekli, otaczając go kołem, inteligenci miejscowi, takich nam potrzeba i polecamy się pamięci.

Dziękowali mu uprzejmie jedni przez drugich. Publiczność powoli zaczęła się rozchodzić; siedzieli tylko na miejscach sąsiedzi Janka, uważając, że mają prawo pozostać, kiedy ich Siekiera jest jeszcze na sali.

Janek z wiązanką kwiatów w ręku przecisnął się do matki i, podając jej bukiecik, rzekł:

— Macie, matko! jesteście jedyną niewiastą, której mogę ofiarować te kwiaty.

Był wesoły i uśmiechnięty jak rzadko, lecz, dojrzawszy nieopodal siedzącą Zochę, spoważniał nagle i ukłonił jej się.

Odkłoniła mu się i spuściła oczy, wstydząc się, że zauważył jej zapatrzenie się w niego, podniosła się i zaczęła wychodzić. Za nią ruszyli inni.

— Patrzajta, sołtysie — rzekła Onuferka — taki Siekiera, jest niby we wsi jak każdy inny gospodarz, a tutaj był najpierwszy.

— No i we wsi—rzekła Zocha—chyba jest najpierwszy podług rozumu.

— Tak to i jest, ale ludzie we wsi nie zważają na to i patrzą jak na każdego innego chłopa, a tu w mieście, to przecie i uczeńsi i bogatsi, a uszanują bardziej choćby i Janka.

— A bo widzita nikt nie jest prorokiem we własnym kraju—odrzekł sołtys—dopiero gdzie indziej ludzie się na nim poznają, co to za człowiek, to wtedy i swoi zaczynają się przekonywać do niego. Bo skądżeby w tej samej wsi i w takiej samej chałupie miał się urodzić inszy człowiek niż my.

— Macie, sołtysie, rację—rzekła Zocha—zawsze tak było, że dopiero ludzie poza krajem dochodzili do sławy i znaczenia, bo wrodzona zawiść i zazdrość ludzka nie dopuszczała wyróżniać kogoś z pośród siebie, każdy mówi wtedy, czymże on ma być lepszym odemnie, on może być wójtem, to i ja mogę i dalejże stawać na wyborach okuniem.

Wyszli na szosę. Zocha szła poważna i milcząca, nie biorąc już udziału w rozmowie.

Jak on surowo spojrzał na mnie — myślała— chyba że mi już nigdy nie przebaczy. Jak to dziwnie układa się życie. Dlaczego człowiek często jest jak niemowlę i nie wie, jaką obrać drogę, idzie na oślep z zamkniętemi oczyma i wpada w przepaść, łamiąc sobie życie.

XXIII.

Zdrowie Stacha nie polepszało się wcale, ból w piersiach nie ustawał i gorączka się wzmagała. Zocha na przemiany z matką czuwała przy chorym, który coraz bardziej był niecierpliwym i wszystko go drażniło. Gospodarstwo było w zaniedbaniu i tylko dzięki Gałajowi porobiono najważniejsze w polu roboty; potrzeba pomocy ciągłej okazała się konieczną, musiano więc nająć parobka na stałe. Posiadane środki powoli zaczęły się wyczerpywać i Walentowa z trwogą myślała, co będzie dalej.

Mała Kasia sama chodziła do ochronki, zaś po południu pomagała babce i ona jedna była jasnym promykiem, rozświetlającym ponure życie w Szymczakowej chacie.

Janek teraz pracował bez wytchnienia, biorąc żywy udział we wszystkich społecznych pracach, nie tylko w swojej wsi, lecz i w gminie, a nawet często zapraszano go do różnych komisji w Łowiczu jako delegata.

Inteligencja jego, szybkie orjentowanie się, praktyczny zmysł i powszechne zaufanie czyniły go niezbędnym wszędzie. Jakkolwiek dążył stale do wyzwolenia handlu z rąk żydów i popierał wszystko

co swojskie, surowo jednak gromił wszelkie bezprawia i gwałty, czynione żydom, którzy go szanowali jako sprawiedliwego i dobrego człowieka.

Stale zasilał swemi pracami miejscowy tygodnik w Łowiczu, już to z dziedziny obyczajowej, gospodarstwa wiejskiego, lub rzucając pożyteczne projekty, które należałoby w czyn wprowadzić.

Zajęty sprawami ogólnemi, nie miał czasu myśleć o sobie. Matka niepokoiła się nawet tą jego obojętnością na wszystkie osobiste sprawy. Gdy inni starali się każdą chwilę wyzyskać dla uciechy i zabawy, on jeden tylko zachowywał zawsze powagę i spokój, nie biorąe udziału w ogólnej radości.

Dziewczęta okoliczne, jakkolwiek zawsze ciekawemi rzucały na niego oczyma i poprawiały sobie korale i chustki na głowie, gdy przechodził, jednak przestały go uważać za kandydata, z którym znajomość bliższa przydaćby się na coś mogła. Był dla nich grzeczny i uśmiechnął się nieraz do której, lecz zawsze trzymał się zdaleka.

Przychodziły i swatki do starej, rając piękne i bogate dziewuchy, matka nieraz napomykała ostrożnie, że powinienby ustalić sobie życie, przecież tak wiecznie samotnym na świecie nie dobrze być człowiekowi.

— Moja matuś—odpowiadał—małżeństwo to jest rzecz wielka, to jest wiązanie się dwojga ludzi na zawsze. Gdy widzę dokoła, jak ludzie żyją ze sobą, jak się wzajemnie okłamują, zwłaszcza gdy się niedobiorą, odchodzi wtedy ochota. Przytem tyle jest pracy dla drugich, że nie ma czasu myśleć o sobie. Wreszeie, dobrze mi jest z wami. Wiem przynajmniej, że jest na świecie takie jedno serce kobiece, które nigdy nie zdradzi—to serce matki.

Doszedł do niej i przycisnął do ust jej spracowaną rękę. Objęła go serdecznie za głowę i ucałowała to przedwcześnie zmarszczkami poorane czoło.

— Jaśku mój złoty! jabym ci nieba przychylić rada. Modlę się codzień o błogosławieństwo dla ciebie. Dobrym jesteś synem i nie może to być, aby ci Pan Bóg nie dał szczęścia.

Szczęście mieszka w nas samych, w spełnianiu obowiązków i w czynieniu innych szczęśliwymi.

— Zawsze tylko mówisz o innych, a nigdy nie wspomnisz o sobie.

— Mnie dobrze jest z wami, a i ludzie są coraz lepsi. Wreszcie, co tam.

I, machnąwszy ręką, wychodził z chaty, kierując się nad strugę płynącą poza łąką. W tym miejscu ziemia wznosiła się pagórkowato, brzegi potoku były ocienione olszyną i wierzbą, poplątaną od dołu jerzynami i dzikim chmielem. Kładka wiodła na drugą stronę, gdzie na pochyłości kilkadziesiąt młodych drzewek sosnowych dawało chłód i cień; dalej, jak oko zasięgło, mieniły się różnokolorowe kwadraty obsianych włościańskich poletek.

Lubił to miejsce i często tam przesiadywał, gdy miał wolną od pracy chwilkę. Tu mu już nikt nie przeszkadzał, rzadko kto tu zachodził, droga do poletek wiodła z innej strony, od traktu. Tędy tylko piesi mogli się do swych pól dostawać. Siadywał nad tą jedyną w tej stronie strugą, wpadającą do Bzury pod Łowiczem, i patrzył na szemrzącą po kamykach wodę.

— Ot i takie to ludzkie życie — dumał—płynie, płynie jak ten strumyk, aż zniknie w odmętach wieczności. Wszystko przemija, tylko ludzka pamięć trwa i nie pozwala wyrwać z serca przeszłości bolesnej.

Zocha!.. zdawało mi się, że tam, pomiędzy innymi ludźmi, w innych warunkach, w ciężkiej pracy, będę mógł zapomnieć o niej. Nie, nie mogę!.. Napróżno wywołuję w pamięci tę straszną chwilę, by jej nienawiścią w twarz rzucić. Wolałbym, aby szalała w tanecznym kole jak dawniej, była otoczoną rojem wielbicieli, pustą jak bańka mydlana, mógłbym przynajmniej nią pogardzać!.. Co się ze mną dzieje?.. Złość zakrada mi się do duszy!...

— Więc zamiast się cieszyć, że stała się wzorową żoną, matką i pracowitą niewiastą, kształci się, pożytek niesie i każe się ludziom szanować, ja pragnę jej upadku!... Jak słabym stworzeniem jest człowiek. Więc miłowanie polega jedynie na posiadaniu; gdy przedmiotu miłości nie możemy posiąść, chcielibyśmy strącić go w błoto — niech zginie!... A przecież miłość jest uczuciem najszczytniejszem uszlachetniającem, podnoszącem człowieka, miałażby tylko we mnie budzić uczucie nienawiści i gniewu? radować się winienem, że ta, którą tak wysoko postawiłem w swym sercu, zasługuje na szacunek ludzki i godną jest tej miłości. A jednak nie mogę jej zapomnieć; zdruzgotania mego życia przebaczyć nie mogę!.

Zamyślił się głęboko, zapatrzony w nieuchwytną dal, cisza była w naturze, strumyk tylko od czasu do czasu szmerem swym zdradzał życie, łątki i skoczki świerkały i dzwoniły w nadbrzeżnych sitowiach i tatarakach, aż nagle ryk powracającego z pola bydła wyrwał go z zadumy.

Ocknął się, zmarszczył brwi i, podnosząc się, rzucił:

— Precz duszące mnie zmory, precz myśli o niej. Mur, jakim się otoczyła, wychodząc za drugiego rozdzielił nas na zawsze.

Skierował się ku kładce i ociężałym krokiem powlókł się ku wsi. Dawno nie czuł takiego smętku i zniechęcenia.

Pomiędzy opłotkami wyminęła go mała dziewczynina w wytartym wełniaczku, boso, w kraciastej chusteczce na głowie, wesoło podskakując na jednej nodze i przyśpiewując:

Tańcowała łyba z łakiem,
A pietłuska z pastełnakiem,
Cebula się dziwowała,
Ze pietłuska tańcowała!...

Nagle przysiadła na ziemi i poczęła sobie oglądać nogę, wołając: o jej! o jej! i gdy ujrzała kroplę krwi, zaczęła jeszcze głośniej zawodzić.

Janek zatrzymał się i, poznawszy Kasię Szymczakową, zapytał:

— Co ci się to stało?

Zadła mi pewno wlazła. O jej! kłew! tak boli, o jej!

— Nie płacz, zadrę ci wyjmę.

Podniósł ją z ziemi i posadził na płocie.

— Nie mogę dojrzeć, zabrudziłaś sobie nożyny. Czekaj, wezmę cię do izby, to ci zadrę wyjmę.

Wziął ją na rękę i skierował się ku swej chacie. Dziewczynina pochlipywała, lecz nie opierała się, poznała gospodarza, co jej w ochronie dał tyle cukierków.

— Przynoszę kalekę—rzekł do matki—trzebaby jej pomóc. Dajcie trochę ciepłej wody na miskę, skaleczyło się biedactwo.

— Dyć to Kasia Szymczakowa! Co ci to, chudziaczku?

— Podskakiwała sobie na drodze i coś jej weszło w nogę.

Janek posadził ją na stole i jął myć nożyny w cicpłej wodzie z mydłem, następnie opatrzył skaleczenie i wydobył kawałek szkła. Gdy zaczął krew wyciskać, Kasia spojrzawszy na ranę, jeszcze bardziej zawodziła.

— Och! jak stłaśnie boli!...

— Nie patrz na nogę, tylko na ścianę, albo na ten obrazek, to cię mniej będzie bolało.

— Dajcie, matko, czystą szmatkę płócienną do owinięcia.

— A teraz cię już nie boli?

— Nie, jak patsyłam na panjezusa, to nie bolało.

Obandażował jej stopę i dla otarcia łez poczęstował piernikiem.

Dziewczynina z uciechą wyciągnęła ręce i zaczęła jeść.

— No, musę juz iść do chałupy, do roboty.

— A cóż ty robisz?

— Gadzinę idę z babką opsątać, dać im załcie.

— Tylko boso nie chodź, bo znowu się skaleczysz.

— Kiej mam nowiuśkie tsewiki, to skoda na codzień.

— Adyć nie pracujesz to na trzewiki — rzekła, śmiejąc się, Siekierzyna.

— To się wie, ale jesce jestem mała, jesce nie wsystko zmogę.

— Rozwinięta nad wiek—rzekł Janek—i śmiała.

— Nie dziwota, matka brała do ochronki jak jeszcze dwuch lat nie miała, nie chcąc jej pozostawiać w domu, to się dziewucha otrzaskała.

Kasia tymczasem postąpiła parę kroków, lecz zaczęła narzekać, że ją jeszcze boli.

— Widzę, że nie zajdziesz, zaniosę cię pod chałupę, bo idę w tamtą stronę.

— I, wziąwszy ją na rękę, skierował się ku chacie Szymczaków.

— A matka co robi?

— Tatulo chołу, to ciągiem siedzi psy nim.

— Kogo najbardziej kochasz?

— Najbardziej kocham matulę, babkę i tatula.

— A mnie kochasz?

— I was kocham, boście mi jutło we śkole dali cukiełków.

— A jakbym ci nie dał cukiełków?

— To i tak was kocham, boście mi śkło wyjęli.

— No to mnie pokochaj.

Dziewczyna objęła go rękami za szyję i pocałowała.

Janek nagle się zmieszał, we wrotach stała Zocha i wyglądała na drogę. Spostrzegłszy go z Kasią na ręku, stała zakłopotana, nie wiedzą co z sobą robić.

Pierwsza Kasia przerwała ciszę, mówiąc jednym tchem:

— Matulu! śkło mi wlazło w nogę, a oni mi nogę umyli i śkło wyjęli.

— Nie trzeba dziecka boso wypuszczać z domu, łatwo się skaleczyć może.

— Nie chce za nic kłaść trzewików. Nie wiedziałam, co się z nią stało i wyjrzałam na drogę. Naparła się iść sama, że jej się nic nie stanie.

Wyciągnęła ręce i mimowoli dotknęła jego rąk.

— Dziękuję za opiekę—i z wdzięcznością spojrzała na niego.

— Niema za co, spotkałem płaczącą i chciałem jej pomóc.

— Jak zawsze—byle tylko inni nie cierpieli.

— Taka dola.

— Ludzie sami są winni swej doli.

— Ja mojej nie byłem winien. Zostajcie z Bogiem.

I, uchyliwszy kapelusza, oddalił się powoli. Zmarszczka około ust pogłębiła mu się bardziej i szedł z pochyloną głową, jakby na barkach ciężkie dźwigał brzemię.

Zocha nerwowo przytuliła do siebie Kasię i patrzyła za odchodzącym.

— Jak on mnie musi nienawidzieć i czy mi kiedy przebaczy?

I westchnęła z głębi serca.

Kasia spojrzala na matkę i objęła ją za szyję.

— Oni dali mi taki dobły piełnik, słodki jak cukieł.

— Boś mu, dziecino, żadnej nie uczyniła krzywdy. Chodźmy do chaty.

XXIV.

Na ogólnym rocznym zebraniu straży wybrano jednogłośnie Janka Siekierę na oddziałowego, zaś Gałaja na pomocnika.

Janek poprosił o głos i przemówił:

— Dziękuję wam, szanowni sąsiedzi, za zaufanie, lecz Gałaj pełni dotąd obowiązki z pożytkiem dla straży, proponowałbym, aby i dalej je sprawował, ja zaś chętnie mogę przyjąć obowiązki pomocnika na miejsce chorego Szymczaka.

Na to podniósł sia Gałaj i zareplikował, że akceptuje wybór Siekiery na naczelnika, gdyż nikogo godniejszego nie widzi, sam zaś chętnie będzie pod nim służył. Siekiera odmawia jedynie wskutek swej wrodzonej skromności.

Wszyscy zaczęli prosić Janka, by nie odmawiał dowództwa, gdyż instytucja pod jego sprężystym kierunkiem zawsze lepiej rozwijać się będzie.

— Zgodzę się przyjąć, lecz pod jednym warunkiem, aby próby i pożary nie kończyły się pijaństwem, jak to dotychczas miało miejsce, ze szkodą dla nas samych.

— Zgoda na to, ale wypraszamy sobie tylko dwa razy na rok, choć po kieliszku, na rocznicę straży i na imieniny naczelnika, bo to już są za wielkie święta.

— Postaramy się i wtedy—rzekł Siekiera—wódkę zastąpić winem owocowem, które jest smaczniejsze i nie posiada tyle alkoholu w sobie. Owoców mamy dosyć i marnują się często, sprowadzimy sobie podręczniki i będziemy fabrykowali wino.

— Następnie chciałem zwrócić uwagę na niektóre braki naszego oddziału, mianowicie: przydałaby się nam jeszcze jedna sikawka i wóz rekwizytowy, na którym znalazłyby pomieszczenie drabinki, bosaki i kubły. Środki znaleźć łatwo, urządzimy przedstawienie amatorskie, możemy je nawet powtórzyć w Łowiczu i powoli zbierzemy odpowiedni fundusz.

Obecni zaakceptowali wnioski Siekiery i radzi byli, że im odtąd będzie przewodniczył.

— Widzita, kumie—rzekł sąsiad Wieteska do sołtysa—co znaczy wybrać mądrego człowieka na przewodnika,—wszystko idzie jak z płatka.

— Przecie, wiadomo, zawsze lepiej z mądrym zgubić jak z głupim znaleść.

Obrady przerwała wiadomość o śmierci Stacha Szymczaka, którą przyniósł jeden ze strażaków..

Jakkolwiek wszyscy byli na to przygotowani, jednak wiadomość zelektryzowała obecnych. Janek podniósł się z miejsca i rzekł:

— Wspólna praca i koleżeństwo oprócz zawodowych zajęć lub zabawy wkłada na nas także obowiązki pomocy w nieszczęściu. Musimy się zająć pogrzebem zmarłego. Pomocnikowi Gałajowi polecam porozumieć się z rodziną co do dnia pogrzebu i wysłać konnego do I odziału po orkiestrę na wyprowadzenie zwłok. Urządzenie ceremonji i porozumienie się z proboszczem biorę na siebie. Dziesiętnik Nowiński z czterema druhami zajmą się trumną i urządzeniem w domu, reszta druhów w dniu pogrzebu

zebrać się ma o godzinie 8-ej rano na placyku przed ochroną i czekać mego przybycia. Posiedzenie dzisiejsze zamykam.

Strażacy rozeszli się do swoich zajęć, Janek zwrócił się ku domowi. Śmierć Stacha przejęła go bardziej niż mu się zdawało. Wypadek ten wytrącił go ze zwykłej kolei. W pierwszej chwili pomyślał o Zośce; co ona zrobi, jak urządzi życie?

— A niech sobie robi, co jej się podoba—myślał — rozporządziła sobą dawniej, może to i teraz uczynić. Jest teraz wolna. Skąd mi te myśli wobec niezastygłych jeszcze zwłok jej męża? Dziwnym stworzeniem jest człowiek. Walą w niego pioruny losu, kruszą się gniazda rodzinne, on zawsze myśli o sobie jedynie i nową buduje przyszłość na gruzach innych.

Zawrócił od domu i poszedł w stronę lasku, nie chciał w tej chwili rozmawiać z nikim i nikogo widzieć. Usiadł nad wodą, sparł łokcie na kolanach i objął oburącz głowę; w uszach czuł dzwonienie, wszystko wirowało dokoła niego. Pogrążył się w bezmyślnej zadumie. Nie chciał myśleć. Strumyk szemrał wolno, odzywając się niekiedy głośniejszym pluskiem, to znowu maleńka rybka podskoczyła za muszką. Nagle tuż nad jego głową, rozległ się głos kukułki. Ocknął się, obejrzał dokoła i zerwał czemprędzej.

— Co się ze mną dzieje, wyszedłem drzemać nad strumykiem, jak małe pacholę? Czy jeszcze mam uciekać za światy, żeby się z marzeń wyleczyć?

I, jakby wstydząc się słabości, szybkim krokiem skierował się ku chacie; twarz przybrała zwykły wyraz spokoju i stanowczości.

Zastał już w domu Gałaja, który mu oświadczył, że kobiety ze wszystkiem zdały się na straż. Kazał więc parobkowi założyć konie i pojechał do Łowicza porozumieć się z kanonikiem.

Trzeciego dnia od samego rana ruch zapanował we wsi. Strażacy uszykowali się już w porządku; nadeszły też i delegacje innych oddziałów. Orkiestra z delegatami pierwszego oddziału przyszła ostatnia. Droga i podwórze przed chatą Szymczaka wysypane były piaskiem i tatarakiem, jak również i izba, w której spoczywał nieboszczyk.

O godzinie 10 wieś cała zgromadziła się na wyprowadzenie i przy śpiewie „Serdeczna Matko", trumnę z toporkiem i chełmem na wierzchu wzięli na barki towarzysze, orkiestra zagrała żałobnego marsza i pochód ruszył przez wieś drogą ku szosie. Zocha z matką i Kasią szły pierwsze za trumną. Gdy orszak zbliżył się do szosy, trumnę złożono na wozie wysłanym czarną glasą; niektórzy sąsiedzi wrócili od krzyża do domów, reszta orszaku wraz ze strażą ruszyła w drogę.

Przy miejskim lasku trumnę znowu ponieśli towarzysze. Siekiera w uniformie oddziałowcgo, w złoconym chełmie, z wygoloną szczupłą twarzą, na której malowała się stanowczość i siła woli, przypominał swym wyglądem dowódcę rzymskich legjonów.

Gdy wród murów miasta rozległy się dźwięki żałobnego marsza, ze wszystkich okien powychylały się postacie: wiele osób przyłączyło się do orszaku, jedni z ciekawości, inni dla muzyki.

Na cmentarzu ks. kanonik w krótkim przemówieniu podkreślił piękny czyn straży oddania tak okazale ostatniej chrześcijańskiej posługi zmarłemu towarzyszowi. Udzielił rodzinie słowa pociechy i rzu-

cił pierwszy na trumnę grudkę ziemi, aby lżejszą mu była.

Straż pierwsza uformowała się w dwójki i opuściła cmentarz, udając się do domów. Zocha stała zadumana, wpatrując się w świeżą mogiłę. Przeżytych lat kilka przesunęło się przed nią jak sen, a życie nic jej nie dało prócz przykrych zawodów. Kasia, widząc że matka i babka płakały, też popłakiwała, trzymając się matki za rękę. Coraz mniejsza zostawała grupka ludzi, wreszeie Gałajowa z Onuferką pociągnęły Szymczakową za rękaw i wyprowadziły z cmentarza.

— Chodźcie Stachowa, czegóż będziecie stali, szliśmy taki kawał drogi, ja już nóg nie czuję.

Wsiadły na brykę i przejechały Bratkowice, zatrzymując się na Nowym Rynku.

— Wstąpimy do Kaźmirka na herbatę, zaproponowała Onuferka.

— Zdałoby się, ta od rana nic w ustach nie miała — rzekła Walentowa — ukazując na Zochę.

— Gdzie mnie tam do jedzenia, nic przez gardło nie przejdzie, małej to by się przydała szklanka herbaty, a i wam, matko, bo od świtu jesteście na nogach.

Weszły do herbaciarni i zajęły stolik pod ścianą, Zastały tam więcej osób ze wsi, raczących się herbatą z arakiem, na którą i Onuferka namawiała przybyłe. W milczeniu piły herbatę, przegryzając bułką. Pierwsza Onuferka przerwała ciszę:

— No, i cóż teraz, Stachowa, będziecie robić?

— To, co i dotąd robiłam — będę prowadzić gospodarkę i ochroną się zajmować.

— A nie pomyślicie to o zmianie stanu, przecieżeście młoda?

— Co wy też wygadujecie?... jak można odejść od mogiły i mówić o takich rzeczach, toż to grzech nawet.

— Nie mówię, żeby tak zaraz, ale przecież człowiek powinien pamiętać o sobie.

— Proszę was, co do mnie, nie poruszajcie tej kwestji, Mam córkę, mam żyć dla kogo i niczego więcej nie pragnę.

— Nie, to nie. Nie chcieli żydzi manny, niech jedzą makagigi. Przecie ja dobra waszego chciałam.

— Wiem, żeście mi życzliwi, ale nie mówcie więcej o tem, bo mi to przykrość sprawia.

Pokrzepiwszy się nieco, wsiadły na brykę i wyjechały na szosę.

Walentowa całą drogę lamentowała, co to będzie, jak one sobie dadzą radę, biedne sieroty, a jak jeszcze będzie nieurodzaj, to do cna skapieją.

— Dla czego przewidywać wszystko najgorsze i martwić się o to, co się może nie zdarzyć. Zabierać się do roboty, zrobić wszystko co należy, a resztę Bogu pozostawmy.

— Co się tam bedzieta martwić, Walentowa, jakoś tam będzie. Koń ma duży łeb, to niech myśli— wtrąciła Onuferka.

— Myśleć zawsze trzeba o tem, co się ma robić, lecz nie uprzedzać wypadków i nie martwić się naprzód.

— E, bo wy, Stachowa, to wszystko tylko bierzecie na rozum, jak Janek.

Na drodze ukazały sie szeregi strażaków powracających z pogrzebu. Bryczka, jadąc szybko, zaczęła wymijać oddziały. Strażacy, poznawszy wdowę Szymczakową, życzliwie zwracali się w jej stronę, dowódcy salutowali. Janek szedł na czele wszystkich

oddziałów, gdy bryczka go mijała, oddał kobietom ukłon wojskowy. Onuferka, siedząc na przednim siedzeniu, aż uśmiechała się na widok dziarskiego i zgrabnego strażaka.

— Jemu dobrze jest po strażacku, tak mu jakoś wszystko psuje; odrazu poznać, że to musi być starszy.

Kasia, zobaczywszy Janka, zaczęła się oglądać i, ukazując na niego palcem, zawołała:

— O, patrzcie, matulu, o, o!.. to ten co mi śkło wyjął z nogi!

— Nie pokazuj palcem, bo to nie ładnie.

Dziewczynina aż wykręciła się na siedzeniu, Janek dostrzegłszy to, uśmiechnął się mimowoli i przesłał jej ręką powitanie.

— Wasza córka też będzie miała szczęście, bo ją po drodze chłopcy witają—rzekła Onuferka.

— Poznali się z Jankiem niedawno, szkło jej weszło w nogę, gdy wracała z ochrony, zabrał ją do swej chałupy i tam nogę opatrzył.

— Dziecko za rękę, matkę za serce, jak powiadają ludzie.

— Wy ze wszystkiego zaraz wysnuwacie jakieś wnioski.

Jechali dalej w milczeniu. Zocha zapatrzyła się przed siebie, nie była usposobioną do rozmowy. Onuferka widząc to, zamilkła, oglądając się jedynie na przejeżdżające lub wymijane bryki i wozy i przesyłając znajomym powitania.

Przed chatą Onuferki zatrzymano się by mogła wysiąść i bryka pojechała dalej. Wchodząc do izby, Zochę ogarnęło jeszcze większe przygnębienie. Sprzęty porozrzucane, nieład i pustka wiały dokoła, zdawało się, że tylko na chwilę ktoś wyszedł i powróci

niebawem; nie chciało się wierzyć, że to na zawsze, że niepowróci już nigdy.

Zocha siadła na krześle i oparła się o stół, stała się jakaś apatyczna, nie umiała głośno płakać i zawodzić, jak wszystkie natury silne, co ludzkiej litości nie pragną i starają się pogodzić z życiem. Jakkolwiek półroczna przeszło choroba męża wyczerpała ją, jednak nie narzekała, przyjęła to jako konieczność, wszelkie jego kaprysy znosiła cierpliwie i niedawała najmniejszego powodu do sprzeczki. Każdy powinien spełnić swój obowiązek jaki mu przypadnie w udziale—mawiała zawsze—i to jej dodawało otuchy. Teraz, tracąc nazawsze człowieka, z którym lat kilka przeżyła, pamiętała wszystkie jego dobre strony i takim też chciała go zachować w pamięci.

Walentowa, nie przeszkadzajac córce, zabrała się żwawo do uporządkowania izby, wynoszenia pościeli, z tą zaciętością włościan naszych, którzy po klęskach losowych stają nad gruzami swego mienia i, zakasawszy rękawy, zaczynają robotę od początku.

XXV.

Życie w chacie Szymczaków zaczęło powoli wracać do normy, Zocha zajęła się gospodarstwem z całym zapałem. Uprosiwszy Gałaja, obeszły wraz z matką, pola, skrzętnie notując wszystkie uwagi, gdzie co robić należy. Parobek okazał się uczciwy i pracowity, Zocha podwyższyła mu znacznie pensję, aby tylko rzetelnie pracował i by go nie trzeba było pilnować na każdym kroku. Wstawała zwykle do dnia i razem z matką wykonywała wszystkie czynności domowego gospodarstwa. Po śniadaniu biegła z Kasią do ochrony i wracała na obiad, który już matka sama przygotowała.

Pewnego dnia nauczycielka, panna Marja, otrzymała z Łowicza wiadomość, że pensja żeńska potrzebuje zdolnej freblanki i daje bardzo wygodne warunki. Złożyła natychmiast ofertę, gdyż chciała pójść nieco z prądem czasu, siedząc bowiem ciągle na wsi nie mogła brać żywszego udziału w życiu społecznem i kształcić się, będąc pozbawioną wszelkich pomocniczych źródeł. Łowicz, jakkolwiek był tylko miastem powiatowem, niemniej przedstawiał w miniaturze całokształt życia publicznego. Wychodził tam tygodnik, poświęcony sprawom Łowicza i jego okolic;

z zakładów naukowych istniała szkoła realna rządowa i gimnazjum żeńskie, polska szkoła handlowa, także siedmioklasowa żeńska z klasą przygotowawczą i oddziałem freblowskim, Macierz szkolna, dwie czytelnie publiczne, Oddział Towarzystwa Krajoznawczego z muzeum etnograficznem ziemi łowickiej, Towarzystwo Hygieniczne, Muzeum Tarczyńskiego, Związek robotników chrześcijan, „Lutnia" śpiewacza, Resursa rzemieślnicza, Towarzystwo pomocy biednym, Towarzystwo Kredytowe, Kasy pożyczkowe i wiele innych instytucji, które urządzały odczyty, pogadanki, lekcje, dające możność młodej nauczycielce korzystać z nich i samej brać w nich udział.

Dla Zochy zmiana w ochronce była o tyle niewygodną, że zgadzały się z obecną nauczycielką, a niewiadomo, jaka będzie nowa. Nie chciała także rzucać ochrony, gdyż otrzymywana pensja była jej dużą pomocą, a niewielkie gospodarstwo prowadziły z matką wzorowo.

Gdy oferta nauczycielki została w Łowiczu przyjęta, Zocha była poważnie zaniepokojona, jak się zachowa zebranie wiejskie i co postanowi.

Sołtys wniósł projękt, aby sprowadzić nową freblankę z Warszawy, czemu stanowczo oparł się Siekiera.

— Byłem kilkakrotnie w ochronie—mówił—i widziałem wszystko we wzorowym ładzie, proponuję więc, aby nadal kierunek objęła Szymczakowa; lubi dzieci, one ją znają i pracując tam od dłuższego czasu przy zdolnej pannie Marji, nabyła dostatecznej rutyny.

— Zawsze to nie to,—rzekł gospodarz Wojda—by niewiasta z pośród nas mogła być mądrzejsza od przyiezdnej.

— Zrozumcież raz nakoniec, że i w pośród nas może się znaleźć osoba zdolniejsza nieraz od dziesięciu obcych, tylko my tego przyznać nie chcemy, bo jakże by to było, żeby ktoś z pośród nas ośmielił się wybić ponad innych i jakże to dawać pierwszeństwo osobie takiej samej, jak każda z nas? Właśnie tych z pośród nas winniśmy cenić, którzy się własną wybili pracą i zaszczyt nam przynoszą. Czy wiecznie będziemy mieli bielmo na oczach, że niepotrafimy ocenić ludzi, dopiero aż obcy przyłożą na nich swój stempel.

— Prawda jest, że Szymczakowa sładnie z dzieciakami potrafi, jednak może się władza przyczepić, jako że niema papierów.

— O papiery mniejsza. Pójdziecie sołtysie do niej i zapytacie, czy się zgodzi sama prowadzić ochronkę. Pensję otrzymywałaby za siebie i za freblankę, dopóki sobie nie przygotuje pomocnicy ze zdolniejszej we wsi dziewczyny, którą byśmy pózniej posłali do Łowicza na praktykę. Co do papierów, to Szymczakowa mogłaby złożyć egzamin w Łowiczu i otrzymać patent freblanki, bo wiem, że jest dostatecznie przygotowaną. Kwestję egzaminu załatwię sam u przełożonej szkoły.

— Dobrze Siekiera radzi — zawołano zewsząd, podtrzymywać swoich. Co sprawiedliwie to sprawiedliwie.

I zebranie wiejskie rozeszło się zadowolone, że im kłopot spadł z karku i że nie potrzebują o niczem myśleć.

Sołtys, nie zwlekając, udał się do chaty Szymczakowej i zastał obie niewiasty w domu.

— Pochwalony! — dobrze że was zastałem — Stachowa — przychodzę w delegacji od wiejskiego zgromadzenia.

Zocha się nieco stropiła i zbladła, wiedziała bowiem, że zebranie miało się odbyć w sprawie ochronki.

— Przychodzicie mi pewno dać dymisję ze szkoły?

— Tak źle to jeszcze nie jest. Chcieli sprowadzić nową z Warszawy, ale Janek Siekierczak powiedział, że nie potrzeba szukać cudzych bogów, gdy się ma swoich.

I opowiedział obszernie propozycję, z jaką go wysłano.

Zocha ucieszyła się wielce, a najbardziej z proponowanego egzaminu. Obszerny podręcznik dla ochroniarek przestudjowała znakomicie i była siebie pewna, ludziom zaś to nie wystarcza, im zwykle o formę nie o treść chodzi, jak jest dokument, to o resztę mniejsza.

Podziękowała sołtysowi, zgodziła się na wszystko i z lekkim sercem zabrała się do roboty.

— Poczciwy Janek, — rzekła Walentowa — jak on zawsze myśli, żeby dobrze komu zrobić.

— To złote serce, trzeba go znać.

Wyszła z izby, nie chciała o nim rozmawiać. Wystawiła sobie w sercu ołtarz i tam go umieściła. Obcowała z nim sama niepodzielnie i była zazdrosną o wszystkich, o każdą myśl, o każde słowo o nim.

— Dlaczego on to robi? dlaczego za wszystko złe com mu wyrządziła, płaci mi dobrem, a unika mnie, nawet dziękować nie pozwala.

Nazajutrz po południu przyszedł Gałaj z zawiadomieniem, że przełożona naznaczyła jej egzamin i próbną lekcję na sobotę rano, więc musi być w tym dniu w Łowiczu przed godziną dziewiątą.

Wiadomość ta niezmiernie ją ucieszyła. Poczęła się gorączkowo wybierać, lecz równocześnie opanowała ją obawa czy uzyska świadectwo, nieprzyjemnie by jej było wobec wsi narazić się na śmieszność.

Przyjechała do Łowicza w dniu oznaczonym. Było jeszcze za wcześnie. Jan, woźny, oprzątał sale. Weszła do środka i zapytała, kiedy rozpoczynają się lekcje.

— O dziewiątej, za godzinę. A co macie za interes?

— Mam mieć egzamin z kursu freblowskiego. Czy przełożona bardzo wymagająca?

— Co, pani Bronikowska? do rany ją przyłożyć. Dzieci ją wszystkie kochają, począwszy od najstarszych do tycich.

I tu ręką pokazał wysokość, ćwierć łokcia od ziemi.

— No, takich to przecież tu nie macie. A gdzie jest sala freblowska: można ją zobaczyć?

Wskazał na obszerny pokój z pianinem, dokoła podłużne nizkie stoliki, obok nich ławeczki. Na ścianach tablice poglądowe z dziedziny przyrody i codziennego życia wsi i miast; na półkach wzory i modele robót dziecinnych, wszędzie czystość i porządek. Zocha ciekawie przyglądała się wszystkiemu, ucieszyło ją to, że wszystkie prawie roboty znała i umiała je wykonać, dzięki wzorom i modelom przysłanym przez Janka.

Powoli zaczęły się schodzić starsze uczennice, nauczycielki i nareszcie matki zaczęły przyprowadzać swoje maleństwa; gwar stawał się coraz większy, aż zlał się w jeden akord podobny do brzęczenia pszczół w ulu, gdy się doń ucho przyłoży.

Nadeszła przełożona i bardzo uprzejmie powitała Zochę, będąc już o niej uprzedzoną.

— Słyszałam o was, że pożytecznie pracujecie na wsi i bardzo chętnie wam pomogę. A jakie macie przygotowanie?

— Zajęcia praktyczne odbywałam w naszej wiejskiej ochronie przez lat kilka, zaś teorję czerpałam z niniejszego podręcznika, — rzekła — ukazując książkę,

— Znam go bardzo dobrze i my się nim również posiłkujemy. Proszę się rozgościć, egzamin rozpoczniemy niebawem, poczem nastąpi lekcja próbna.

Rozległ się dzwonek, nauczycielki udały się do swoich klas, zapanowała cisza. Przełożona z freblankami i Zochą udała się do dzieci.

Polecono jej wykonać kilka robótek podług modeli, następnie z dziećmi odbyć ćwiczenia gimnastyczne i śpiewy, które jej łatwo poszły; obdarzona z natury pięknym głosem i dobrym słuchem, łatwo przyswoiła sobie melodje całego freblowskiego repertuaru w swej ochronce, z dziećmi zaś umiała radzić, że odrazu lgnęły do niej. Z wiadomości teorytycznych poszło jej nadspodziewanie dobrze, zaś z higieny dziecięcej wiedziała nawet więcej niż potrzeba.

Przełożona, po skończonym egzaminie, zwróciła się do Zochy i, ściskając jej rękę, rzekła:

— Winszuję wam, pani Szymczakowa, że sami, bez żadnej pomocy, potrafiliście przyswoić sobie tak duży zapas wiadomości, żebym się nawet nie powstydziła za was w moim oddziale freblowskim. Członek rady szkolnej, pan Siekiera, polecił mi was gorąco, lecz widzę, że protekcja jego nie była potrzebną. Obecnie może pani rozporządzić swoim czasem do

godziny drugiej, my zaś przygotujemy tu świadectwo, które musi być jeszcze poświadczone przez władzę.

— Idąc tutaj miałam pewną obawę, chociaż mnie uprzedzono o dobroci pani; teraz się nie dziwię, że wszystkie dzieci tak panią kochają.

Wyszła na miasto zadowolona z siebie, i, przechodząc Podrzeczną około Kolegiaty, uczuła potrzebę zmówienia pacierza i podziękowania Bogu za pomyślny egzamin.

Należąc do parafji Ś-go Ducha, rzadko tutaj zachodziła, chociaż imponowała jej ta świątynia swemi wieżami przeszło sto łokci wysokiemi, które o trzy mile zdaleka widać było.

Pomodliwszy się w kaplicy Pana Jezusa, skierowała się ku wyjściu, gdy zwróciło jej uwagę wejście do kościoła jakiejś wycieczki, na której czele szedł znany jej z odczytów i pogadanek historycznych, mieszkaniec miasta, Romuald Oczykowski, autor przechadzki po Łowiczu, Historji Księcia Józefa i wielu prac związanych z historją miasta i okolic.

Zocha mając dużo jeszcze czasu, przyłączyła się do towarzystwa i z uwagą słuchała opowiadania Oczykowskiego o powstaniu kościoła:

— Pierwotny kościół był drewniany, w roku 1100 przez książąt Mazowieckich, a mianowicie Władysława Hermana wystawiony. Roku 1433 przez Arcybiskupa Wojciecha herbu Jastrzębiec do godności Kolegjaty wyniesiony i w kolegium kanoników zaopatrzony został. W roku 1524 kościół ten do szczętu zgorzał, lecz przy nowo wzniesionym w 1580 roku stanęła już kaplica murowana Arcybiskupa Uchańskiego.

W r. 1611 Prymas Tarnowski przymurował drugą kaplicę, a w r. 1640 postawił kaplicę św. Anny Arcybiskup Wężyk.

Maciej Łubieński, wstąpiwszy na stolicę Arcybiskupią zastał tak zniszczony sam kościół, iż własnym nakładem w 1652 r. wzniósł nowy kościół murowany, w takim kształcie, w jakim się teraz widzieć daje.

Arcybiskup Komorowski dokończył kaplicy Lipskich i w roku 1760 wymurował kaplicę dla Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Kościół ten pod wezwaniem Wniebowzięcia N. M. P., i św. Mikołaja konsekrował Arcybiskup Prażmowski w 1660 r. dnia 14 października. Ołtarz wielki Wniebowzięcia N. M. P. stawiany przez Arcybiskupa Wacława Leszczyńskiego, kosztem Bejdziny, włościanki ze Świeryża, uzyskał w r. 1868 obraz pędzla Jana Strzałkowskiego, Matki Boskiej Różańcowej.

Po stronie ewangielji obok tego ołtarza jest pomnik z białego marmuru, wyobrażający w klęczącej postawie Arcybiskupa Henryka Firleja, zmarłego w 1626 r. który w 1625 r. zwłoki św. Wiktorji, Panny i Męczenniczki, patronki m. Łowicza i okolicy z Rzymu do Łowicza sprowadził. Po drugiej stronie ołtarza znajduje się pomnik dwóch Arcybiskupów Leszczyńskich, Wacława, zmarłego w 1666 r. i Andrzeja zm. w 1563 r., portrety których malowane są na złoconych blachach.

Za wzniesieniem, na którym stoi tron Arcybiskupi leżąca z czerwonego marmuru figura wyobraża Arcybiskupa Jana Przerembskiego, zm. w 1563 r. Nad odrzwiami murowanemi, prowadzącemi do zakrystji kanonicznej rozwieszone są portrety Arcybiskupów: Teodora Potockiego, Adama Komorowskiego i Stanisława Szembeka.

Z zakrystji tej po schodach zwiedzający weszli do skarbca, słynnego niegdyś z bogactw dzieł złotni-

czych. Tutaj mogli oglądać bardzo cenne i artystycznej roboty relikwiarze, mszały w srebro oprawne. vota, monstrancje, kielichy srebrne starodawne dalmatyki, kapy, ornaty z drogich materji, z lamy złotej i srebrnej, galonami złotemi i srebrnemi obłożone. Wyróżniały się barwnością dwie kapy i ornat z r. 1667. Najokazalszy ornat jest srebrny, złotem haftowany, dar Arcybiskupa Szembeka.

Wychodząc z zakrystji kanonicznej, w prezbiterjum, nad stalami kononicznemi, w których ostatecznie zasiadało 3 prałatów i 9 kanoników, zawieszone są obrazy nadzwyczajnych wymiarów, przedstawiające Narodzenie, Ofiarowanie i Nawiedzenie N. M. Panny. Obraz SS. Aniołów stróżów stoi już w wielkiej nawie kościoła. Na zasuwie św. Mikołej z widokiem Kolegjaty. Na ołtarzu krzyż drewniany czarny z relikwiami śś. Stanisława Kostki i Bonifacego, dar ostatniego z Tarnowskich.

Po schodach murowanych weszli do kaplicy Arcybiskupa Uchańskiego, w której Arcybiskup Firlej na ołtarzu złożył relikwie św. Wiktorji. Arcybiskup Maciej Łubieński, dziękując Bogu za odniesione przez Króla Jana Kazimierza zwycięstwo nad kozakami i tatarami w r. 1651, relikwie św. Wiktorji złożył w trumience srebrnej, gdzieniegdzie złoconej. Król Jan Kazimierz w 1667 r. kaplicę tę marmurami wyłożył, a Kajetan Sołtyk, Biskup Krakowski, niegdyś kanonik łowicki, 1782 r. przyprowadził ją do tej świetności, w jakiej się obecnie znajduje. Oryginalny grobowy kamień z siwego marmuru przez tegoż Firleja z Rzymu przywieziony, zabytek z IV wieku, wmurowany jest w antypodjum. Postać dziewczęcia, wyryta na tej płycie, oznacza św. Wiktorję, serce zaś z płomieniem dodano jako znak, że zginęła śmiercią

męczeńską. Zewnątrz kaplicy nad kratami żelaznemi, stanowiącemi bramę, znajduje się obraz przedstawiający Króla Jana Kazimierza z małżonką Marją Ludwiką, senatorami i całym dworem, gdy całuje relikwie świętej, podawane mu przez A. G. Macieja Łubieńskiego.

Wychodząc z kaplicy, widzieć można postać leżącą z białego alabastru A. G. Uchańskiego, zmarłego w 1580 r.

Na ołtarzu św. Jana Nepomucena, w kaplicy Wężykowskiej, stoi krzyż starożytny, hebanowy miejscami złocony, z relikwiami świętych, godzien bliższego obejrzenia. Ołtarz ten był uprzywilejowanym bractwa św. Jana, które w 1737 r. Arcybiskup Potocki wprowadził. Bractwo to istnieć przestało, dopiero w ostatnich czasach wznowił je ks. prałat Retke, którego popiersie z białego marmuru znajduje się pod wielkim chórem.

Portret Arcybiskupa Wężyka zawieszony jest obok ołtarza św. Anny. Na ołtarzu tym stoi relikwiarz tej świętej i krzyż perłową masą wykładany. Z drugiej strony tego ołtarza był pomnik X. Adama Kazimierza Oporowicza o dwuch twarzach; doktór obojga prawa, protonotarjusz Apostolski, kapelan i spowiednik A. G. Wężyka, aktuarjusz i notarjusz A. G. Macieja Łubieńskiego, sędzia, obrońca różnych spraw, kanonik Łowicki, Łęczycki, proboszcz Chruślinski i „Boleoviensi", był Oporowicz człowiekiem światłym i nadzwyczaj czynnym, więc malarz czy to sam z siebie, czy z polecenia czyjegoś, chcąc prawdopodobnie uzmysłowić jego działalność, przekazał potomności portret w tej potwornej malaturze. (Portret ten przed kilku laty został skradziony).

W kaplicy Wężykowskiej również mają nagrobki: Józef Michał Trzciński, Biskup Sufragan Gnieźnieński, dziekan łowicki, zm. 1738 r., Krzysztof Dobiński, Biskup Sufragan Gnieźnieński, dziekan łowicki, zm. 1769 r., mąż pobożny i cnotliwy, który całe życie poświęcił dobroczynności i nędzę łowicką wspierał, oraz Wojciech Święcicki, Kanonik Łowicki zm. 1664, kaznodzieja i przyjaciel A. G. Wężyka.

W kaplicy Tarnowskich w ołtarzu jest mistrzowskie dzieło, podobno dłuta włoskiego, Pan Jezus Ukrzyżowany, Najświętsza Panna, św. Jan Ewangielista i św. Magdalena, z jednej sztuki marmuru pięknie wykonaną przedstawiają grupę. Nad ołtarzem herb miasta, pelikan.

Wprost ołtarza pomnik Piotra Tarnowskiego, chorążego województwa Łęczyckiego, z pierwszej połowy XVII stulecia, z troistego marmuru wykonany, przedstawia leżącego rycerza w zbroi. W dwuch rogach kaplicy w niszach stoją 4 ewangieliści, na ścianach zaś zawieszone 4 portrety Tarnowskich. Chrzcielnica marmurowa z wierzchem miedzianym, stojąca w kaplicy, sprawioną została kosztem Wacława Kunickiego, Kanonika Łowickiego.

Przy przedostatnim, to jest trzecim filarze jest ołtarz św. Barbary, 1723 r. wystawiony kosztem Wawrzyńca Jarocińskiego; wprost ołtarza św. Józefa jest nagrobek Kacpra Trzemeskiego, Biskupa Sufragana Gnieźnieńskiego, zmarłego w 1665 r. Na filarze drugim znajduje się pomnik Jana Stanisława Grabowskiego, kanclerza Lwowskiego, kanonika łowickiego, zmarłego w 1679 r,

Po stronie ewangielji, w presbiterjum nad odrzwiami zakrystji wikarjuszowskiej jest pomnik Samuela Przecławskiego, dziekana łowickiego sekretarza

Królewskiej Mości, zm. w 1659 r. W zakrystji wikarjuszowskiej wiszą portrety biskupów: Macieja i Władysława Łubieńskich, kanonika Skabrota i Papieża Piusa IX. Nad tą zakrystją znajduje się kapitularz, w którym mieści się biblioteka złożona z dzieł dawnych, przeważnie w języku łacińskim, i archiwum kapituły od 1433 r. Tu znajdują się portrety Arcybiskupów Macieja i Władysława Łubieńskich, Krasickiego, Szembeka, Radziejowskiego, Komorowskiego i Biskupa Sołtyka. Z kapitularza po schodach schodzi się do kaplicy Pana Jezusa. W ołtarzu, obok wizerunku bardzo dobrej snycerskiej roboty, zawieszono mnóstwo wotów. Arcybiskup Komorowski ma tu wystawiony nagrobek czarny marmurowy, z popiersiem z białego kararyjskiego marmuru.

Z kaplicy tej wyszedłszy do bocznej nawy, tuż przy kaplicy, na ścianie, nad kratami oddzielającemi kaplicę Lipskich, widzieć można pomnik z marmuru czarnego, na którym figura klęcząca z marmuru cielistego, przedstawia Mikołaja Łayszczewskiego, Starostę Łowickiego, Kasztelana Sochaczewskiego, sekretarza Królewskiego, sędziego na trybunałach, rycerza walczącego ze szwedami i turkami, zmarłego w 1655 r.

Przy wejściu do kaplicy, Arcybiskup Mikołaj Prażmowski ma pomnik kosztowny, lecz mniej piękny. Na miedzianej pozłacanej tablicy, otoczona herbami postać prymasa, który zmarł w 1673 r. Na tymże filarze z boku znajduje się portret Arcybiskupa Lipskiego.

Przed pomnikiem Prażmowskiego, w posadzce kościoła umieszczone dwie płyty spiżowe z odpowiedniemi napisami, oznaczają wejście do grobów Arcybiskupów Lipskiego i Prażmowskiego w podziemiach kościoła. Wychodząc z kaplicy, spotyka się nagro-

bek Jana Aleksandra Paprockiego, kanonika łowickiego, zmarłego w 1681 r., człowieka uczonego i w akademji Luka wieńcem doktorskim ozdobionego. Obok niego pomnik Stanisława Krajewskiego, vicekanclerza Królewskiego, dla swej prawości cieszącego się nieograniczonem zaufaniem całej kapituły gnieźnieńskiej. Przy wejściu na chór mały jest tablica erekcyjna, świadcząca o wystawieniu kolegjaty przez A. G. Macieja Łubieńskiego.

Obok ławek poustawianych przy chórze wielkim znajduje się pomnik z marmuru brunatnego, mężczyzny i kobiety w postaci leżącej, w starożytnych strojach. przedstawiający Dzierżgowską i Marcina Śleszyńskiego, posła ziemi Gostyńskiej, zmarłego w 1578 r.

Przy ostatnim filarze w głównej nawie jest ołtarz św. Silbrjusza, wystawiony przez A. G. Teodora Potockiego, z boku tego filaru naprzeciw pomnika ks. Krajewskiego jest pomnik Łąckich Franciszka Biskupa Sufragana Kujawskiego i Macieja Archidjakona Gnieźnieńskiego, dziekana łowickiego.

Przy poprzedzającym filarze jest ambona snycerskiej roboty w 1754 r. kosztem A. G. Komorowskiego postawiona. Na tymże filarze są nagrobki zasłużonego Mateusza Kazimierza Orłowskiego, posła do Papieży, uwieńczonego w Rzymie tytułem doktora obojga prawa; Wojciecha Pilichowicza, Biskupa Sufragana Warmińskiego i Gnieźnieńskiego i wielu innych, których niepodobna tu wyliczyć.

Organ wielki na głównym chórze struktury okazałej o 27 głosach, na którym 4 śpiewaków i muzyków utrzymywanych było kosztem kapituły.

Zocha chwytała każdy wyraz opowiadającego, myślą przeniosła się w te czasy, gdy pod stropy świątyni wznosiły się dźwięki organów, przy biciu dzwo-

nów, gdy Prymasi Królestwa w złotych dalmatykach sprawiali ingresy do Kolegjaty, lub przyjmowali królów.

Ze czcią przyglądała się tym starożytnym portretom i pomnikom, przed którymi przebiegły wieki, i zapytała nieśmiało:

— Czy wszyscy ci dostojnicy spoczywają w podziemiach tej świątyni?

Oczykowski, widząc niezwykłe zainteresowanie młodej kobiety, chętnie ją objaśnił.

— Pod kościołem i kaplicami grobów murowanych i sklepionych jest 13. Osobno chowano osoby stanu duchownego, a osobno osoby świeckie, to jest parafian. W podziemiach Kolegiaty znalazło wieczny spoczynek 12 arcybiskupów, mianowicie: Przerembski, Uchański, Tarnowski, Firlej, Wężyk, Lipski, Andrzej Leszczyński, Wacław Leszczyński, Prażmowski, Szembek, Komorowski i Łubieński.

Zocha, podziękowawszy uprzejmie czcigodnemu historykowi, wyszła z kościoła uradowana, że ją tak dobrze i szczegółowo objaśniono. Pragnęła jeszcze zwiedzić muzeum Krajoznawcze i muzem Tarczyńskiego.

W muzeum Krajoznawczem poznała doktorową Chmielińską, założycielkę muzeum, która jej szczegółowo wyjaśniła wszystko. Znalazła tam niektóre owady, ptaki i rośliny, o których istnieniu na księstwie nie wiedziała nawet, wielki dział wycinanek ozdobnych papierowych, piękne dzbanuszki z gęsich jajek, na których były naklejane misternie desenie i kwiaty z maleńkich kolorowych papierków, prawdziwie benedyktyńska praca. Olbrzymie rogi łosia i jelenia, znalezione w torfowiskach na księstwie, dawne sukmany i wełniaki, nakrycia głowy, sprzęty gospodarskie, kołowrotki i stępy, których już dzisiaj

nieużywają. Wszystko skrzętnie zebrane i ugrupowane. Kamyki, muszle, skamieniałości znalezione w głębokościach ziemi, w okolicznych torfowiskach lub w Bzurze.

Stamtąd udała się do muzeum Tarczyńskiego, mieszczącego się czasowo w domu Towarzystwa Wzajemnego Kredytu. Wyjątkowo trafiła dobrze, gdyż w dnie powszednie muzeum nie zawsze było otwarte, w tym dniu zaś sam założyciel Tarczyński oprowadzał jakieś zdaleka przybyłe towarzystwo.

Tu już znalazła niezliczone pamiątki dawne, które nawet trudno było wymienić. Autografy i listy królów, sławnych wodzów i poetów polskich, starożytne sztychy, karty, broń, sprzęty, naczynia, urny, łzawnice, narzędzia kamienne, przedhistoryczne krzemienne noże, monety dawne, wykopaliska, wyroby ze srebra i złota, zbroje, pamiątki po wielkich ludziach. Gdzie tylko oko spoczęło, wszędzie było pełno ciekawych przedmiotów, przenoszących człowieka w przeszłość odległą.

Zocha z zajęciem wielkiem słuchała opowiadań i przesunęły jej się przed oczyma obrazy dawnych świetnych polskich czasów, zjazdy królów i senatorów w Łowiczu, napady szwedów, tatarów, Rakoczego. Wszystkiego widniały tam ślady na każdym kroku, i ze wszystkiego wiała dawno zamierzchła przeszłość.

Z uczuciem wdzięczności patrzyła na człowieka, który własnym staraniem i trudem zgromadził to wszystko, by dać ludziom możność korzystania z tego, by się kształcili na wzorach dawnych i mieli zawsze przed oczyma wielką przeszłość swojego narodu.

Wiele rzeczy było ukrytych w szufladach i skrzyniach, gdyż szczupłość miejsca nie pozwala na ich

rozmieszczenie, niektóre przedmioty znajdowały się aż na suficie. Zocha, przyglądając się temu, pomyślała sobie, że ludzie wydają wielkie pieniądze wspaniałe sale balowe, z których prawie żadnego nie ma pożytku, a rzecz tak piękna i kształcąca nie ma dla siebie miejsca.

Prosiła właściciela, czy pozwoliłby kiedy przyprowadzić większą liczbę wiejskich dziewcząt, które nic podobnego nie widziały. Zgodził się chętnie, oświadczając że w niedziele i święta muzeum jest otwarte po nabożeństwie od 1-ej do 3-ciej, lecz szczupłość miejsca nie pozwala gromadzić się naraz większej liczbie osób, pożądanem więc będzie, gdy osoby pragnące zwiedzić muzeum podzieli na grupy po kilkanaście osób i kolejno co niedziela będzie przyprowadzać.

Zaszła następnie do miejscowej księgarni polskiej i wybrała kilka pożytecznych broszurek oraz powiastek dla czytania małym dzieciom. Znajdowała przyjemność w przeglądaniu książek, albumów i ilustracji i tu jej najmilej czas schodził.

O oznaczonej godzinie stawiła się w szkole i otrzymała świadectwo, wraz z życzeniami pomyślnego rozwoju ochronki. Wyszła z uczuciem zadowolenia i mimowoli nasunęło się jej pytanie, dlaczego niektórzy ludzie starają się celowo waśnić lud wiejski z miastem i inteligiencją miejską, gdy ją na każdym kroku spotyka tylko życzliwość i chętna pomoc, A już gdy ehodzi o samokształcenie się, lub moralną podnietę, to na wyścigi wszyscy starają się pomagać zupełnie bezinteresownie.

Pokrzepiwszy się herbatą w cukierni Gierasiewicza, niebawem odjechała do domu. Po drodze, przyglądając się falującym zbożom, myślą pobiegła

i znowu zatrzymała się na Janku. Więc on i tam był i uprzedził przełożoną. Wszędzie z jej drogi usuwa przeszkody; niewidzialny, a jednak obecny. Unika jej, nie chce z nią rozmawiać, a wszystko wie o niej i czyni dla jej dobra.

Dziwny człowiek—myślała—omija mnie zdaleka, jak by mną gardził, a wszędzie dobroć mi świadczy i łaską tą aż mnie przygniata do ziemi; ja nie śmiem mu już w oczy spojrzeć, bo niczem mu się nawet odpłacić nie mogę.

Przejeżdżając koło ochronki, zatrzymała się na chwilę. Dzieci już wyszły, tylko nauczycielka wybiegła na jej spotkanie, wypytując się jak jej poszło.

— Bardzo dobrze, zdałam egzamin i świadectwo mam. Zawsze to pani zawdzięczam, bo przy niej rozpoczęłam naukę.

— Sobie samej tylko zawdzięczacie, własnej pracy, wytrwałości, no i wrodzonej inteligiencji. Winszuję wam i cieszę się niewymownie.

Ucałowała ją serdecznie i wypytywała o szczegóły.

— Jakże znaleźliście przełożoną, prawda, sympatyczna i dobra?

Nadzwyczajnie, odrazu mnie ujęła i ośmieliła, jakby siostra. Nauczycielki też bardzo sympatyczne.

— I ja jestem zadowoloną, że się tam dostałam i że będę mogła pracować na szerszej arenie. Kto nie idzie naprzód, ten się cofa.

— Do widzenia! nie wiem co się tam w domu dzieje, od rana nie byłam.

Przed chatą oczekiwała już Kasia, biegnąc na jej spotkanie.

— Coście mi z miasta psywieźli? Nie mogłam się was docekać, cięgiem wyglądałam na dłogę.

Zocha ucałowała dziewuchę, wręczając jej paczkę pierników. Walentowa ciekawa też była, jak jej się powiodło i ucieszyła się wielce, gdy jej Zocha o wszystkiem opowiedziała.

— Gałaj, gdy się dowiedział o powrocie Zochy, przyszedł natychmiast, by widocznie zdać sprawę Jankowi o rezultacie. Najpóźniej dowiedziała się Onuferka i przyszła rzecz sprawdzić na gruncie.

— Bo to ludzie klepią nie wiedzieć co, żeście w dużej szkole w Łowiczu zdawali naukę, żeście dostali jakieś papiery, co teraz możecie wszystkich nauczać i że teraz jesteście prefesurką.

— Nagadali wam rzeczy niestworzonych. Zdawałam egzamin na prawo zajmowania się ochronką i otrzymałam świadectwo.

— No, to się nie minęli z prawdą, zawszeć to nauczycielka. Że też wam się chciało tak dulczyć. Nie darmo gadają, że z naszej wsi coraz to wielkie wychodzą ludzie. Jak Janek dał początek, tak wszystko się bierze w kupę.

— Jeszcze i z was będzie rządna gospodyni i ludziom będziecie świecić przykładem.

— A jakbyś wiedziała. Wpisałam się do bractwa różańcowego, kupiłam sobie w księgarni tajemniczki białe dla niewiast. a może się i od wódki mało wiela odprzysięgnę; starość nie radość, trzeba i o dusznym zbawieniu pamiętać. Ale co te papiery, to trzebaby oblać, Stachowa.

— Nie wiem nawet, czy jest co w domu, Może tam macie co, matko, bo się od Onufrowej niełatwo okupić.

Walentowa wyszukała jakąś butelczynę i nalała kieliszek, który Onuferka wychyliła duszkiem „na szczęście", i poprawiła drugim. — Pożegnała się nie-

bawem aby dalej nieść nowinę. Wódka widocznie wprawiła ją w dobry humor, bo tuż za progiem odezwał się donośny i piskliwy jej głos:

Chciało się Magdzie... kichnąć
I zwalała kosiulę,
A jakże ja, dziewucho,
Do ciebie się przytulę?

. . . .

Nauczycielka Marja, wyjechała do Łowicza, żegnana życzliwie przez całą wioskę. Miejsce jej zajęła Zocha i gorliwie pracowała nad dziećmi. Przybrała sobie do pomocy młodą dziewczynkę, Jagusię, która ukończyła wiejską szkołę w sąsiedniej wiosce i odznaczała się pilnością i pracowitością.

Zebrania gospodyń i dziewcząt odbywały się co niedziela w ochronce. Zocha przewodniczyła im zawsze i szczęśliwą była, że jej praca i dobre chęci nie szły na marne, gdyż na każdym kroku znać było dobroczynne skutki pogadanek i zebrań. Praca w gospodarstwie kobiecym szła żwawo, dobrobyt zawitał pod strzechy, naturalnym czego następstwem stało się i życie zgodniejsze wśród ludzi, i warunki bytowania łatwiejsze.

XXVI.

Walentowa z Zochą gorliwie zajęły się gospodarstwem w polu i rezultaty okazały się nadspodziewane. Nie żałowały wydatków na sztuczne nawozy i przekonały się naocznie, jak sowicie się to opłacało. Ten i ów, zaszedłszy na pole Walentowej, kręcił głową i dziwił się że same baby dają sobie tak dobrze radę.

— Co wy robicie, że wam się tak darzy—zapytał pewnego razu Zochy sąsiad o miedzę, Ignacy Gałas. Człowiek przecie jest nie dzisiejszy i nie jedno widział na świecie, a zawsze u was jakoś lepiej się dzieje.

— Powiedzieć wam prawdę, to wy gospodarujecie na dawny sposób, jak gospodarował wasz ojciec i dziad, a nauka ciągle idzie naprzód. Nie czytacie nic, w sztuczne nawozy nie wierzycie, a tu macie namacalne dowody.

— Trzeba, widzę, teraz rozumu u młodych szukać. Ale żeby i niewiasty starych uczyły, to tego jeszcze nie było. Swiat się do góry nogami przewraca, ale niech tam, sprobuję.

I tak powoli postęp wnikał wszędzie, dobrodziejstwo nauki zapuszczało swoje korzonki dokoła i roz-

sadzało powoli odwieczną skałę uprzedzeń, zamieniając ją w bujną i urodzajną niwę.

Był już początek lipca, gdy pewnej niedzieli po południu, Zocha, zabrawszy ze sobą Kasię, wyszła w pole obejrzeć czy deszcz nie pokładł ozimin i czy szkody jakowej niema. Gradu nie obawiała się będąc ubezpieczoną od niego. Przyglądała się radośnie jak płowe żytko falowało, jak owsy, zielone jeszcze, poczynały się złocić, pszenica, prosta jak trzcina, dzwoniła kłosami za każdym podmuchem wiatru. Kartofle zieleniły się, pięknie przybrane różowemi kwiatami, w bruzdach wysoko strzelał bób, wszystko rwało się do życia, do słońca.

Siadły sobie na miedzy, Kasia wesoła jak ptaszek, przyśpiewując, zbierała bławatki i kąkole. Gdy weszła bruzdą w żyto, zginęła w niem jak w lesie. aż matka zaczęła ją wołać, by się nie oddalała daleko.

— Nie odchodź, bo zabłądzisz, albo cię jeszcze kania porwie.

— Nie boję się kani—rzekła, wyłaniając się ze złotych fal. Oj, matulu, taki zając smyłgnął mi z pod nogów, zem się o mało nie obaliła, był taki wielki jak nas cielak.

— To ze strachu ci się taki wielki zdawał.

— Ale, ze stłachu, zebyście widzieli, to byście sami uciekli. Uwińcie mi kołonę z kwiatków!

I zaczęły splatać wieniec z bławatków, przetykając go gdzieniegdzie kąkolem i purpurowym makiem. Kasia wianek włożyła sobie na głowę, Zocha się podniosła i skierowały się przez pola miedzą ku strudze, by nieco w lasku odpocząć, bo słońce prażyło silnie.

Doszły do brzegu, stadko kuropatw furknęło tuż przed niemi i zapadło niedaleko. Zocha przeszła la-

sek i zbliżyła się do rzeki szukając miejsca do odpoczynku, gdy nagle z po za nadbrzeżnej wikliny podniósł się Siekiera i, uchyliwszy kapelusza, zwrócił się szybko w stronę wioski.

Zocha przelękła się nagłego ukazania się Janka i odruchowo krzyknęła:

— Jaśku!....

Odwrócił się i stał bez słowa, z głową podniesioną, jak posąg.

— Dlaczego stronisz ode mnie, jak od zapowietrzonej? Wina moja wielką była może, ale czemu mnie tak strasznie każesz! Za złe, które ci wyrządziłam, płacisz mi dobrem, a to mnie jak biczem po twarzy chłoszcze. Gdybym cię nie znała, że jesteś szlachetnym, to nieraz zdaje mi się, że ty się naumyślnie tak znęcasz nademną.

— Usunąłem ci się z drogi, którą sobie obrałaś, poszedłem dalej. Jeżeli zaś cokolwiek uczyniłem dla ciebie, zrobiłbym to samo i dla każdego innego.

— Nieprawda!... ty wiesz, że nie byłeś mi obojętnym, a ja chwilowe zapomnienie gorzko opłaciłam. Gdyś mnie rzucił, nie zaznać mnie już było spokoju. Wiedziałam, że nie wrócisz, było mi wtedy wszystko jedno, ludzie poczęli gadać i zdawało mi się, że się przemogę. Wyszłam za Stacha, bo i gospodarstwo szwankowalo, ojciec niedomagał, matka się martwiła. Starałam się być dobrą żoną, lecz ziarna wiedzy, któreś mi posiał w duszy, zaczęły wzrastać; coraz więcej znajdowałam ukojenia w książkach i nauce, a to mnie oddalało od męża. Chciałam go podnieść do siebie, wyrobić w nim zamiłowanie do rzeczy lepszych, lecz wstręt do książek i nieszczęsny nałóg stanęły w poprzek moim chęciom. A czy wiesz, jak ciężkiem jest życie, gdy się jest przykutą do człowie-

ka, który nas pojąć nie może, którego postępowanie budzi w nas wstręt, a któremu trzeba ulegać i słuchać nieraz brutalnych słów jego? Wtedy dopiero zrozumiałam, com utraciła. Każdą wieść o tobie chwytałam z upragnieniem. Przysłany przez ciebie krzyżyk noszę jako najdroższą relikwię. Gdyś wszedł pierwszy raz do szkoły, drżałam jak liść, a serce biło mi jak młotem. Nie spojrzałeś nawet na mnie i przeszedłeś jak koło słupa. Łzy tylko połykałam i ból tłumiłam w sobie, myśląc, jakże on mnie strasznie musi nienawidzieć!...

— Po co rozgrzebywać popioły. Jak cię kochałem—wiesz o tem, a co przeszedłem od owego wieczoru, niech ci powiedzą te zmarszczki na czole i siwizna na skroni.

— Ja o tem wiem, lecz niczego nie żądam od ciebie, bylebyś tylko mną nie gardził, porozmawiał czasem ze mną, jak rozmawiasz z innemi, nie uciekał odemnie. Życie strasznie się nademną pomściło; ja tutaj taka jestem sama i biedna, ja już tyle łez wylałam. Przebacz mi Jaśku!

I ze łzami w oczach chwyciła go ra rękę, okrywając ją pocałunkami.

— Nie płaczcie, matulu—zawołała Kasia, która, stojąc dotąd nieruchomo, podbiegła do matki. Nie gniewajcie się na matulę! mój złoty!... mój kochany!... mój sełdecny!...

— Co robisz?... rzekł, usuwając rękę. Ja nie gardzę tobą, lecz mam w sercu taki żal głęboki, że ani oddalenie, ani ciężka praca za morzami, nie mogły go zagłuszyć.

Kasia też szlochała po cichu, rączynami ocierając sobie oczy. Janek ją porwał na ręce i gorączkowo przycisnął do siebie.

— Nie płacz, ja się na matkę twoją nie gniewam. Dobre jesteś dziecko, kiedy bronisz matki.

— Dziękuję, Jaśku!. Już mi teraz nic nie trzeba. Gdym cię widziała idącego samotnie z pochyloną głową i z tą zmarszczką na czole, to jakby mi kto nóż w sercu obracał. Co mi zrobił złego ten człowiek i dlaczego ja właśnie stałam się przyczyną jego nieszczęścia. Byłam zła na siebie i pogardzam sobą, ale twojej pogardy, Jaśku, ja przenieść nie mogę

— Dla mnie może byłoby lżej, gdybym mógł tobą pogardzać, gdybyś była jak większość naszych niewiast lekka i próżna, myśląca jedynie o sobie i swojej chałupie. Tyś się bardzo zmieniła od tego czasu!..

— Bo ja starałam się robić to tylko, co się podobało tobie. Wiedziałam, że miłowałeś ochronkę, chciałam tam być pomocną. Nie lubiłeś tańców—nogą nawet nie ruszyłam od tego czasu chodziłam na pogadanki, urządzałam je u siebie i powoli wciągnęłam się do tej roboty, znalazłam w niej ukojenie, ona stała mi się potrzebą duszy i teraz bym już nie rozumiała innego życia. Zdawało mi się, że wtedy stanę się ciebie bliższą i że może, może kiedyś przyjdziesz do mnie i powitasz życzliwie choćby jak siostrę.

— I tak ciągle myślałaś o mnie?—rzekł, całując Kasię i stawiając ją na ziemi.

— Tak Jaśku!... Jak pierwszy twój list przyszedł z Ameryki, prosiłam Onuferki, żeby mi go na chwilę przyniosła. Przeczytałam go jak zesłanie z nieba, tylko zdjęła mnie wielka żałość, że nie było tam nic o mnie. Przestałam dla niego istnieć! Gdy mi ojciec krzyżyk dawał, bałam go się przyjąć, że nie dla mnie był przeznaczony, bo gdyby Jaśko wiedział, że ja w ochronce pomagam, pewno by nie przysłał. Lecz gdy mi ojciec powiedział, że Jaśko o wszystkiem wie,

to taka mnie wzięła radość, że krzyżyk serdecznemi oblałam łzami. Był mi on otuchą i wiarą. Do niego modliłam się codziennie o szczęście dla ciebie.

— I skuteczna była twoja modlitwa, bo miast nienawiści, miłowanie mi się zostało w sercu.

— I tak stroniłeś odemnie, niedobry! a ja się gryzłam i martwiłam ciągle i gdybym cię nie zatrzymała tutaj, poszedłbyś dalej i nie obejrzał się nawet?

— Tak, Zocho, poszedłbym dalej i nie obejrzał się nawet ze swojem sercem złamanem i podeptanem uczuciem...

— Nie mów już o tem i zapomnji, ty, najlepszy z ludzi.

I zakryła mu usta ręką, którą ten silnie przycisnął do ust. Zapłoniła się cała i stała, patrząc z niewymowną radością, jak na tej surowej twarzy wykwitał powoli uśmiech szczęścia.

— Tak mi się jeść kce, ze jus nawet nie wiem, zawołała Kasia, załamując ręce i stojąc zrozpaczona, z wianuszkiem habrowym na skroni.

Janek uśmiechnął się, pogłaskał ją po jasnej główce i rzekł do Zochy:

— Nie należy zapominać o obowiązkach, chodźmy do domu. Lubiłem zawsze to ustronie, lecz nie wiedziałem, że się tu kiedyś spotkamy.

— Przyjemnie tu jest, i ja bym tu nieraz przyszła, lecz wiedziałam, że lubisz to miejsce i nie chciałam ci przeszkadzać. Dzisiaj jak gdyby mnie coś ciągnęło, by tutaj odpocząć.

Przeszli przez strugę i skierowali się ku wiosce. Przed chatą Szymczakowej Janek jął się żegnać.

— A może wstąpisz na chwile?—zapytała nieśmiało.

Uśmiechnął się i skierował ku chacie. Walentowa na widok Janka wytrzeszczyła oczy i życzliwie go powitała.

— Jak się masz, Jaśku, a to gość dopiero!..

— Witam was—rzekł, całując Walentową w rękę—spotkaliśmy się, wracając z pola i gawędzimy po drodze.

— Babko, to ten, co mi śkło wyjął—rzekła Kasia—pokazując palcem na Janka.

— Wiem, wiem i piernika ci dał.

Janek obejrzał się po izbie. Uderzyła go przyjemnie wzorowa czystość, a nawet pewna estetyczna pretensjonalność. Komoda, nakryta serwetką, własnej roboty, zastawiona była różnemi figurkami i ozdobnemi koszyczkami freblowskiemi. Szafka pełna książek, systematycznie ułożonych. Zaczął je przeglądać i dziwił się doborowi. Oprócz książek specjalnych ochroniarskich, były wydawnictwa popularno-naukowe, z dziedziny przyrody i przemysłu, „Księga wynalazków", „Wszechświat i człowiek", i wiele innych, duży dział broszurek rolniczych, trylogja Sienkiewicza, tanie wydania Prusa, Konopnickiej, Orzeszkowej, Mickiewicza. Oddzielnie leżały powiastki ludowe księgarni Sikorskiej, bardzo zabrudzone od częstego używania.

— Widzę tu wcale niezły dobór książek, któż je wybierał?

— Ja sama. Wskazówką były mi pierwsze wybrane przez ciebie. Później na okładkach znajdowałam tytuły broszurek i autorów, którzy mi się bardziej podobali, więc powoli zapoznałam się z nimi; dzisiaj wiem na pamięć, który w jakiej dziedzinie pisze.

— I miałaś to czas na wszystko?

— Po twoim odjeździe była to jedyna moja rozrywka.

— A tańce?

— Nie wspominaj mi o nich. Nienawidzę ich i patrzę na nie ze wstrętem.

— Mądrość życiowa polega na tem, aby we wszystkiem zachować miarę. Na różnych rodzinnych uroczystościach ludzie mogą się poweselić, zwłaszcza młodzi. Taniec też ma i swe dobre strony, wyrabia zręczność, daje ruch, kształci zmysł muzyczny, lecz gdy kto weń wkłada całą swą duszę i nim tylko żyje, przynosi sobie szkodę i wychodzi z równowagi.

— Podobne zdanie nawet gdzieś czytałam, lecz mimo to, tańczyć już nie będę.

— Nawet ze mną?...

— Chyba z tobą, lecz wątpię, czy kiedy będziemy mieli sposobność, bo nie chodzę tam gdzie tańczą.

— Proszę na kolację — rzekła Walentowa — stawiając na stole, białą serwetą nakrytym, donicę młodych kartofli oblanych masłem z koperkiem i talerze zsiadłego mleka ze śmietaną, oraz chleb razowy.

Zocha posadziła Janka na pierwszem miejscu, sama usiadła naprzeciwko, Kasia siedziała z boku przy babce, uśmiechając się co chwila do Janka i jedząc z małej miseczki, malowanej w czerwone kwiaty.

Zocha dziwnie była onieśmielona; gdy Janek spojrzał na nią — spuszczała oczy i tylko nerwowe drganie rozchylonych ust wskazywało o radosnym wewnętrznym jej nastroju.

Janek przekomarzał się z Kasią i śmiał się z jej odpowiedzi, pytał się, czy go jeszcze kocha i czy nie ma znowu szkła do wyjęcia.

— Tełaz mi nie wlizie, chodzę w tsewikach, ale i tak was lubię.

— A wiesz jak się nazywam? — rzekł, podnosząc się od stołu i przybliżając się do niej.

— Janko Siekiłcak!

Janek roześmiał się na cały głos, Zocha się zarumieniła i stropiona podeszła do Kasi:

— Nie mówi się tak. Kto cię nauczył tak nazywać?

— Onufełka tak cięgiem gada.

— Słusznie mnie tak nazywa, zna mnie od dziecka i dla niej już zawsze pozostanę Jaśkiem.

— Szczęśliwa Onuferka, zazdroszczę jej!

— Czego?...

— Jaśka! — rzekła cicho.

— To weź go sobie!

— Wzięłabym cię, złoty ptaku, ale jakiejże klatki potrzeba, by cię utrzymać, byś nie pofrunął znowu za morze.

— Trzeba mocno mnie trzymać, trzeba iść ze mną przez ciernie i głogi, jeśli tak w życiu wypadnie, ufać mi bez granic, dzielić wspólne smutki i radości i być bratnią mi duszą. Kto się nie czuje na siłach— niech nie wyciąga po mnie ręki.

— Ja ciebie byłam niegodna i dlatego musiałam to wszystko przecierpieć. Byłam bardzo głupia. Uwagi które dla mego dobra czyniłeś, uważałam za przekorę tylko. Dziś jam inna, przez cierpienie oczyszczona wyciągam do ciebie rękę i pójdę z tobą wszędzie i żyć chcę twoim szczęściem, chcę ci być niewolnicą i sługą.

— Bądź tylko wierną towarzyszką życia.

— Do śmierci!.. rzekła — wyciągając do niego rękę którą ten serdecznie uścisnął.

Janek pożegnał się niebawem, ucałoweł małą Kasię i lekkim krokiem puścił się ku domowi. Zocha wyszła przed sień i długo spoglądała za nim na drogę, jak szedł hardo z podniesioną głową i znikł na zakręcie.

XXVII.

Żniwa rozpoczęły się w całej pełni, korzystano z pięknej pogody, by jak najprędzej sprzątnąć. Wszystko, co żyło wyległo na pola, ochrona nawet była nie czynną, bo najmniejsze maleństwa pomagały zbierać garście i kłosy.

Zocha z matką i Kasią też pracowały w polu, przypadła na nich kolej na żniwiarkę, których z inicjatywy Janka wieś zakupiła kilka, używając kolejno i zaoszczędzając tym sposobem wiele czasu na robociźnie. Małe już tylko działki w mniej dostępnych miejscach brano na sierpy i kosy.

Widząc ogromną ulgę i szybkość pracy, dziwił się niejeden, że dawniej na tę myśl nie wpadli. Siekiera i wtedy mawiał, że wszystko robione sposobem mechanicznym niezmiernie ułatwia pracę. Nikt z nas nie jest w stanie posiadać wszystkich maszyn, może to zrobić tylko jeden wielki człowiek, a tym jest— gromada.

I powoli pozaprowadzano młocarnie, siewniki, grabiarki, które były na przemiany w ciągłym ruchu.

Dzień sobotni miał się już ku schyłkowi, a tu jeszcze spory łan żyta złocił się w słońcu. Pot kroplami spływał wszystkim z czoła, nawet Kasia kręciła

się jak fryga, lecz zamiast zboża wybierała szkarłatne maki.

Tydzień już cały trwała we wsi gorączkowa robota. Zocha z matką w niedzielę postanowiły odpocząć rzetelnie i nigdzie nie wychodzić. Janek od ostatniego spotkania nad zdrojem nie pokazywał się wcale, co trochę zaniepokoiło Zochę, Może wyjechał gdzie, inaczej wpadłby choć na chwilę.

Ostatni zagon padł pod nożami żniwiarki i robotnice zabrały się do chałupy. Z każdej miedzy wyłaniały się jak kwiatki czerwone wełniaki niewiast i pasiato pomarańczowe portki na białej koszuli włościan; wszystko dążyło odpocząć po pracy.

Gdy wchodziły do wsi, mijał ich półtorak naładowany zbożem. Na wierzchu siedział Janek z parobkiem. Ujrzawszy Zochę, zeskoczył szybko i przywitał się. Był w szarem parcianem ubraniu. Zocha zawstydziła sie też nieco i nasunęła na ramiona zapaskę. była tylko w starym wełniaku i koszuli.

— Myślałam że cię już nie ujrzę, nie widząc od tygodnia, zaczynałam powoli zatracać poczucie rzeczywistości, że nasze spotkanie nad strugą było tylko snem i zacznie się znowu szereg dni takich smutnych i beznadziejnych.

— Po dniach szarych następują dni jasne. Wszyscyśmy ciężko pracowali cały tydzień, należy nam się wypoczynek, tym milszy, że ciężką pracą okupiony. Jutro po obiedzie się zjawię. Jak się masz, Kasiu, pomagałaś matce w polu?

— Tak się nałobiłam, ze juz nogów nie cuję.

— Wybierała kwiatki ze zboża.

— Ale, kwiatki!.. a kto zbiełał gałście? Człowiek się napłacował, a patrzcie, aż kosiula mokła.

— Upał taki, a to się kręciło jak wróbel—rzekła Walentowa—minuty nie usiedzi.

— Jutro sobie odpoczniesz, pójdziemy na spacer.

— Do lasu nad stługę? dobze, ja lubię las, tam są gzyby! Ale i babka pójdzie?

— Weźmiemy i babkę.

— Co wam tam po starej, ja sobie i na przyźbie odpocznę i różaniec odmówię,

— Ja chcę, żebyście pośli, moja kochana!

— Pójdziemy wszyscy—rzekł Janek—żegnając się przed chałupą Walentowej. Do jutra—rzekł—ściskając Zochę za rękę.

Spojrzała na niego swym jasnym wzrokiem, malującym całą głębię uczucia i szepnęła: „do jutra!"

Janek zawrócił ku swej chacie, szedł uśmiechnięty, pogwizdując. Wszedł do izby rozpromieniony, aż matka spojrzała na niego. Staruszka też się uśmiechnęła i zakrzątnęła koło kolacji.

— Udało ci się szczęśliwie sprzątnąć z pola—pogoda ładna—rzekł stary Siekiera.

— A tak, Bóg szczęścił, wszysce skorzystali z pogody; dawno nie było tak pomyślnego sprzętu.

Gdy zasiedli do jedzenia, Janek odezwał się do matki, że jutro po południu będą mieli gości, żeby przygotowała jakiego kołacza.

— Oczy ci się śmieją, pewno mili ci będą goście. A niech tam! ciągle pracujesz, to nie zawadzi się rozerwać. A kto przyjdzie?

— To tajemnica.

— Pewno niewiasty, kiedy ich chce kołaczem uraczyć—wtrącił ojciec—a no, będziemy się weselić.

W niedzielę już od samego rana chata Siekierów pięknie była uprzątnięta i wysypana piaskiem, u wejścia stały wkopane dwa drzewka zielonej brzeziny,

ze strzechy zwieszały się gałązki topoli, sosny, jak na zielone świątki. Przed chatą też było pięknie zamiecione i żółtym piaskiem wysypane. — Janek sam zatykał gałęzie, Onuferka, idąc do kościoła, rzuciła okiem i aż przystanęła.

— W imię Ojca i Syna — a to co znowu?... Chałupa wystrojona jak na wesele, a narzeczonej niema.

— Trzza wpierw szykować klatkę, a dopiero łowić ptaszka.

— Tu się coś święci, ja czuję przez skórę, ale z kim?... z kim, Jaśku?...

— Niewiadomo jeszcze, przyjdźcie po obiedzie — zobaczycie.

— Nie wytrzymam! Jaśku, nie strzymam do obiadu!... No, gadajcie prędzej, bo mi do kościoła pilno.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła. Idźcie się pomodlić do Przemienienia Pańskiego, a po obiedzie przychodźcie.

— Bodajże cię z takim uporem, popsuł mi całe nabożeństwo, bo ciągiem ino będę myślała z kim? Panu Bogu oddaję!...

— Idźcie z Bogiem i módlcie się, byście z Bogiem powrócili.

Śmiejąc się, pogroziła mu palcem i szybko zwróciła się na drogę.

Po obiedzie Janek zaszedł do chaty Walentowej, by zabrać kobiety na spacer.

Zocha, ujrzawszy wchodzącego rzekła:

— Kasia nie mogła się doczekać, co chwila wybiegała przed sień i markociła, że Jaśka jakoś nie widać.

— Przynajmniej jedna niewiasta tęskniła za mną — rzekł, biorąc Kasię na rękę. Pokaż matce jak kochasz Jaśka.

Kasia objęła go za szyję i silnie ścisnęła, aż stęknęła.

— Nie zabieraj mi mojego Jaśka — rzekła Zocha — i, oparłszy rękę na jego ramieniu, szepnęła mu do ucha: nie kocha się dwuch na raz!

Objął ją ręką i przygarnął do siebie. Oparła mu głowę na jego ramieniu i było jej tak dobrze, jak nigdy w życiu, czuła się tak silną i szczęśliwą, mając przy sobie te dwa ukochania swoje.

Janek dotknął ustami jej twarzy, spojrzała na niego z pod aksamitnych rzęs i szepnęła:

— Teraz już niczego od życia nie pragnę, jestem tak szczęśliwa, że aż się boję!...

Weszła Walentowa, Janek, powitawszy ją rzekł:

— Czekamy za wami, bo idziemy na spacer.

— Idźcie sami, rada odpocznę.

— Bez was nie pójdziemy, przecie przystoi, aby macierz towarzyszyła młodym.

Zocha już nie potrzebuje opieki, a gdzie ty Jaśku się zjawisz, tam pewno nic złego się nie stanie. Ale kiedy chcecie, to się powlokę.

Wyszli po za wieś i skierowali się w stronę lasku.

Usiedli na trawie nad strugą i gwarzyli wesoło. Kasia biegała pomiędzy sosenkami, hukając radośnie i zbierając leśne dzwoneczki. Wszystko dokoła grało: skoczki, koniki polne, łątki, komary, pszczoły, ptactwo, poszum drzew,—tworząc wspaniałe akordy, przeplatane najpiękniejszą melodją, że wszyscy mimowoli przerwali rozmowę, wsłuchując się w tę cudną pieśń lata.

— A teraz pójdziemy dalej, rzekł Janek—podnosząc się z ziemi

— Dokąd Jaśku? tutaj tak dobrze!...

— Może i tam będzie dobrze.

— Z tobą to wszędzie jest dobrze—i szybko się podniosła.

Janek podał matce rękę i pomógł jej wstać, zawołali Kasię i drugą stroną powrócili do wsi, kierując się ku chacie Siekiery. Zocha i Walentowa były zdziwione uroczystym wyglądem chałupy. Z wewnątrz dolatywał gwar zmieszanych głosów.

Gdy weszli, wszystko się naraz uciszyło, Siekierowie się podnieśli, Janek zaś, wziąwszy Zochę za rękę, podprowadził ją do rodziców i rzekł:

— Przyprowadzam wam marnotrawną córkę, która była porzuciła nas i oto powraca, abyście ją przyjęli pod swój dach i przycisnęli do serca.

Zocha objęła rodziców za nogi i ucałowała im ręce. Siekierowie chwycili ją w objęcia i powitali serdecznie. Zocha się rozpłakała, aż stary Siekiera zaczął ją uspakajać:

— No, no, niepotrzebnie Jaśko tak z góry zajechał, boć przecie wiemy, żeś się dobrze ludziom zasłużyła.

Wszyscy byli rozrzewnieni tą sceną i rzucili się do witania Zochy. Gałajowie pierwsi ucałowali ją jak siostrę, jedna tylko Onuferka stała z wytrzeszczonemi oczyma, nie wierząc sobie.

— Ludzie, dzbęknijta me które w plecy, albo uszczypnijta gdzie niebądź, bo nie wiem, czym we śnie, czy na jawie!.. I ja, głupia nie domyślałam się niczego, a tylem się nabiedowała, dla kogo Jaśko tak wystroił chałupę. Przecie wiadomo, że tylko jedna Zocha mogła do niego pasować. O laboga! laboga!

I, chwyciwszy Zochę w pół, zaczęła ją obcałowywać na wszystkie strony.

— A niechże cię uścisnę, moja Stachowa, żeście mnie tak ogłupili!.. Ja zawsze mówiłam, że wy się jeszcze kiedy spąkniecie, ale żeby tak niespodzianie, tego bym nigdy nie pomyślała.

— Ale to wam naprawdę wyrządzili psotę—rzekł stary Siekiera—bo dotąd to wyście najpierwsi musieli zawsze wiedzieć, co się tylko we wsi stało.

— Jużci! czy mi pan Bóg rozum odebrał, czy mi węch odjęło, że nijak skapować nie mogłam.

— Mnie się widzi,—rzekł Gałaj—że to z dopustu bożego ściemnił się wam rozum, abyście przestali zajmować się cudzemi sprawami.

— O, widzisz go! ściemnił się rozum!.. Mądrala!. jeszcze bym was nie jednego nauczyć mogła.

— Onufrowo, nie uczcie go już niczego — podchwyciła Gałajowa—bo mi jeszcze gotów latać i w domu miejsca nie zagrzeje.

— Wasze zdrowie!—rzekł Janek,—nalewając Onuferce lampkę miodu—pijmy na zgodę!

— Na szczęście młodych!—rzekła wychylając do dna. A kiedyż weselisko?

— Lada dzień po niedzieli. Tymczasem siadajcie i jedzcie co Bóg dał.

Stół był suto zastawiony różnemi przysmakami, podano kawę i ciastka i wszyscy ochoczo zabrali się do jedzenia.

Siekierzyna była kontenta z takiego obrotu rzeczy, bo Zochę bardzo lubiła za jej pracowitość i pomimo wszystko pragnęła ją mieć za synowę.

Janek siadł obok Zochy i podsuwał jej ciągle słodycze. Kasia rozkoszowała się piernikami. Starsi gospodarze dolewali sobie miodku, spoglądając przyjaźnie ku zajętej sobą młodej parze. Jedna tylko Onuferka, popijając miód, ile razy spojrzała w stronę Zochy, kiwała głową i powtarzała: „dziwy! dziwy!"

Janek nachyliwszy się do Zochy, rzekł:

— Chciałbym, żeby ślub odbył się prędko, po co odwłóczyć.

— Zrobisz jak zechcesz. Mam tylko jedną prośbę do ciebie, aby, jeżeli można, ślub odbył się cicho, bez tańców, krzyków i muzyk. Dzisiaj wszystko to wydaje mi się takie dzikie.

— Wiesz, że i ja mam to samo życzenie. Weźmiemy ślub na rannej mszy w najbliższą niedzielę.

— Dziękuje ci, Jaśku, gdy mam ciebie, wszystko mi jest obojętnem, a te dzikie wrzaski i śpiewy psułyby mi wrażenie, przypominając przeszłość, o której chcę zapomnieć.

Matka moja bardzo się cieszy z takiego obrotu rzeczy, lubi cię bardzo.

— Poczciwa! zawsze okazywała mi życzliwość, bardzo ją szanuję i kocham.

Wesoło się bawiono tego dnia w chacie Siekierów; gwiazdy jasno skrzyły się na niebie, gdy goście zaczęli się rozchodzić. Janek wziął śpiącą Kasię na rękę i odprowadził kobiety do domu.

Walentowa też była przejęta takim zakończeniem i cieszyła się w duchu, że z gospodarką nie będzie miała kłopotu, bo Janek już wszystkiemu zaradzić potrafi. Dając upust swej radości, podeszła do siedzącej przy stole Zochy i uściskała ją.

— Niech ci Bóg da szczęście w nowem życiu. Rada jestem, że idziesz za Janka, jakbyś złotego ptaka złapała, szanuj go.

— Dziękuję wam, matko. Prawda, że złoty ptak, nieumiałam go utrzymać i uleciał za morza, ale życie nauczyło mnie poznawać ludzi i z mojej winy ptak już nie uleci!...

XXVIII.

Janek żwawo się zakrzątnął około ślubu. Oboje w poniedziałek pojechali do proboszcza dać na zapowiedzi, by ślub mógł się odbyć jaknajprędzej.

Ks. Kanonik Niemira chętnie zgodził się załatwić formalności w konsystorzu, aby tylko jedną ogłosić zapowiedź i, śmiejąc się, dodał:

— Ale tęgiego zrobiliście figla, panie Janie—tym wszystkim, którzy liczyli na huczne wesele.

— Będą mieli zawód, ale nie poniosą żadnej szkody. Wzamian proszę czcigodnego kanonika przyjąć łaskawie skromną ofiarę na nędzę wyjątkową i złożył na stole sturublowy papierek.

— Serdecznie dziękuję w imieniu nieszczęśliwych a jest ich tak wiele, a ofiarność coraz mniejsza. O pańskiej narzeczonej,—rzekł, zwracając się do Zochy—dochodziły mnie wieści aż tutaj, że pracuje pożytecznie na wsi, daj Boże tylko nie ustawać nadal.

— Skromna ta moja praca i żałuję, że nie umiem więcej, byłaby może pożyteczniejszą.

— Niechby tylko każdy dał tyle, nie mielibyśmy tej ciemnoty i co zatem idzie, nędzy i zbrodni. Związek wasz tymbardziej jest miły Bogu i ludziom, że

oboje pracujecie dla bliźnich, a silni miłością, będziecie się krzepić wzajemnie i pomagać sobie w tem pięknem choć trudnem zadaniu, czego wam z całego serca życzę.

We wtorek, po następnej niedzieli, o godzinie 10 rano, niezwykły ruch panował przed kościołem świętego Ducha w Łowiczu. Chociaż w dzień targowy wstępowała zwykle na pacierz niejedna gospodyni, niosąc na targ kurczęta lub nabiał, lecz dziś wyjątkowo ludu zebrało się wiele i wszyscy uroczyste mieli miny.

Kościół też był przepełniony, przed wielkim ołtarzem stało wiele osób z miejskiej inteligencji, biorącej udział w społecznym życiu miasta i okolicy. Nauczyciele i nauczycielki szkół elementarnych, także szkoły handlowej żeńskiej, członkowie straży, kółek rolniczych i inuych instytucji, w których Siekiera czynny brał udział. Kościół był cały oświetlony.

Niebawem zajechało kilka pięknie przybranych bryk, z których wysiadło grono osób i skierowało się do kościoła. Janek i Zocha, ubrani odświętnie, w księżackich szatach, obok nich szła Kasia z wianeczkiem na głowie, za niemi Walentowa, starzy Siekierowie i Gałajowie.

Szpaler tworzyła straż ogniowa. Gdy orszak wszedł do kościoła, szmer powstał wielki, jedni przez drugich wychylali głowy, by lepiej zobaczyć parę młodą. Gdy stanęli przed ołtarzem, organy zagrały i rozpoczęła się wotywa, podczas której grała orkiestra strażacka.

Po nabożeństwie odbył się akt ślubny, a chór „Lutni" łowickiej odśpiewał „Veni Creator".

Piękną przemową kanonik uczcił pracę i zasługi nowożeńców i stawiał ich wszystkim za wzór, a po skończonej przemowie, pierwszy złożył im życzenia,

za nim pospieszyli wszyscy uścisnąć dłonie sympatycznej młodej pary.

Janek i Zocha byli rozrzewnieni tą niespodziewaną owacją i serdecznie dziękowali kanonikowi, że, zamiast cichego ślubu tak wspaniałą urządził im uroczystość.

Gdy odchodzili od ołtarza, orkiestra strażacka zagrała uroczystego marsza i cały tłum wyłonił się za niemi z kościoła, otaczając ich zwartym kołem. Gdy wozy ruszyły, wszyscy obecni głośnym „vivatem" pożegnali szczęśliwą parę.

Dwa dni potym miejscowy tygodnik łowicki pomieścił następującą wzmiankę:

— **Osobiste.** 24 lipca r. b. ksiądz Kanonik Niemira, proboszcz parafji Ś-go Ducha w Łowiczu, pobłogosławił związek małżeński p. Jana Siekiery z p. Zofią Szymczakową. Z nazwiskiem pana młodego spotykaliśmy się już niejednokrotnie na łamach naszego pisma, jest ono ściśle związane z pomyślnym stanem i dobrobytem wioski X. Wzorowy gospodarz starał się usilnie zreformować stary system prowadzenia gospodarki przez kooperatywne nabywanie droższych narzędzi rolniczych, ulepszanie gleby, zakładanie kółek rolniczych i sklepów spółkowych, jemu również wieś zawdzięcza zadrzewienie dróg i nieużytków. Przez zniesienie na wsi karczmy przyczynił się w znacznym stopniu do ukrócenia pijaństwa i ograniczenia t. z. „muzyk", deprawujących młodzież wiejską. Założenie straży ogniowej we wsi jego też było dziełem.

Pani Zofja Szymczakowa prowadzi we wsi wzorową ochronkę, założyła kółko niewiast w celu uświadamiania gospodyń o nowych ulepszeniach w gospodarstwie kobiecem i pracuje gorliwie na polu oświaty ludowej.

To ze wszech miar dobrane stadło, uzupełniając się wzajem, wywrze niewątpliwie dodatni wpływ na otoczenie i, coraz szersze zataczając kręgi, pobudzi innych do czynu.

Redakcja ze swej strony korzystając ze sposobności, śle Wam, dzielni bojownicy postępu—serdeczne „Szczęść Boże!"

KONIEC.

Zamek Celle, pod Hannowerem
w czerwcu 1916 r.

